

Józef Ignacy Kraszewski

Królewscy synowie t.3



calibre 0.9.27

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

POWIEŚĆ Z CZASÓW WŁADYSŁAWA HERMANA

I KRZYWOUSTEGO

TOM III

Bolko przemieszkiwał najczęściej we Wrocławiu z Magnusem razem.

Godzili się z sobą dobrze, bo wojewoda, człek wojenny, rycerskiego ducha, serca otwartego, rad był zawczasu królewicza przeciwko Sieciechowi, nieprzyjacielowi swojemu, usposobić i uzbroić. Młody pan coraz bardziej za serce go chwycił.

Rzadki dzień królewicz cały na zamku spędził, najczęściej jechał w lasy albo z drużyną swą zabawiał się w polu, uprawiając ludzi i korne. Z nim dobrze było wszystkim i jemu z nimi.

Szląscy panowie i władcy ciągnęli po kolei na gród, aby młodego

królewicza poznać, wieźli mu podarki, towarzyszyli w wycieczkach, każdego przyjmował serdecznie i odchodzili w nim rozmówceni. Nie przyszedł nikt doń z próżnymi rękami, ale i nie odszedł nie obdarzony. Tylko nic mu innego nie można było dać, chyba psa osobliwego, sokoła unoszonego dobrze, konia, co by inne wyścigał, lub mieczyk, co żelazo łupał. Za każdy taki dar stokroć się ze skarbcza wywdzięczał.

Na miłości u ludzi nie zbywało mu, choć często gorący bywał i wybuchnął, gdy mu co nie po myśli poszło. Umiał to jednak nagrodzić, a gniew u niego nie trwał długo.

Wojśław, ochmistrz królewicza, który ostatnimi czasy nie na wiele się już przydał Bolkowi, bo ten mu się wymykał na swobodę, zachorawszy w Płocku, do Wrocławia za nim podążyć nie mógł. Być może, iż z Magnusem obcować nie bardzo życzył, a namiestnik, widząc w nim powinowatego Sieciecha, nie dowierzał

mu i nie lubił go.

Jednego dnia, gdy słota się zawzięła uparta, a na łowy i gonitwę wybrać się nie było sposobu i Bolko od okna do okna chodził narzekając, wpadł ulubieniec pański Pruszyńka i zawołał:

— Stary Strzeżoń z pułkiem tu przyciągnął, nie wiem z czyjzego rozkazania.

Czeka na Miłość Waszą prosząc, aby się mógł pokłonić.

Bolko widział go kędyś dawniej, ale znał mało, rad mu był i odezwał się:

— Dawaj go tu, na słotę i Strzeżoń dobry! Pruszyńka wprowadził zaraz starego wojaka, którego siwe włosy Bolkowi dawne czasy przypomniały, a o tych rozmawiać lubił.

— Dawno już musicie we zbroi chodzić? — zapytał.

— Ze Szczodrym w Kijowie byłem za młodu — odpowiedział Strzeżoń.

— Toście dla mnie gościem miłym — rzekł Bolko — o królu tym i o jego wojnach powiedzieć coś

będziecie mi mogli. Nieprawdaż, że Bolko sławnym był

bohaterem? Wy, coście go znali i chodzili z nim, wiele o nim wiedzieć musicie.

Zapalczywym był, prawda, ale serca złego nie miał?

Tak się poczęła znajomość i rozmowa ze Strzegoniem, którego młody pan zaraz posadził na ławie, miodu dlań przynieść kazał i gościnnie zabierał się przyjmować.

Co się Strzegoniowi stało, sam on może dobrze nie wiedział, poruszyło się w nim coś, krew oblała mu twarz. Głos świeży i wesoły młode czasy mu

przypomniął, a Bolko ten owego zuchwałego wojaka, którego on kochał. Zmieszał

się stary. Gdyby był mógł, szedłby precz, sromął się w duszy tego, z czym przybywał.

Przyjęcie królewicza było serdeczne i ujmujące; umiał poszanować starego, napierać mu się zaczął powieści, jak to tam było na Węgrzech, jak na Rusi, jak po powrocie z Kijowa i jak ów mężny król, stawszy się zabójcą, zginął marnie.

Strzegoń, jak wszyscy starzy, gdy się rozgadał, mówił chętnie i dużo, niełatwo go było poruszyć, ale gdy raz serdeczna nuta się ozwała, prawil, co pamiętał, jakby sam dla siebie.

I teraz też powoli się dał wyciągnąć na opowiadanie, a począwszy je, mówił

o bitwach, w których się bili tak dzielnie, o męstwie króla, które równego nie miało, o zwycięstwach i o klęskach późniejszych, gdy bohaterstwo szal zastąpił.

— Takim jak on chciałbym być! — wołał Bolko — ale posłusznym

Kościółowi, bo bez Boga my nie możemy nic, a do Boga bez niego nie ma drogi.

Przy pierwszym tym spotkaniu, które dłużej trwało, niż się oba spodziewali, Bolko przystał do Strzegonia, polubił go i nie dał mu gdzie indziej mieszkać, jak przy sobie. Stary dopiawszy celu od razu, chodził i rad, i zafrasowany, niepewien, co dalej robić. Królewiczowi takiego właśnie człowieka wytrawnego potrzebą było do boku, brał go więc z sobą do izby, schodziła się drużyna, stawała młodzież kołem, dawano staremum jeść i pić, co zapragnął, byle mówił a rozповідаł, jak to dawniej bywało, jak starzy wojowali.

Zrazu zacinał się Strzegoń, patrzył, wahał, potem, gdy się z tą młodzieżą zżył, poznał ją, pokochał, opowiadał żwawo, ochotnie, zapalał się nierzadko i miecza dobywając ukazywał, jak ten tamtego płał, jak się ów obraniał itp. Więc śmiechy, wykrzyki a radość wielka panowała, podarki się sypały i Bolko na chwilę się z nim rozstać nie mógł.

Strzegoń nie dosyć, iż sam bywał ze Szczodrym po Rusi i na Węgrzech, ale od starych, co z Chrobrym wojowali, nasłuchiwał się dawnych o wojnie powieści, o zbrojach, jakie nosili, o wszelakim sposobie potykania się w polu, dobywania miast i obronie, o fortelach wojennych, o tym, jak się

narody zbroiły i skąd broń swą dostawały, a jaka im najlepiej służyła.

Przechodziły całe dnie na tych gawędach, a że Bolko w zamknięciu i zaduszę nie lubił siedzieć, skoro pozwoliła pogoda, zabierał starego z sobą w las, często nawet, co mu najmilszym było, noc spędzali w chruścianym namiocie u ogniska.

Po kilku dniach Strzegoń, dopiąwszy jak najszcześliwiej tego, z czym tu przybył, a uczyniwszy więcej, niż się spodziewał, stał się markotnym wielce. Im Bolko dlań był miłszym i serdeczniejszym, tym stary żołnierz posepniejszy się stawał. Poczynał go nawet unikać. Bolko mocno na tym czując, tym mocniej nań nalegał, sowiciej go obdarzał i ująć się sobie starał.

W miarę, jak się to przedłużało, niespokojniejszym coraz Strzegoń się stawał. Młodzieńcza ufność, dobroć, otwartość Bolka za serce go brała, patrzył na ten kwiat śliczny, ledwie rozkwitły, a pomyślawszy, iż go na śmierć ma wydać, gryź się w sumieniu, żal go porywał wielki. Nigdy wprzódy miał zřeczności zbliżyć się do królewicza, znał tylko Sieciecha, który wielką nad nim miał siłę. Nie wahał się dlań uczyńć ofiarę. Teraz przemówiło serce, brakło mu odwagi, spełnić, do czego się zobowiązał. Podstęp ten, do której użyty był za narzędzie, inaczej mu się przedstawiał. Przełamali z sobą chleb, nieraz obozowali pospołu, sypiali namiotem jednym, Zbliżyły się dłonie, żołnierz poczynał być w niezgodzie z sobą samym. „Co tu począć? — przemyśliwał nocami — lub jednego albo drugiego zdradzić muszę!”

Człek był prosty, sobie samemu nie ufał, nie wiedział, czy się miał księdzu spowiadać, czy wróżki poradzić. Poganina jeszcze w nim było dużo, bo od młodu na wojnach, o religii myśleć ani się jej uczyć nie miał czasu. Z innymi razem na pół

pogany obawiał się księży jak czarowników. Napęlniali oni w owych czasach trwogą lud pospolity; stąd pozostała w obyczajach u gminu zła wróżba, gdy się księdza spotkało w drodze. Miano ich za potężnych, cudami władających guślarzy nowego Boga.

Strzegoń też po trosze tego był przekonania wraz z innymi w wojsku.

Śpiewał pieśni, mszy słuuchał pobożnie, ale obcowania z duchownymi unikał.

Wróżbita znowu ani guślarza pod ręką nie było, do większych miast się nie wazyli, bo duchowieństwo pilne na nich miało oko. Biedził się Strzegoń wielce. Jednego dnia, gdy z królewiczem u Magnusa gościli, oznajmiono proboszcza z kościółka Panny Marii, ojca Tyburskiego. Staruszek to był, Polak, Krakowianin rodem, który za wielkiego mędrca nie pragnął uchodzić, rad z ludźmi obcował, wesół był i więcej pocieszał, niż straszył. Tym różnił się właśnie od innych, co więcej grozili, niż pocieszali. Śmiała mu się pocziwa twarz pomarszczona, nią już samą ludzi ku sobie pociągał i ujmował.

Duchowieństwo, zwłaszcza obce, Włochy i Francuzy, których naówczas

pełno było w Polsce, krzywo nań patrzali i lekko go wazyli, wyrzucając mu, że nazbyt był pobłażającym, lecz że ojciec Tyburcy dla siebie surowym był, pobożnym i wielce świątobliwym, przebaczano w końcu zbytnią jego łagodność.

Biskup go szanował, lubił i bronił.

Ojciec Tyburcy szedł tak biesiadujących, że Strzegoń ujść nie mógł; Bolko wielce pobożny poszedł go w rękę pocałować i przysiadł się zaraz do niego. Stary żołnierz trzymał się z dala.

Rozpoczęła się rozmowa. Proboszcz, jak był zawsze pogodnej myśli, tak i teraz żartobliwie począł zagadywać, rozpytywać i opowiadać. Takiego duchownego Strzegoń, jako żyw, nie widział jeszcze, poczuł, że go coś ku niemu ciągnęło, a obawa czarów znikła zupełnie.

Mówiono o dawnych czasach. Strzegoń i ojciec Tyburcy oba je dobrze

pamiętali. Od słowa do słowa ożywił się stary wojak, przemówił, rozśmiali się do siebie i przystali ku sobie łatwo. Ojciec Tyburcy go rozpytywać począł o rodzinę, znaleźli się wspólni znajomi, ksiądz był choć do rany przyłożyc.

Nazajutrz rano Strzegoń poszedł, ot tak, sam nie wiedząc dlaczego, na mszę świętą do Panny Marii, a po mszy zajrzał do zakrystii. Zobaczywszy go staruszek poznał i pozdrowił pobożnie, a potem pochwalił, że o kościele pamiętał.

— Mój ojcie — odparł Strzegoń zakłopotany — naprawdę nie ma mnie

chwalić za co, bo ja nie dla mszy świętej do kościoła przyszedłem, ale za interese do Was. Chcę się Was poradzić w rzeczy bardzo ważnej i tajnej.

Wyszli więc nazad z zakrystii do kościółka i ksiądz, nie biorąc go do konfesjonału, usiadł z nim na ławie. W kościele nie było nikogo, lampa się tylko paliła przed ołtarzem i w oknach ptactwo przysiadując szczebiotało.

— Ojcie mój — odezwał się Strzegoń, którego strach jakiś ogarnął w chwili, gdy się już miał zwierzyć. — Zaufać Wam mogę, wszakże mnie nie wydacie?

— Dziecko moje — odpowiedział ojciec Tyburcy — choć żołnierz, musisz przecie, wiedzieć o tym, iż przysięgamy na to, że kto nam co powierzy, tego nie odpowiemy nikomu, choćby na mękach życie dać przyszło. Mów, nie lękaj się, utonie to jak w studni.

Westchnął Strzegoń i włosy potargał siwe.

— Sprawa taka — rzekł. — Nie tajno nikomu, że Sieciech królestwa

pragnie, nie od dziś dnia. Na drodze mu stoją dzieci królewskie, szczególnie Bolko, na którego zasadzkę przygotowano pod pozorem wyprawy na Czechy, aby go zgładzić. Ja tu przybyłem nie po co innego, tylko żeby się z królewiczem poznać i podrużyć, a wciągnąć go tam, gdzie ma życie dać. Posłano mnie, poszedłem. Tu przybywszy, gdym. Bolka poznał, miły panie, za serce mnie wziął.

Nie mam siły dać go na zabicie. Co począć? Zdradzić muszę albo jednego, lub drugiego!

Ojciec Tyburcy słuchał spokojnie, nie poruszył się na to straszne wyznanie.

— Powiedzcież Wy mnie — odezwał się łagodnie — jak się Wam zda? Czy

lepiej zdradzić szatana, który na zabójstwo godzi, czy Pana Boga, co miłość nakazuje, nawet dla wrogów? Królewicz ci nic nie uczynił, chyba dobro, panem twym ze krwi jest, a Sieciech takim poddanym i sługą jako wszyscy. Jak ci się zda?

Mów sam!

— Alem słowo dał! — odparł Strzegoń.

— A cóż warte słowo dane na złe? Choćby nawet i przysięga, że się popełni grzech? — rzekł ksiądz. — W takim razie krzywoprzysięstwo jest cnotą, a wierność słowu zbrodnią. Pomyśl jeno, czy ten, który sięga po berło i koronę przez krew, może być błogosławionym i z sobą królestwu przynieść błogosławieństwo?

— Ano! — westchnął Strzegoń. — Jest jeszcze droga jedna. Jam stary, pokłonię się i pójdę precz, nie chcąc zdradzić ani jednego, ni drugiego.

— Tak — rzekł ojciec Tyburcy — tylko naówczas przyjdzie w miejsce

Wasze inny, mniej sumienny i litościwy człek i zrobi to, co Wy mieliście uczynić.

Bolko więc zginie. Nie żal ci go?

— A! Miły ojcze! — przerwał Strzegoń żywo, ręce składając. — Serdeczne to paniątko! Żeby miało ginąć marnie, pomyśleć strach! Jam ze śmiercią oswojony, napatrzyłem się padających trupów jak liści w jesieni, ano, żeby ten kwiat korony królewskiej padł!

— Nie daj Boże, aby się to nieszczęście stało! — odezwał się ojciec

Tyburcy.

— Cóż mam czynić? Co? — zapytał żołnierz.

Jęli namyślać się oba; ksiądz się na ołtarz zapatrzył, jak by z niego chciał czerpać natchnienie, potem rzekł:

— Wprost poufnie Bolkowi powiedzcie wszystko, wyznajcie mu szczerze, z czym Was posłano.

— Wstyd mi — zamruczał stary — nie chcę, aby wiedział, że ja się tego podjąłem. Lubi mnie, gotów by znienawidzić.

— Chcesz, ażebym ja o tym oznajmił? — zapytał o. Tyburcy.

— A gdy Was spytają, skąd to wiecie? — podchwycił Strzegoń.

— Ja nie potrzebuję mówić, skąd to wiem — rzekł proboszcz. — Możemy

uczynić lepiej jeszcze. Pójdę z tym do biskupa. Biskup, który dawniej dosyć Sieciechowi sprzyjał, dziś wraz z Magnusem z Bolkiem trzyma i kocha go. Pasterz sam ostrzec może, a skąd o tym wie, nikt go mówić nie znagli.

Namyślał się jeszcze Strzegoń.

— Niechże tak będzie — rzekł schylając się do ręki księdza — uczynicie to skoro, bo czasu do stracenia nie ma.

Rozmowa wśród ciszy kościelnej prowadzona kończyła się, gdy ojciec

Tyburcy ujął starego żołnierza za ramionami, uścisnął i całować go począł.

— Poczciwy mój stary! — zawołał. — Nie odejdziesz nie wynagrodzonym

za to, coś uczynił. Bóg ci odpuści grzechy twoje, ja ci daję rozgrzeszenie! Doznasz błogosławieństwa, będziesz miał szczęście na ziemi i w królestwie Bożym!

To mówiąc przeżegnał go, nad pochyloną głową krzyż kreśląc,

pobłogosławił i ocierając łzy wywiódł go do zakrystii, skąd Strzegoń wymknął się ostrożnie, przez nikogo nie postrzeżony, a powróciwszy na zamek, musiał dla niepoznaki skłamać, że do płatnerza chodził, bo mu u zbroi dwa nity puściły i kawał żelaza obwisł.

Bolko tego dnia konie najeżdżał rano, w lesie było jakoś do łowów

niezdarno, wiatr dął gwałtowny.

Z południa, co się rzadko trafiało, ujrzano orszak biskupi, który się ku zamkowi kierował. Jak tylko o nim znać dano, wyszedł natychmiast Magnus na spotkanie.

Biskup zamknął się z nim na osobności i naradzał długo. — Powiedział mu o zasadzce na życie królewicza. Namiestnik zafrasował się wielce, ale oznajmienia o niej na siebie brać nie chciał, boby go posądzano, że przez nieprzyjaźń dla Sieciecha potwarz nań rzuca. Okazało się, że Magnus coś już przewidywał i domyślał się pono. Posłano dworskiego po królewicza na łąkę, który konie porzuciwszy z drużyną, sam w czwał przygnał na zamek.

Wszyscy, co go spotykali po drodze pędzącego na rumaku, jakby zrosłego z nim, z włosy na wiatr puszczone, z twarzą pałającą, z wesołym wzrokiem, jasnym czołem, stawali napatrzyć się i nacieszyć młodym rycerzem.

Wpadł z koniem prawie na przedsienie, osadził go, skoczył i biegał do wojewody.

Magnus wychodził na spotkanie.

— Miłościwy Panie — rzekł — są ważne sprawy. Przybył z nimi biskup,

pomówić trzeba, chodźcie.

Właśnie tych słów domawiał Magnus, gdy na podwórce wjechało trzech

ludzi. Bolko poznał w nich dwu ojcowskich dworzan i starszego nad nimi, któremu król ufał najwięcej. Zamiast więc iść do biskupa, musieli czekać, aby się dowiedzieć, z czym oni przybywali.

Besior, komornik królewski, zsiadłszy z konia, przyszedł do kolan się skłonić Bolkowi. Jak wszyscy prawie, co Władysława otaczali, przekupionym był

przez Sieciecha i służył mu wiernie. Człek był roztropny, chytry, przebiegły i ostrożny. Wprowadzono go do pierwszej izby, a królewicz począł pytać, z czym był posłany.

Dobył naprzód Besior pierścień królewski na znak, żeby mu wiara była dana, a potem mówić począł:

— Król, pan nasz, ma pewną wiadomość, iż od granicy czeskiej gotuje się napaść wielka, którą koniecznie uprzędzić potrzeba. Posyła więc Miłości Waszej pułki swe na pomoc i rozkazuje natychmiast iść w lasy na rubieże. Do boku Miłości Waszej naznaczeni są co najdzielniejsi rycerze: Halka, Strzegoń, Zabój, Żelazny.

Począł wyliczać wszystkich.

Magnus słuchał i bladł z gniewu. Zapytano, czyby miał co jeszcze do

oznajmienia. Dodał, że jak tylko zjadą pułkownicy, natychmiast z nimi na granicę spieszyć potrzeba. Oni zaś wiedzieć będą, gdzie i jak prowadzić mają królewicza.

Uradował się Bolko niezmiernie i omal nie uściskał Besiora, Magnus

zmilczał, wziął go zaraz z sobą, aby ugościć po podróży i nakarmić, a zdawszy na ręce ochmistrza, sam z oczekującym Bolkiem udał się do biskupa.

— Wyrażny cud jest Boży — zawołał Magnus wchodząc — łaska

Opatrzności ocalić nas chciała i to królestwo!

Obrócił się do królewicza, który szedł po pasterskie błogosławieństwo.

— Posłuchajcie naprzód, Miłościwy Panie, z czym tu do nas przybył ojciec nasz przewielebny, a poznać jako Bóg wielki czuwa nad Wami!

Biskup natychmiast począł, patrząc na królewicza, który spoważniał.

— Przybyłem do Was z przestrogą — rzekł. — Uknuta jest zdrada wielka.

Króla słabego, nie domyślającego się jej, wmieszano w nią. Sieciech wojewoda wymyślił od Czech niebezpieczeństwo jakieś, postanowił na granicę wyprawę.

Chce Was, Miłościwy Królewiczu, wysłać na nią z tymi, którzy są wyznaczeni, aby cię życia pozbawili. Strzegoń, Halka, Strzepa, Żelazny nasadzeni są, aby odwiódłszy w lasy, zgładzili cię.

Bolko pobladł raczej z gniewu niż z obawy.

— Dzięki niech będą Bogu — zawołał — iż zdradę odsłonił! My też sami teraz, wiedząc o niej, myśleć o sobie musimy. Pułki wszystkie są Sieciechowce, dowódcy jego. Potrafiemyż się im obronić? Magnusa Szlązaków i mojej wiernej drużyny mało jest?

— Na grodzie się zamkniemy w ostatku — odparł Magnus — otwarcie oni

nie wystąpią. Dobrze jest w lesie mordować nocą, ale jawną zdradę popełnić, nie wiem, czy się ważą.

— Wojewoda, jeśli siły swe obliczył — zawołał Bolko — i na to jest gotów!

Nie widzę innej rady, jak natychmiast słać do Zbigniewa, niech w skok w pomoc nam przybywa ze swymi. Dzisiaj mnie, jutro jemu, moja sprawa jego sprawą.

Poczyna Sieciech ode mnie, na nim skończy.

— Rozumna rada — przemówił biskup — jeżeli Zbigniew usłuchać zechce
zawołania.

— Poprzysiągł mi sojusz i braterstwo! — zawołał królewicz.

Magnus, do którego się zwrócono, milczał, ale nie przeczył.

— A! — odezwał się nagle Bolko. — Wierzę wszystkiemu, co mówicie,

cudownie się to sprawdza, lecz Strzegoń, Strzegoń, którego pomawiają o zdradę, Strzegoń, aby być miał nasadzony na mnie, temu nie mogę dać wiary! Nie —

krzyknął — ślijcie po niego, panie wojewodo!

Biskup, sędziwy człek, widząc, że się tak gorączkowo brano do sprawy, począł wołać, jak jego wiekowi przystało:

— Nie kwapcie się! Na Boga, z rozmysłem, powoli! Przestroga ta próżną była, Bolko gdy raz za zwierzem się zapędził lub wziął co do serca, żadna go siła powstrzymać nie mogła.

— Ślijcie po Strzegonia! — zawołał błagająco. — Dlaczego z tym zwłóczyć mamy?

Posłano jednego z czeladzi.

Magnus tymczasem, strwożony także, natychmiast ludzi zaufanych pchnął, aby około bram wzmocniono strażę, oddziału żadnego wojska nie wpuszczano, choćby się jako królewskie oznajmywało, a dniem i nocą czuwano pilno. Rozkazy te rzuciły postrach na gród cały, choć nie wiedziano, jaka ich była przyczyna.

Wkrótce inni posłance wyprawieni zostali do władyków i ziemian, aby

pospiesznie na gród przybywali. W jednej godzinie spokojne przedtem miasto poruszyło się trwogą, której pobudki wymyślano najdziwaczniejsze, prawdziwej nie mogąc odgadnąć. Mówiono o napadzie Czechów, o zdradzie jakiejś, o niemieckim najeździe.

Po zamku biegali ludzie, dosiadano koni, pędzono stada z paszy, wołano, otrębywano, co było załogi pędzono do wrót i na wały.

Strzegonia, jak by w ziemię wpadł, długo wyszukać nikt nie mógł. Szperano za nim po kątach, po ciemnych zakamarkach, aż ktoś przypadkiem znalazł w szopie na sianie, z głową pokrytą, jak by spał, choć, jako żywo, oka nie zmrużył.

Zawołany, nie mógł odmówić, poszedł. W drodze, idąc przez podwórce, napotkał

Besiora, dowiedział się od niego, z czym przybył, i zmiarkował, że stanowcza nadchodziła godzina. Włókł się do królewicza jak na ścięcie. Magnus, który nań czekał, poprowadził go do izby przed biskupa i Bolka.

Na widok osiwiałego wojaka królewicz, w którym wszystko wrzało, a słowa w sobie nigdy nie mógł strzymać ni ważyć, zawołał:

— Strzeż! Słuchaj! Przyszły tu wieści straszne, ohydne, oskarżenie niegodziwe. Ciebie, starego mojego druha, ciebie z innymi obwiniają, żeś ty mnie chciał wydać na stracenie, żeś ty był z Halką, Strzepą i Zabojem wyznaczony na to.

Nie wierzę! Mów!

Wszyscy oczy weń mieli wlepione. Strzeż blady stał milcząc, ręką wodził

po twarzy i brodzie, wzdychał, podnieść wzroku nie śmiejąc.

— Strzeż! Mów! — powtórzył Bolko.

Ze Strzegoniem działo się, co bywa czasem ze strzałą, która na cięciwie uwięźnie i nie może wyrwać się długo, aż nagle struną popchnięta świsnęła i leci.

Milczał uparcie, milczał, potem głowę podniósł i krzyknął w głos:

— Tak, prawda! Posłano mnie, abym królewicza prowadził na zasadzkę,

ulitowałem się i sam życie dam, a tego nie uczynię, nie, nie! Nigdy!

Bolko zarumieniony z radości na szyję mu się rzucił.

— Stary, poczciwy druhu! Niech ci Bóg płaci! Jam ci ufał! Biskup począł też wychwalać uczynek chrześcijański, a Magnus, przystąpiwszy, starego po ramieniu uderzył, wołając:

— Na cóż nam innych świadków i lepszego przekonania nad to zeznanie!

Ten stanie za innych!

Przybity, znękany, zawstydzony stał Strzegoń, wodząc ciągle ręką drżącą po głowie siwej.

— Pułki inne Sieciechowe już tu ciągną! Radź, co czynić?

— Bramy zamkniecie — odparł Strzegoń — niech za miastem obozują.

— A wasi? — spytał Magnus.

— Ja i moi zostaniemy z Wami — krótko odparł stary, do kolan się kłaniając królewiczowi. — Moi sotnicy pewni, w ludziach można wybór zrobić. Nasze namioty za miastem, jak były, zostać mogą.

Widząc, jak się tu rzeczy składały, biskup mógł już odjechać spokojnie, wstał więc błogosławiąc i wyprowadzany przez królewicza, Magnusa i wszystkich, co na zamku się znaleźli, aż za wrota, odjechał do domu.

Zabrano się natychmiast do Zbigniewa posyłać, choć nie wszyscy i jemu ufali. Bolko, jak sam słowo rycerskie miał za święte, tak pewien był pomocy brata.

Ważyla ona wiele, gdyż sile tej zaufać było można, a na Krakowian, Sandomierzan i najlepsze pułki, długo będące pod rozkazami wojewody, nikt rachować nie mógł.

Owszem, z pewnością wiedziano, iż one pójdą, gdzie on rozkaże, i uczynią, co im podszeptnie.

Szlązacy, którzy już byli do Bolka przystali, na wieść, iż mu zagrażało niebezpieczeństwo, wnet od następnego dnia począwszy, z czym kto miał, małymi i większymi pocztami, poczęli się ściągać z okolicy do Wrocławia.

Na zamku ścisk był przez całe dnie jak na targowicy we święto, przybywali lodzie coraz nowi, a każdemu przyjeżdżającemu opowiadać musiano, co się stało.

Oburzenie i lament na Sieciecha powstał powszechny. Odgrażano się nań, śmierć mu zapowiadając.

Gdy Szlązacy w znacznej się liczbie zgromadzili, Magnus ich zwołał do tej samej izby, w której niegdy Zbigniewa im stawił. Stał przed nimi Bolko, którego gniew każda chwila pomnażała, rozdrażniony i pełen zapału. Na widok młodego pana poczęto wołać i okrzykiwać, witając pokłonami, rękami i czapkami.

Magnus przemówił naprzód niewielą słowy. Wstał potem królewicz sam i odezwał się głosem wzruszonym:

— Zlitujcie się, ziemianie, niedoli mojej, przyjdźcie mi w pomoc i obronę.

Sieciecha zdrada, nie od dziś uknuta, grozi wybuchem. Jedną złotem przyjaciół, opłacał zbójców, godził na życie moje, chcąc osiąść panowanie. Dowodów dosyć jest na to, a i ten coś znaczy, że Wojsław, który mnie nie opuszczał nigdy, który czuwał nade mną, chorym się stał, aby mi nie towarzyszyć, bo pewnie jako pokrewny Sieciecha wiedział, że tu na życie moje godzą. Zeznają ci, co nasadzeni byli, iż im zabić mnie zlecono.

Ledwie mówić dano królewiczowi, taką zgrozą przejęła wszystkich zdrada jawna wojewody, i ziemianie wołać poczęli: — Nie damy Wam nic uczynić! Nie damy! Włos Wam z głowy nie spadnie! Bezpiecznym jesteś między nami.

Sieciecha nie chcemy ani jego panowania. Pójdziemy z tobą, staniemy przy tobie!

Bolko widząc, że nie sam jest i mnogich ma przyjaciół, odzyskał całą swą odwagę i rycerskiego ducha. Zaczęto się gwarno i głośno naradzać wykrzykując, otoczyli go ziemianie prosząc, aby był dobrej myśli i na nich polegał. Magnus opowiedział, że wysłano do Zbigniewa o posiłki, na które czekać było potrzeba, a gdyby nadeszły, wprost przeciw wojewodzie iść. Wszyscy się godzili na to, że dłużej znosić panowania zdrajcy nad sobą Bolko nie mógł, choćby on króla słabego miał za sobą. Tak dzień zszedł na gwarnych naradach i oświadczeniach miłości dla młodego pana.

Tymczasem zamek zaczęto przysposabiać do obrony, gdyż nikt zaręczyć nie mógł, że Sieciechowe pułki oblegać go nie zechcą. Namiestnik kazał co prędzej ściągać żywność i ludzi. Znaczniejsza część ziemian, którzy z pocztami przybyli, pozostała na zamku, do domów nie powracając. Na nich można było polegać.

Oczekiwano na Zbigniewa, gdy zamiast niego w kilka dni popłoch się stał; oznajmiono o przybyciu Wojsława, ochmistrza królewskiego, który z oddziałem swoim u bram się stawił. Przykazanie już było, aby nie wpuszczać nikogo. Dano znać Magnusowi.

Bolko, który od dzieciństwa do Wojsława był nawykł i ufał mu, choć go wiedział bliskim Sieciecha powinowatym, w zdradę jego wierzyć nie chciał. Byłby się wyrwał doń i pewnie go do miasta wprowadził, ale namiestnik ruszyć mu się nie dał i sam do wrót pojechał co prędzej. Wojsławowy orszak nie był zbyt liczny.

Na czele jego stał otyły ów wódz, który się wolno obracał, mówił powoli, chodził

ociężale, ale bił się mężnie i krzepko. Widać było po nim, iż zamknięte wrota, na które zmuszony był patrzeć, oczekując tak długo, już go niecierpliwiły. Magnus, nie otwarłszy nawet furty, wyszedł na wyżki nad bramę i stamtąd go pozdrowił.

— Panie wojewodo — zawołał Wojsław — co się to u was dzieje? Dlaczego nie puszczają mnie do królewicza?

— Nie wiecie? — odparł Magnus kręcąc węża. — Czyż Wam to jeszcze mówić potrzeba?

— Nie wiem! Na Boga się klnę, że nie wiem! — odparł ochmistrz.

— Więc muszę powiedzieć — odezwał się Magnus. — Sieciechowym jesteście powinowatym, a Sieciech zdrajcą jest. Wpuścić Was nie możemy.

Wojśław głowę podniósł i usta rozwarł szeroko. — Sieciechów krewny jestem — rzekł — alem nie zdrajca! O żadnej zdradzie nie wiem! Królewicz jest moim wychowawcą, tak miłym mi, jak i wam! Czyście poszaleli?

— Nie, owszem rozumuśmy nabyli — odparł Magnus. — Ruszajcie do swej krwi, do swoich, my Was tu mieć nie chcemy.

Wojśław słuchał, a jako człek powolny, choć się tam w nim nie wiadomo co działo, stał na pozór zimny, hamując się. Po chwili znowu głowę podniósł.

— Klnę się Wam, że zdrady w sercu nie mam — rzekł — o niczym nie wiem. Sieciecha dawno nie widziałem. Chcecie li niewinność moją, jak obyczaj chce, ze szczęścią świadkami uroczyście poprzysięgnę w kościele! Zdrajcą nikomu nie byłem, a zadanego mi nie daruję!

Magnus głową potrząsał.

— Kum Wasz, krew Wasza, Sieciech, przysięgał królowi wiarę i rodowi

jego, a przecie na dziecko pańskie godzi, czego mamy dowody. Przysiężecie i Wy, i sześciu Waszych, aby tylko na zamek wniknąć i ludzi nam przekupywać a warcholić. Nie będzie z tego nic, ani Was, ni Waszej przysięgi nie chcę. Jedźcie z Bogiem.

Na wały, około wrót, dowiedziawszy się o Wojśławie, nagromadziło się ludu mnóstwo, poczęli tedy wołać z tłumu: — Precz! precz! Od bram z dala! Ze zdrajcami precz!

Słyszając wrzawę tę i widząc, że drudzy się już do kusz i łuków zabierają, jak by strzelać chcieli, Wojśław, nie spiesząc, konia w milczeniu zawrócił i od bram odjechał, ale niedaleko w dolinie położył się obozem ze swymi.

II

Gdy posłany od Bolka, dniem i nocą goniąc, co koń zmógł, przybieżał do Gniezna rano, zastał właśnie królewicza Zbigniewa na modlitwie w kościele, bo życie się wiodło rozmaicie, ale o Panu Bogu i świętych nie zapomniano. Eks—

kleryk tym bardziej do kościoła uczęszczał, iż z arcybiskupem Marcinem chciał być dobrze, potrzebując go i skarbiąc sobie łaskę jego.

Właśnie msza poranna arcybiskupia ku końcowi się miała, gdy Marko

Sobiejuha przybiegł do kościoła, niosąc do ucha pańskiego owo poselstwo pilne.

Staruszek ojciec Marcin zegnał już krzyżem przytomnych, a rzuciwszy okiem na królewicza, spostrzegł, jak mu Marko coś w ucho szeptał, jak Zbigniew poruszony zachnął się w tył i natychmiast precz z kościoła chciał biec.

Kleryka, który do mszy mu służył, wysłał arcybiskup do Zbigniewa, aby odchodzącego wstrzymał i do zakrystii go przywiódł. Miał jakieś przeczucie świątobliwy kapłan, iż ważnego coś zajść musiało. Zbigniew się zawrócił.

Ojciec Marcin, zaledwie dokończywszy modlitwy, pośpieszył z pytaniem:

— Coś się stało?

Nie mógł zataić Zbigniew i oświadczył, że brat pilno go wzywa w pomoc przeciw Sieciechowi.

— Stało się to, co się z dawna gotowało — rzekł wzdychając arcybiskup.

Spojrzał nań pytająco królewicz.

— Nie zwłóczcie, a w pomoc mu pospieszajcie — dodał o. Marcin —

nieprzyjaciel to wasz wspólny i królestwa waszego. Jedź, ciągnij i niech Bóg błogosławi. Zbigniew stał wahając się.

— Ojczy Przewielebny — rzekł — mamli się przez to ojcu narazić? Brat mi nie nazbyt sprzyja, po co mu pomagać? Sprawa nie moja.

— Sprawa twoja — rzekł żywiej arcybiskup — wspólna wasza. Masz iść, póki czas. Inaczej na ciebie kolej przyjdzie i nie będzie cię bronić komu. Ludzi zbierz, a pośpieszajcie! Niech Bóg szczęści dobrej sprawie.

Staruszek podniósł rękę drżącą i pobłogosławił nią Zbigniewa, który stał ciągle.

— Ojciec wasz, biedny, pobożny król nasz już sobą nie włada, już przed sobą nie widzi nic, uwolnicie go z więzów, występując przeciw wojewodzie.

Dawno czułem w nim zdrajcę.

Z tymi słowy odszedł Zbigniew, poruszony i obrachowujący, co miał czynić.

W dworcu już nań czekano. Greta stała we drzwiach wabiąc go ku sobie, Marko ścigał go i zabiegał, patrzali mu oboje w oczy, chcąc z nich wyczytać, co myśli. W

progu „Sobiejucha się odezwał:

— A! Miłościwy Panie nasz! Szczęście się Wam śmieje! Królewicz Bolko przyciśnięty pomocy żąda, szalony by był, kto by mu ją dał. Gdy nieprzyjaciel tonie, głupi rękę wyciąga!

Królewicz popatrzał nań tylko, gdy Greta w sieniach już nań następowała.

Niemka zmieniła się tu w dobrym bycie i próżnowaniu, królując i czyniąc, co chciała, po swej myśli. O piękność swą mniej była dbała, wiedząc, że Zbigniewa zawsze przy sobie utrzymać potrafi. Roztyła się, postarzała, a choć świeciło jeszcze na twarzy trochę wdzięku, resztką młodości, więcej w nich było bezwstydu niż uroku. Poczynała sobie z królewiczem śmiało, bo inaczej brał górę i tylko zuchwalstwem wygrywała. Wbiegła za nim do izby i, gdy siadł zmęczony, uderzyła go po ramieniu, wołając:

— A co? Przyszła pora! Nie ruszajcież się! Niech ginie Bolko, Wam

przyjdzie całe królestwo! Niech ginie zuchwały dzieciak! Niech ginie!

Powtarzała, nogą bijąc i rękami.

Zbigniew siedział pogrążony, jak by nie słyszał i nie słuchał. W końcu go to coraz głośniejsze szczebiotanie zniescierpliwilo, odwrócił się namarszczony i rzekł

ostro:

— E! Ty sroko niemiecka! A do kądzieli i do krosien! Co ci do tego, co ja mam poczynać!

Niemka oburzyła się, jak ukropem oblana skoczyła, oczy się jej rozszerzyły, udała śmiech, chcąc nim pokryć złość.

— Cóż? Źle radzę?! — krzyknęła. — Czy mi już mówić nie wolno?

Wtem stojący na czatach Marko się przybliżył.

— Wasza Miłość pewnie sami wiecie najlepiej, co czynić, nikt tu z nas rozumu takiego nie ma, aby śmiać radzić. Toć to zresztą rzecz jak na dłoni jasna, że tego ratować, co jutro wygnąć może, byłoby szaleństwem. Bolkowi się panowania chciało nad miarę, niechaj ginie. Waszej Miłości dostanie się

całe królestwo.

Zbigniew był pogrążony, namowy te i kuszenia obły się o niego, nie

poruszając wcale. Obrócił się do Sobiejuchy:

— Ludzi kazać zwołać, ile ich jest! Do koni! Żywo! Dwór, drużyna, pułki, kto żyw, niech się zbierają, w pochód przed wieczorem! Słyszysz! Niech w rogi uderzą!

Marko stał, uszom nie dowierzając.

— Słyszysz! — powtórzył zapalczywie królewicz. — Słyszysz, co

mówiłem! Zwoływać ludzi! W pochód!

Greta dawała znaki Markowi, aby ją z nim samą zostawił, Sobiejucha nie ustępował.

Po chwilce rzekł pokornie:

— Ja uszom nie wierzę. Wasza Miłość nie możecie tam iść, po co my tam?

Nie będzie czasu zebrać pułków wszystkich, a z tą garścią, która tu jest, co pomożemy?! Czekać, aż się wszyscy ściagną, będzie za późno.

Królewicz się namarszczył.

— Tyś tu księciem i wodzem, czy ja? — wybuchnął, idąc ku niemu groźnie.

Ułakł się Sobiejucha, ale stał, gdy śmiała dziewczyna, za połę sukni pochwyciwszy Zbigniewa, pociągnęła go mrużąc go jeszcze do drugiej izby. Tu dlań stół był zastawiony, bo przede mszą nie jadł królewicz. Posadziła go za stół, polewkę mu z win podsunęła, mięso z misą odkryła, chleb poczęła krajać.

Zbigniew siadł milczący, lecz do jedzenia mało okazywał ochoty, patrzył oczyma osłupiałymi na stół i nieruchomy dumał. Greta niespokojnymi oczyma go ściagała, udawała łagodną, zmuszała się do uśmiechu.

— Jedzcie no, jedzcie — poczęła — człowiek, póki głodny, nie ma do

niczego siły, potem pomyślicie! Czas na to jest. Jedzcie i pijcie, na zdrowie Wam!

Dobrze Wam u siebie w domu, spokojnie, jest dla wszystkich dostatek, a tu wywołują i ciągną na biedę.. Cudzej sprawy bronić.

Rada była wywołać słowo, Zbigniew uparcie milczał. Rzucił potem nóż, który już był wziął w rękę, z siedzenia się zerwał i poszedł ku oknu.

Właśnie podwórcem szedł jeden z sotników, tak spokojnym krokiem

powolnym, jak by się nic nie stało na świecie. Zobaczywszy go księżę krzyknął:

— Psubraty! Co, jedziesz na żółwiu? Aza ci nie wiadomo rozkazanie!

Wszyscy ludzie do koni, kto żyw! Ruszaj, biegnij, wołaj! W rogi niech trąbią, aby konie z paszy wracały! Idź!

Sotnik stał zdumiony.

— Na koń siadaj, leć na podzamcze, do obozu, po szopach!

Ludzie na koń! A nu!

Powtórzony rozkaz usłyszawszy, sotnik się zerwał i kopnął co prędzej ku szopom. Wtem we drzwi wszedł Marko czerwony z gniewu.

— Miłościwy Królewiczu! — zawołał. — Do nóg Waszych się kładnę! Nie

czyńcie tego! Nie godzi się Wam iść! Sami przeciwko sobie idziecie? To nie może być!

Greta milczała.

Zbigniew, który złym będąc, aż do wściekłości szalał, kłaniającego się nogą potrącił.

— Idź na wskroś ziemi, trutniu! — krzyknął. — Co, ty mnie, mnie będziesz uczył rozumu!

Sobiejucha, choć spodlony, tą zniewagą, uczynioną przy niewieście, uczuł się dotknięty.

— Jam przecież nie człek niewolny, aby mnie nogami kopano! — zawołał.

— Sługa mój jesteś! — w największym gniewie wrzasnął Zbigniew. — Do ciemnicy z nim!

Zbladła Greta stała, ręce złożonywszy, Marko jak zdrętwiały nie poznawał pana. Milczał.

Po chwilce, gdy się jękając chciał coś odezwać, Zbigniew milczeć mu nakazał.

— Precz mi z oczów! Hurki wołać! — rzekł miotając się. Hurko był oprawcą i stróżem przy ciemnicy.

Na hałas w izbie poczęli się zbiegać komornicy. Zbigniew im wskazał

Marka.

— Do kuny go wsadzić! Do ciemnicy, do kłody! — wołał księżę. — Hurko do mnie!

Nim Marko miał czas słowo przemówić, komornicy, którym był dojadł, pana widząc rozgniewanego, pochwycili go i opierającego się na rękach niemal precz wynieśli.

W miejsce Sobiejuchy zawołany tysiącznik, człek prosty, a posłuszny ślepo, który służył tylko, aby żyć i zarabiać wojną na łupach, a czasu pokoju na ludziach, których wodził, dostał rozkaz zbierać, co żyło, i w gotowości być przed wieczorem.

Dopiero rozporządziwszy tak, Zbigniew spojrzał na stół, na kubek i misy i siadł do śniadania. Greta, widząc go tak zapalonym, odzywać się nie śmiała. Wiedziała, że burzę trzeba przeczekać i zajść z innej strony. Podsunęła mu dzbanek z winem, nalała kubek. Królewicz począł gwałtownie, spiesząc, jadło chwytać i szybko popijać. Pilno mu było. Greta czekała i patrzyła na pozór spokojna. Dopiero gdy mu się lice zarumieniło od napoju, odezwała się płacząco:

— A! a! Trzeba mi pana, z którym tak dobrze było, tracić! Kto wie, co będzie z tej wyprawy. Drzę myśląc. Ludzi mało macie. Posłaniec mówił, że przeciwko wojewodzie Was wołają, a Sieciech ma tysiące. — O mój Boże miły!

Byle mi pana mojego nie zabili, nie ranili. Co ja pocznę, nieszczęśliwa sierota? Co ja pocznę? — Zasłoniła twarz chustą i fartuchem, bo płakać jej było potrzeba.

Spojrzał Zbigniew, który miał już czas poznać ją lepiej, i ramionami strząsnął pogardliwie.

— E, ty! — zawołał. — Nie myśl, że mnie odurzysz albo nastraszysz! Idź

lepiej, suknie i odzież gotuj dla mnie, pilnuj, niech sakwy wiążą!

Greta ciągle płacząca zbliżyła się z twarzą na pół zakrytą.

— A! Wam — przebaknęła — Wam się zdaje, że na Sieciecha iść, choćby

we dwu na jednego, mało znaczy. Wojewodzie Wy nie uczynicie nic! Z nim Wam albo razem iść, albo od niego ginąć. On tu pan.

— A tego właśnie ja nie chcę, żeby on tu był panem! — zawołał Zbigniew.

Greta nieśmiało rączkę mu położyła na ramieniu, poczynając go głaskać i podpieszczać.

— Po cóż Wam samym iść — szepnęła. — Poślijcie z lichem, gdy chcecie.

Król się na Was rozsierdzi, Sieciech mścić się będzie.

Milczał Zbigniew i te niewieście fortele nie pomagały.

Na podwórcach tętnieć zaczynało. Odzywały się rogi, nawoływali się ludzie, pędzono konie z bliższych łąk, biegli żołnierze, znosząc zbroje i wlokąc oszczepy.

Dowódcy krzyczeli, ruch coraz .większy się zrywał. Greta nie wiedziała już, co dalej poczynać.

— Wy Bolkowi wierzycie — rzekła w końcu. — Któż to wiedzieć może, czy to nie zasadzka, nie zdrada? Może na Was zastawione sidła?

— Magnus jest z nim, nie może to być — odparł Zbigniew.

— O! Magnus — gniewnie poczęła Niemka — taki dobry jak Bolko, jak oni wszyscy. Wy sobie sami kamień do szyi przywiązujecie! — Mówiła długo jeszcze, ale ksiązę zdawał się jej nie słuchać.

Zjadłszy wyjrzał oknem na komorników. Zawołał i wyszedł z izby,

zostawując ją zaperzoną, nieprzytomną prawie z bezsilnego gniewu. Za wychodzącym podniosła dwie pięści zaciśnięte, zakreśliła się i do swej izby pobiegła.

Nie było już sposobu powstrzymać go. Marko siedział w ciemnicy, Gretę przepędzono, w podwórcach ludzie się gromadzili, nowe oddziały z okolicznych grodków przybywały, ale w tak prędkim czasie nad kilkaset głów zebrać nie było podobna.

Najgorzej na swej wierności Sieciechowi wyszedł Sobiejucha, któremu

pozostać zamkniętemu na cały czas niebytności pańskiej, nie korzystać z wyprawy, stracić zaskarbiającą łaskę tak niespodzianie, było klęską straszną.

Jednego ze stróżów wysłał do Zbigniewa, prosząc pokornie o uwolnienie, ofiarując się iść, gdzie mu każą, a ksiązę rozśmiał się złośliwie i przykazał tylko z ciemnicy do izby przeprowadzić, a w niej go trzymać do powrotu o chlebie i wodzie, aby się pana szanować nauczył. Nie pomogły ponawiane błagania i prośby innych sług, królewicz śmiał się szydersko; czyniło mu to rozrywkę, że mógł nieco uzuchwalonego poskromić.

Przy pożegnaniu Greta się za nim także wstawiać próbowała; Zbigniew się jej w oczy popatrzył i rzekł przez zęby:

— Młodszego sobie znajdziesz!

Tym ją do milczenia zmusił.

Ku wieczorowi pan, dwór i oddziały były w gotowości, drużyna przybrana cudacko, Zbigniew pierwszy raz występujący rycersko i z wielką ochotą. Nie omieszkał nakazać, aby wyciągając z zamku w rogi dęto i śpiewano.

Szedł królewicz, nie kryjąc się z tym, że wyprawa była mu po myśli.

Obalenie wojewody Sieciecha znaczyło dlań wiele, nie obawiał się nikogo prócz niego. Znał jego

rozum, przewagę nad królem, siłę w kraju; wolał, ażeby mu pozostał młody Bolko, którego się chytrą i podstępem pozbyć spodziewał.

Dlatego chętnie usłuchał arcybiskupa, nie dał się powstrzymać nikomu i wyjechawszy z Gniezna, kazał iść na wprost lasami, dopóki by konie spoczynku nie potrzebowały, przewodnicy spędzeni z osad wiedli na Wrocław z największym pośpiechem.

Tu przygotowania wojenne nie ustawały; Szlązacy, część Krakowian

Sieciechowi i rodowi jego przeciwnych, ściągali się zbrojni do zamku. Ludzi zbierano, skąd tylko wziąć ich było można. Pułki Strzegonia, zmieniawszy starszyznę, w części przeciągnięto dla królewicza, Magnus czynny słał na wszystkie strony, pomagał biskup, a z nim i duchowieństwo całe, bez którego nic by się uczynić nie dało. Gród starano się na wszelki wypadek umocnić.

Wysłani szpiegowie na granicę potwierdzili to, że u Czechów nikt się nie myślał nawet na Polskę sposobić.

Gdy Zbigniew po przyspieszonym pochodzie stanął pod zamkiem z ludźmi swymi Magnus i Bolko gotowi byli nie tylko się bronić w miejscu, ale wyruszyć przeciw Sieciechowi, nie czekając na niego. Dochodziły wieści z Płocka, że wielki wojewoda rąk też nie opuszczał i zabrawszy chorego króla, pościągawszy wojsko, ile go mógł znaleźć, szedł już na spotkanie królewiczów, bo mu oznajmiono, że i Zbigniew pojechał się z Bolkiem połączyć. Nie było czasu do stracenia, Magnus oblężenia w mieście rad był unikać.

Dwaj bracia powitali się w bramie, jak by najczulsza miłość ich łączyła. Ze strony Bolka uczucie było szczere, wdzięcznym się czuł bratu za to, że w pomoc mu przybywał. Rzucił się na szyję Zbigniewowi i ująwszy się za ręce, przeprowadzeni przez tłum Szlązaków, wśród okrzyków szli na zamek.

Znowu w tej wielkiej izbie, pamiętnej Zbigniewowi po pierwszym wyjściu z klasztoru, powtórzyła się tłumna i wrzawliwa narada z panami Wrocławian i Szlązakami, ze starszyzną wojskową, ze wszystkimi, co przeciw Sieciechowi iść się gotowali.

Bolko dał głos starszemu, który łatwiejszą i obfitszą miał wymowę, a umiał

to okazać, że nie przeciwko ojcu oręż podnosili, lecz w obronie króla na wspólnego wroga.

Okrzyknęli wszyscy:

— Idźcie! My z wami! Dostyc panowania wielkiego wojewody! Precz ze

zdrajcą!

Wprost z izby, Zbigniewa zdawszy na ręce Magnusa, Bolko pośpieszył do swoich oddziałów, do drużyny, sposobiąc się ze zwykłą gorącością na tę wyprawę, w której widział tylko upragnioną wojnę.

Pomimo że wszystko zdawało się gotowym, z największym przysposabiając się pośpiechem, Bolko nim Zbigniewa doczekał, nim zebrał ludzi, tygodnie upłynęły. Chociaż nieszybko naówczas przez wielkie obszary puste i lasy wieści przechodziły po kraju, po chatach, osadach, miastach, wszędzie już wiadano o tym, iż synowie oba z wojskami się przeciwko ojcu przysposabiali. Przyjaciele Sieciechowa obwoływali: — Dzieci się podniosły przeciwko rodzicowi własnemu.

— Nieprzyjaźni wojewodzie głosili, że chciał syna królewskiego zgubić i zabójców nań nasadził. Brali jedni stronę Sieciecha, drudzy królewiczów. Duchowieństwo różnie było usposobione, ale znaczniejsza część otwarcie lub tajemnie szła za arcybiskupem, przeciwko wojewodzie.

Dnia jednego wreszcie, gdy już coraz bliżej o nadciągającym Sieciechu słychać było, pułki połączone Bolka i Zbigniewa ruszyły z Wrocławia, przy wielkim zbiegowisku ludu, z Magnusem razem, ku Żarnowcowi, dokąd i

królewskie siły zmierzać miały.

Gdy już wyciągać przyszło, a miasto opuszczać, Bolko pobożniejszy z konia przed kościołem zsiadł, aby od kapłana wziąć błogosławieństwo. Zbigniew jechał

tak obojętny, jak by na wilki się wybrał lub na dzikich Pomorców. W duszy młodszego dziecka, kochającego ojca, rodził się niepokój, azali nie było ciężkim grzechem z orężem występować przeciwko niemu. W ostatniej godzinie myśl ta gryzła go mocno. Gdy ojciec Tyburcy wyszedł na próg ze święconą wodą i krzyżem, aby im pobłogosławić, Bolko przypadł doń tak poruszony, że staremu łza się zakręciła w oku.

— Ojcze — odezwał się — błogosławcie, ale proście Boga, aby się ta wojna nieszczęsna bez krwi rozlewu skończyła. Ojca naszego, króla, ujął zdrajca i przeciwko nam prowadzi. Idziemy, zmuszeni jesteśmy iść przeciw rodzicowi własnemu.

— Starcowi łez, sobie zgryzot oszczędźcie — odezwał się ojciec Tyburcy.

— Jeżeli zgoda możliwa, jednajcie się. Niech Bóg prowadzi i błogosławi, a da pokój i zgodę między pany chrześcijańskimi.

Z tymi wyrazy pocieszającymi Bolko siadł na koń, wojska już przodem wyciągały milczące. Zbigniew jechał wesół, szyderski, choć dokoła miał zasepione czoła i ludzi niespokojnych a frasobliwych.

Z jednej strony dzieci, z drugiej król, ojciec, z obu wojsko jednej ziemi, bracia i powinowaci. Każdemu na myśli było, iż własną krew przelewać będzie.

Przeklinano człowieka, który ten rozdział uczynił i nieszczęścia był przyczyną.

Im dalej wojska się posuwały ku Żarnowcowi, tym w Bolku rósł niepokój. Z

drogi już chciał przodem do króla słać, ale nikt się na to poselstwo nie ofiarował.

Znane w wielu razach Sieciecha okrucieństwo odstraszało, przewrotność jego o skutku wątpić kazała.

Już byli o półtora dnia drogi od Wrocławia, gdy nie znajdując nikogo, co by do króla chciał jechać, Bolko, z Magnusem się naradziwszy, wyprawił do Wrocławia nazad, aby ojca Tyburcego uproszono i przywieziono go. A że drogi po długich deszczach rozkiśły były, zatrzymano się spocząć i obozować, póki by staruszek nie przybył. Duchownemu przystawało najlepiej być pośrednikiem do układów.

Zbigniew nie wiedział o niczym, gdyż zgody żadnej nie pragnął. Powtarzał ciągle jedno, że Sieciecha precz wygnać trzeba, albo mu głowę wziąć, iż śmiało stawać między ojcem a dziećmi. Wielu zapalczywych mu wtórowało, o królu zresztą, jak by go na świecie nie było, nikt nie myślał. Wiedziano, że narzędziem stał się posłusznym.

Drugiego dnia wezwany staruszek przybył do obozu. Magnus go niemal po niewoli zabrać polecił, jechał więc mniej wesół niż zwykle. Dopiero gdy go z konia zsadzano, Zbigniew zobaczył księdza i pytał:

— Cóż to tu ten stary klecha ma robić i po co on nam potrzebny?

— Potrzebny jest — rzekł Bolko — aby się swoja krew nie lała. Poślemy go do króla ojca, niech Sieciecha od siebie odegna precz, a wojny nie będzie.

Zbigniew pomyślał i zamruczał szydersko:

— Król tego nie uczyni, bez swojego kochanka się nie obejdzie. Wojna musi być, na gardło mu nasiąść trzeba, inaczej spokoju nie będziemy mieć nigdy.

Nie chciał się z nim sprzeczać ani Magnus, ni brat. Swoje czynili.

Wysłani za językiem donieśli tego dnia, że król i wojsko Sieciechowe pod Żarnowiec się już ściągało.

— Pójdziemy i my ku nim — rzekł Zbigniew.

— Anizeli pójdziemy my — odparł Bolko — niech ojciec Tyburcy jedzie ze słowem pokoju, niech powie, że nie na ojca ani na króla godzimy, ale na zdrajcę, który pokój mąci i gubić nas chce. Niech Sieciecha oddali.

Nie sprzeciwiał się Zbigniew, ale na stronie wyszydzał te próby.

— Próbujcie — mówił — ja nie przystanę na nic, dopóki wojewoda na tej ziemi choć jedną stopą stać będzie.

Z małym, skromnym orszakiem, danym mu dla bezpieczeństwa, wyjechał

ojciec Tyburcy przodem ku Żarnowcowi.

Obóz też, ruszywszy się po spoczynku, wolniejszym pochodem za nim się posuwał. Choć lud to był rycerski, ochotny do boju, posłuszny, widzieli wszyscy, że ociągając się i niesporo szedł na tę wojnę. Począwszy od Bolka, do ostatniego z ciurów, nikomu ona miłą nie była, a wielu straszną się wydawała i bezbożną.

Każdy to w pamięci miał, że gdyby przyszło do walki, stanąłby przeciw druhom, z którymi nieraz pił, jadł i legał po obozach. Myślał każdy, że ręka mu zadrży i opadnie, gdy ją na jednego ze swoich podniesie. Ani śpiewów, ani okrzyków, ani rażnego ducha nie było. Posępnie się wlokło wojsko, wzdychali ludzie, wielu przeklinało. Można było przewidywać, że wielu rzuci oszczepy, gdy je przyjdzie broczyć we krwi własnej. Jednego Sieciecha, gdyby się im w ręce dostał, nikt by pewnie nie żywił i nie miał nad nim litości.

Rachowano, że ojciec Tyburcy powróci, nim do Żarnowca dociągną. Tak się też stało. Drugiego dnia ujrzeli zmęczonego i obmokłego staruszka, którego obok na koniu jadący pacholiki podtrzymywać musiał, a inny mu konia za uzdę prowadził, bo nim sam ojciec Tyburcy nie mógł kierować. Zaledwie się pokazał z dala, poskoczyli ku niemu Bolko, Zbigniew i Magnus. Zdjęto go z konia i posadzono pod drzewem, aby odpoczął; obstała starszyczna.

— Cóż król? Co Sieciech? Jak poselstwo przyjęto? — zarzucono pytaniami.

— Król? Król płacze — odpowiedział staruszek — nie mówi nic, ręce łamie.

Sieciech za nim stoi, Sieciech za niego odpowiada, Sieciech tam jeden jest, reszta nie waży nic. Sprawilem poselstwo. Król sam nierychło mi dał podyktowaną sobie odpowiedź, że oszczerstwo żywe jest, co o wojewody zdradzie i przeniwierstwie ludzie głoszą, że bez niego on żyć ani być nie może, nie chce, że go nie porzuci ani się go wyrzeczy.

Usłyszawszy tą odpowiedź, zamilkli wszyscy. Nie było więc ratunku, wojna się stawała nieuniknioną. Załamywali ręce po cichu wodze i żołnierze. Ociągac się nie było już powodu,

Magnus dodawał serca.

— Cofac się nam za późno — rzekł — trzeba ginąć lub na swym postawić.

Sieciech nam nie przebaczy nigdy.

Dano hasło do ciągnięcia, wojska ruszyły znowu takim pochodem żałobnym, jak szły wprzód. Już i Pilica była blisko, a gdy z lasów pierwsze się oddziały wysunęły, a zamek okazał nad wielkim stawem usadowiony, wodami oblany, Bolko wskazał u brzegów rozłożone szeroko namioty białe, stada koni, ogniska i chorągwie powiewające nad nimi. Królewski obóz w niewielkiej znajdował się odległości, tak że uciszywszy się głosy i gwary od niego dochodzące postłyszeć było można.

Magnus w odległości takiej, aby się z sobą ludzie stykać nie mogli i zdrady nie knowali, wojsku pod lasem położyć się kazał. Stały dwa zastępy oko w oko przeciwko sobie.

Królewski obóz miał zamek, staw i groble, o które się opierał, królewicze jeno las poza sobą, z którego się wydobyli. W milczeniu poczęto się rozkładać na równinie, a namioty tak rozwinięto, aby Sieciechowi zdać się mogło, iż wojsko liczniejsze było, niż w istocie mieli.

Słońce zachodziło, gdy Szlązacy i Krakowianie położyli się i ogniska rozpalać zaczęto. W drodze wyraźne milczenie i smutek tu się jeszcze stały bardziej uderzającymi; ludzie po cichu legli na ziemi spoczywać, jak by z niej wstać nie mieli. Bolko nawet zapal wojenny utracił, Magnus siedział ponury, Zbigniew za wszystkich poruszał się, szydził i odgrażał.

Już się ku nocy brało, gdy spostrzeżono ludzi kilku od Żarnowca groblą jadących na koniach, którzy gałęzmi zielonymi wiewali nad sobą i w róg przed nimi trąbiono! Magnus i Bolko, którzy konie zawsze mieli gotowe, skoczyli na nie i wybiegli przeciwko poselstwu temu. Na kilkadziesiąt kroków przybliżywszy się, poznali ojca Lamberta z kilką komornikami królewskimi, jadącego ku nim powoli.

Stanęli na łące, a Bolko z konia zsiadł, aby księdza pozdrowić.

Kapelan królewski z twarzą jechał tak bolesną i zachmurzoną, iż zrazu słowa dobyć z niego nie było można. Poselstwo mu to ciążyło, rozwarł ręce szeroko i zawołał:

— Upamiętajcie się! Co czynicie! Azali dzieciom przeciwko ojcu iść się godzi?

Nie dając Bolkowi słowa odpowiedzi, Magnus wojewoda pochwycił

spiesznie:

— Nie przeciwko królowi ani przeciw ojcu idziemy, ale przeciw

Sieciechowi! Nie złożym oręża, aż pójdzie precz ten, który królewską władzę sobie przywłaszczył i na życie królewskich dzieci godził.

— Oszczerstwo jest! — zawołał z oburzeniem ojciec Lambert.

Magnus wnet zwrócił się, powołując ku sobie opodał stojącego Strzegonia, którego zobaczył szczęściem w chwili, gdy mu był najpotrzebniejszy.

Rozmowa się przerwała, aż stary nadbiegł konno i na zawołanie się stawił.

— Mów — odezwał się Magnus — świadczy o prawdzie. Nie nakazano ci, nie zapłacono ciebie i innych, abyście królewicza na zasadzkę prowadzili?

— Tak jest — począł stary, w piersi się bijąc — tak jest, Boże mi dopomóż, gotówem to poprzysiąc w kościele. Oprócz mnie niech wezwani zostaną do przysięgi i na sąd boży Halka, Strzepa i Zabój Żelazny. Nie chcę gubić duszy, prawdę powiem, choćbym cierpieć za nią miał!

Ojciec Lambert spojrział przerażony, spuścił głowę i zamilkł. Zbliżył się ku niemu Bolko.

— Ojcie mój — rzekł — znacie mnie z dawna, że ojca miłuję, a życie zań dać byłbym gotowy. Nie przeciwko ojcu idę, ale dla wyzwolenia go z rąk złego człowieka. Sieciecha niech odegna precz, z nim zgody nie ma! Zdrajcą jest!

Ojciec Lambert długo wyrazu nie mógł znaleźć na odpowiedź, aż się cicho odezwał:

— Stójcież obozem, jak stoicie, nie ruszajcie się, niech się krew nie leje na próżno. Jadę do króla.

— Cóż to pomoże? — przerwał Magnus. — Sieciech ze swych szpon na

chwilę go nie wypuszcza. Nie uczynicie nic!

— Mnie to zostawcie — rzekł Lambert — nie podnoście oręża, póki jest najmniejsza nadzieja. Kto pierwszy krew przeleje, bratobójstwa winien będzie.

— Stać więc mamy a czekać, aż nas wojewoda otoczyć każe, wypatrzywszy miejsce i czas, naskoczy i wyrzeże? — zapytał gniewnie Magnus.

— Król tego nie dopuści — przerwał Lambert. — Czekajcie, azali mnie i innym duchownym zgody się wymodlić nie uda.

— Weźcie z sobą ojca Tyburcego — dodał Bolko — ten jest świadom

wszystkiego i pomoże Warn, a gdy się co stanie; wiadomość nam przyniesie.

Posłano po starego. Dwaj duchowni wkrótce razem się oddalili, do Żarnowca wracając.

W obozie czaty postawiono, surowo zakazując, aby u wodopoju w Pilicy, u stawu na łąkach, gdzie by się kolwiek przyszło spotkać z królewskimi, nikt ani zaczepiać, ani wdawać z nimi się nie śmiał. Magnus białe koły pozatykać kazał

daleko, poza które przechodzić nikomu nie było wolno.

Z drugiej też strony nie kwapiono się do napaści, i tam panowała cisza. Noc padła na dwa obozy, w których tylko rozrzucone gdzieniegdzie ognie błyskały; noc, w czasie której ze starszyny nikt, oprócz Zbigniewa, nie bardzo się troszczącego o wojnę, nie zasnął.

Bolko, Magnus, pułkownicy, starszyna poprzypadała, ledwie hełmy

pozrucawszy, na ziemię, aby każdej chwili gotową być ruszyć, jeżeliby ich w nocy napadnięto.

W zamku także świeciło się przez noc całą, czaty chodziły z obu stron, okrzyki ich tylko słyhać było, rżenie koni na pastwiskach i obozowych psów szczekanie, których każde wojsko wiele za sobą prowadziło.

Długa jak wiek, czarna, posępna, smutna noc przeszła nareszcie, na brzask się zabierało, patrzano w stronę zamku, ani ojciec Tyburcy, ani Lambert nie przybywali. Rozwidniało, zarumienił się wschód,

ukazało słońce, konie poić prowadzono i jadło warzyć dla ludzi, rozbudzili się wszyscy, a na grobli ciągle jeszcze pusto było i pusto — nikogo.

III

Gdy się dzień wielki zrobił, Magnus wojsko objeżdżać począł, Bolko

drużynę swą zbierał. Jawną zdawało się być rzeczą, iż się już zgoda nie sklei i gotować się trzeba było do walki. Starszyzna, na łąkę przed obóz wybieżawszy, stała przypatrując się królewskim, licząc ich, poznając pułki, które gdzie stały, i czekała.

Ojciec Tyburcy przynajmniej co chwila wrócić był powinien, a i on się nie pokazywał. W milczeniu ponastawiano kociołki, aby żołnierza podkarmić zawczasu, dzielono chleby; cisza i smutek, jak wczora, panowała w obozie.

Słońce się już było podniosło dobrze, gdy na haci przez moczary idącej ujrzano jezdnych. Bolko, poznawszy ojca Tyburcego po czapce, siadł na koń i ku niemu się puścił czwałem. Miał jeszcze jakąś nadzieję, że król ulituje się i przelew krwi nie dopuści. Z dala zobaczywszy królewicza, staruszek ręce podniósł do góry i zdawał się dobrego coś zwiastować.

Na głos przybieżawszy, Bolko posłyszał wołanie:

— Sieciech z częścią wojsk uszedł na zamek swój do Sieciechowa, nie ma go! Król czeka na Was! Przebaczyc gotów wszystko!

Tuż i Magnus, choć ciężki, dopędzał Bolka, obawiając się, aby bez niego młody pan, jak zwykle, nie uniósł się zbyt serdecznością.

Usłyszawszy, co ksiądz zwiastował, krzyknął wojewoda z dala:

— Z wojewodą więc rozbrat na wieki?

— Jużci go nie ma! Do dnia odciągnął z obozu! — rzekł Tyburcy. —

Opłakał go król. Co najrychlej spieszcie się panu pokłonić!

Chociaż bardzo się było można obawiać zdrady, ręczyło słowo kapłańskie za prawdę. Bolkowi dosyć tego było, natychmiast po Zbigniewa słał i po panów szląskich a starszyznę, żeby do niego przybywała.

Na wieść o oddaleniu Sieciecha radość wielka wybuchła w obozie całym.

Wołać zaczęto i wykrzykiwać: — Nie ma wojewody! Musiał iść precz!

Zbiegli się starsi rozpytywać, jak i kiedy uszedł Sieciech i jak się to stać mogło. Ojciec Tyburcy opowiadał, że nocą, widząc króla zachwianego, obawiając się, aby przy zgodzie z dziećmi nie ujęto go, Sieciech sam się zażądał oddalić, ze swymi wiernymi puszczając się nagle ku Wiśle i Sieciechowi Nie byłby pewnie ustąpił, gdyby duchowieństwo nie stanęło przeciw niemu i nie starało się króla nakłonić do zgody.

Co rychłej poczęli się gromadzić starsi z wojska, których Magnus prowadził.

Bolko odżył, śmiała mu się twarz rozradowana. Zbigniew, który wprzódki niemal wesół był, teraz pochmurniał i mrucał gniewnie, ale się cofać sam jeden nie mógł.

Siadła zaraz na koń starszyzna, a na jej czele królewicze oba z Magnusem.

Dzień piękny i jasny przyświecał szczęśliwej zgodzie.

Nie dojeżdżając do zamku, Bolko stanął i zawołał swojego Pruszynekę.

— Nie godzi się nam — zawołał — stawać przed ojcem z bronią, którąśmy przeciwko niemu podnieść byli zmuszeni, rozbrójmy się!

Zbigniew zakrzyknął z początku i słuchać o tym nie chciał, dopiero gdy młodszego zobaczył, przykład mu dającego z siebie, miecz odpiął i oddał słudze, przykazując go nieść za sobą.

Tak się milcząco ku zamkowi zbliżali. Ludu przy królu, oprócz dworu, nie pozostało wiele, znacznieszą część wojska, i to najlepszego, Sieciech uprowadził z sobą.

Na zameczku lichym dość i ledwie ogrodzonym, który tylko głębokie ze czterech stron przekopy broniły, cisza panowała straszna. Część dworu Władysława w podwórku stojącą widać było. Zsiedli z koni królewicze, Magnus, starszyzna i pieszo się udali ku panu.

Do izby królewskiej synów naprzód samych puszczono. Smutny widok oczy ich uderzył, gdy drzwi się otwarły przed nimi. Król chory leżał na lichym dosyć pościeliu na ziemi, blady, dysząc ciężko, zmieniony dziwnie, bo zwykle dobrotliwy i powolny, zdał się być gniewnym i z bólu prawie nieprzytomnym.

Drgnął, usłyszawszy otwierające się drzwi, podniósł głowę i zobaczywszy synów, opuścił ją na pościeliu, zamykając powieki, jak by na nich patrzeć nie chciał. Twarz, którą Bolko znał tak dobrze, uśmiechającą mu się zawsze z wyrazem czułości i dobroci, była jakby przestraszona i napiętnowana cierpieniem. Blade ręce wystające spod kożucha, którym był okryty, rzucały się i drgały konwulsyjnie.

Bolek pierwszy przypadł do nóg ojcowskich. Nie ujął go jak zawsze, nie uściśnął, zbył obojętnym milczeniem bezwładnym. Surowiej jeszcze popatrzał na Zbigniewa. Oba poczęli się korzyć przed ojcem, a starszy rzekł:

— Ojczy Miłościwy, nie obwiniaj nas, żalu nie miej, mamy świadki jawne, które poprzysięgną, że zdrada knowana była. Sieciech na królestwo Twe godził, dlatego nam życie chciał odebrać.

Na próżno czekali odpowiedzi, potrząsnął tylko głową milcząc król. Dopiero gdy przez okno zobaczył cisnących się panów szląskich i Krakowian, których Magnus z sobą prowadził, jak by się ich uląkł, bełkotać coś począł. Ponieważ ci, co na króla czekali, w ciasnej izbie pomieścić by się byli nie mogli, król skinął na komorników, aby mu rękę podali, i z synami razem wystąpił do przedsienia, zgarbiony, z głową zwieszoną, jak by zawstydzony był i upokorzony.

Na widok tego schorzałego starca, drżącego, wszyscy odkryli głowy, a Magnus się przybliżył ku niemu. Rozpoczął mowę do króla, w której o zdrady, uciski, przekupstwa i tyranii wojewody opowiadał, otaczający przerywać, wołać, pokrzykiwać jęli ze wszech stron. Króla przeraziło to widocznie, pobladł, powiódł

oczy i co podniósł głowę, to ją spuszczać musiał, jak by przestraszony tym hukaniem i głosami.

Słowa z niego dobyć nie mógł nikt. Synom nie dawał przebaczenia, panom przyzwolenia na nic; oczyma osowiałymi wodził po zgromadzeniu, na wszystko przystając, nie požądając nic. Zacięte usta, brew namarszczona, czoło sfałdowane okazywały, że dusza się jeszcze nie uspokoiła, że uległ sile, lecz przekonań swoich nie zmienił. Na próżno Bolko i Magnus odzywali się doń kilkakrotnie, wywołując choćby słowo.

Milczał. Bolko go całował po rękach, cofał mu dłonie i chował je przed nim, na zapytania nalegające głową obojętniej potrząsał. Usta mu się poruszały czasem, głos z nich nie wychodził.

Wrzawa i mowa Magnusa nie przerywana, trwająca w podwórzu czas dosyć długi, znużyły w końcu króla tak, iż się już ledwie na nogach mógł utrzymać.

Komornicy zaprowadzili; go do łoża albo raczej na rękach zanieśli.

Tymczasem oba wojska pod zamkiem się połączyły, starszyzna zesła

obradując, co dalej czynić przystało.

Magnus pierwszy rzekł:

— Zdrajca pociągnął do Sieciechowa, tak twierdzą wszyscy; dopóki on na tej ziemi, pokoju w niej nie będzie. Ścigać go musimy i iść za nim, póki nie wyżeniem precz.

Zgodnie zaczęto wołać: — Do Sieciechowa! Na Sieciechów! Wołanie to tak było głośnie, iż się obilo o uszy króla, przy którym był ojciec Lambert.

— Czego oni chcą? Co to za krzyki? Sieciechów? Co oni mówią? —

odezwał się niespokojny.

— Na Sieciechów ciągnąć pono wybierają się, aby go oblegać — odparł

kapelan.

Zadumał się król mocno, ale nie powiedział więcej nic. Był znów jakby bezmyślny i bezwładny. Sam pozostawszy, albo sobie modlitwy czytać kazał, albo głowę zanurzywszy w dłonie, siedział milczący i łzy mu się toczyły po twarzy.

Bolko, którego tak kochał dawniej, uścisku u niego nie mógł wyprosić; spoglądał nań ukradkiem, ale dawne objawy czułości ojcowskiej nie powracały.

Tak samo jak wprzód rozkazywał mu Sieciech, teraz Magnus, synowie i starszyzna czyniła, co chciała.

Cały ten dzień zszedł na przygotowaniach do wyprawy na Sieciechów, która postanowioną została. Oznajmiono królowi, iż nazajutrz rano ciągnąć potrzeba; nie sprzeciwił się, szepnął tylko ojcu Lambertowi, aby o świcie ze mszą był gotowy.

Do dnia połączone siły ruszyły naprzód spod Żarnowca. Króla wsadzono na konia, a dwór cały, ojciec Lambert, Magnus, synowie kołem go otoczyli. Dnia tego i następnych nie zmieniło się prawie w królu to milczenie i zanurzenie w sobie.

Dopiero gdy Wisła się ukazała, a za nią na przeciwnym brzegu mury

opactwa sieciechowskiego i zamku, król drgnął żywiej, poruszył się, otaczający go ujrzeli jakby promyk jaśniejący na twarzy jego.

Od ludzi pochwyconych na pastwiskach dowiedziano się zawczasu, iż

wojewoda z całą siłą swą do zamku swego się schronił, a wojska do obrony miał

podostatkiem.

Bolko znów już czuł tylko i widział przed sobą to, co najwięcej mu było upodobanym: wojnę; dla walki zapomniał o wszystkim, biegał po szeregach i pierwszy z drużyną swą, wyprzedzając innych, poskoczył ku brzegowi rzeki, która od zamku dzieliła, aby przeprawę i bród opatrzyć.

Zamek silnie był opasany wałami, tynami, przekopy, Wisła tuż pod nim płynęła szeroka i do przebycia niełatwa. Brodów, dawniej pozatykanych, teraz trzeba było szukać dla przeprawy, a czółen ani promu po tej stronie nie było.

Poniżej i powyżej zamczyska musiano ludzi słać, aby próbowali, gdzie najmniejsza była głębina.

Przeprawiwszy się wreszcie, zamek niełatwo zdobyć było, oblegać go

musiano. Wojewoda, ostrożny, we wszelki zapas opatrzył gniazdo swoje, które długo bronić się mogło. Na wałach widać było lud mnogi, zbrojnych rycerzy, a między nimi i czarne suknie benedyktynów.

Nim coś postanowiono o przeprawie, obozem z tej strony Wisły położyć się musiano, obrawszy miejsce suche i nieco wznioślejsze dla rozbicia namiotów.

Cieszyli się wszyscy, że król tego dnia, gdy się go najsmutniejszym widzieć lękali, do siebie przychodzić poczynął. Nie był już tak w sobie pogrążonym i milczącym.

Przodem wysłana czeladź królewska u samego niemal brzegu Wisły namioty pańskie rozbiła. Nie zdało się to dobrym Magnusowi dla chłodu od rzeki i wilgoci, chciał je kazać cofnąć nieco na suchszy pagórek opodal, ale przybywający Władysław ręką dał znać, iż chce tu pozostać. Przypisano

to znużeniu i chęci prędszego spoczynku, a że po raz pierwszy niemal wolę jakąś objawił, poszanowano ją.

Mrok już padał, gdy się oddziały rozkładać poczęły. Bolko i Magnus,

wyręczając w tym o nic się nie troszczącego Zbigniewa, posłali natychmiast ludzi brodów szukać, drzewo sposobić, tratwy zbijać, aby nazajutrz począć przez rzekę przepławę. Bolko późno już wśliznął się do ojcowskiego namiotu i uradował się wielce, znalazłszy go nie siedzącym i zadumanym, jak tych dni ciągle bywało, lecz przechadzającym się z twarzą rozjaśnioną. Zobaczywszy syna, stanął król, drgnął i jak pochwycony na uczynku, spuściwszy oczy, powlókł się na swe siedzenie.

Słowa już z niego dobyć nie było podobna. Widząc zaś, że Bolko zabiera się dłużej przy nim pozostać, po chwili król wskazał mu przez otwór namiotu niebo czarne, gdyż noc się stała ciemną bardzo, i zamruczał: — Noc, noc, dajcie mi spocząć!

Potrzebuję odpoczynku. Zimną rękę ojcowską ucałowawszy, cofnął się Bolko.

Namiot dla niego opodał trochę od królewskiego rozbito. Zbigniew ze swymi stał

też w tej stronie. Ludzie, pomęczeni wszyscy spiesznym pochodem, wcześniej się na spoczynek zabierali.

Zrzucił Bolko zbroję i ciężką odzież, drużynę spać odprawił, sam też wesoło zabrał się na posłanie oczekujące nań, nakazawszy Pruszyńce, który u wniścicia sypiał, aby go zbudził jak na brzask, o świcie.

Cisza coraz większa objęła wkrótce obóz cały. W Sieciechowie też światła gasnąć poczynąły na zamku; jedno tylko, jakieś czerwonawe, na górnej połaci niby lampa u obrazu płonęło jasno.

Czarna noc, wilgotna, chmurna, o krok prawie nic widzieć nie dozwalała. Po znużeniu twardym snem usnęli wszyscy. Krzyk i wrzawa zbudziły Bolka nagle.

Pruszyńka się porwał, schwycił królewicz, wprost biegnąc do zbroi i miecza, bo sądził, że Sieciechowi żołnierze na czółnach się podkradli i na obóz napadają.

Wtem Magnus wpadł w opończy jednej, z głową nie nakrytą, zdyszany.

— Król! — krzyknął. — Król!

Nie mógł wymówić więcej, zatamowanym, głuchym głosem powtarzał: —

Król!

Struchlał ze strachu Bolko, porwał się biec, wstrzymał go Magnus.

— Króla nie ma! Król uszedł do Sieciechowa!

Wiadomość ta była tak niespodziana i dziwna, że Bolko jej wierzyć nie chciał; jak stał, wybiegł ku królewskiemu namiotowi.

Widok był straszny. Resztę ludzi królewskich, którzy pozostali, jęczących, klękających, wypraszających się, wiązano i bito. Namiot dokoła oblegała starszyzna, wściekła z gniewu, obrywając z niego płótna, krzycząc i odgrażając się.

Na próżno komornicy króla zaklinali się, iż o ucieczce nic nie wiedzieli, słuchać ich, wierzyć im nie chciano. Zbigniew, chwyciwszy się półnagi ze swego legowiska, latał gniewny, odgrażając się i jątrząc drugich jeszcze. Całe wojsko biegło po konie, jak by nieprzyjaciel zagrażał, ludzie wdzielali zbroje, szykowano się, trąbiono, potracili głowy wszyscy.

Wtem jeden z czeladzi króla, zagrożony mękami, bo go już na ogień brać chciano, pokłękłszy, opowiadać zaczął, jak się to stało.

Władysław już musiał mieć umowę jakąś przez tajemnego posłańca z

Sieciechem uczynioną; gdy się wszyscy rozeszli, nie chciał dać z siebie sukni zdejmować, ludzi poodprawiał i trzech tylko zaufanych przy sobie zostawił.

Pacholę, które spało u opłotków namiotu, widziało potem przelękłe, jak od zamku cicho podpłynęło czołno i u brzegu stanęło. Król wysunął się z namiotu i samoczwart pospieszył co prędzej ku łodzi, która z nim natychmiast odbiła.

Chłopiec krzyknąć nie śmiał z obawy, aby go trzech ludzie przy królu będący nie zamordowali.

Zdrętwiał Bolko z żalu po biednym ojcu, inni na króla jako na zdrajcę ciskali pioruny. Niewypowiedziany zamęt w całym obozie poruszył wszystkich. — Co poczynać? — Wojna, zaledwie ukołyszana i zażegnana, groziła znowu.

Nim z tego krzyku, nieładu i przekleństwa przyszło do rady i rozmysłu, południe już na niebie było. Magnus najprzytomniejszy zawczasu człeka pewnego i zręcznego przez rzekę posłał do Sieciechowa, aby dostał na podzamczu języka.

Widziano, że co wczora tłumy stały na wałach zamkowych, dziś prawie tam pusto było. Kilku mnichów, niewiast kilka i z prosta odzianych ludzi pokazywało się kiedy niekiedy spoza ostrokołów. Wojsko znikło.

W parę godzin dano znać, iż król i Sieciech z siłami niezbyt wielkimi, jakie koło siebie mieli, ruszyli, ciągnąc ponad Wisłą, jak się zdawało, ku Płockowi.

Potwierdził to człek przybyły z językiem, który na podzamczu słyszał, że w Płocku bronić się zamierzano i trzymać.

Opadły ręce Bolkowi. Zbigniew przeklinał, obwiniając brata, Magnusa i wszystkich, że się królowi wymknąć dali. Stary namiestnik wrocławski, choć ciężki i powolny na oko, jeden przytomności i odwagi nie stracił.

Na łące, około pustego i na pół zburzonego namiotu króla zebrano radę. Ci, co już pokoju się spodziewali rychłego i powrotu do domów, zachodzili się z gniewu na Sieciecha i na króla. Gdy do rady przyszło, każdy ze starszyzny co innego mówił, a kończył na tym, że zbiegli zdrady są winni. Sieciech na śmierć zasłużył. Łajano więcej, niż obradowano, aż wojewoda, milczenie nakazawszy, rzekł:

— Nie ma tu co poczynać, tylko tak kończyć, jak się zawzięło zrazu. Wojna to wojna. Król nas zdradził, my się bronić musimy; niech królewicze dzielnice swe zajeżdżają i grody biorą w swą moc. Bolko krakowskie i sandomierskie, ja Wrocławia mu ustrzegę, księżę Zbigniew niech spieszy na zamki swoje zajmować, aby Sieciechowi nie wpadły w ręce. Co zostanie nam ludzi, z tym wszyscy na Płock.

— Na Płock! — poczęli wołać za nim. — Do Płocka!

— Sieciech ma swoich ludzi wszędzie, grody trzeba ubiec, bo je pobierze.

Sprzeciwili się jedni, drudzy potakiwali, jedni chcieli zaraz z królewiczami ciągnąć do Płocka, drudzy grody zabierać. Magnus, niemal za ramiona chwytając i siłą przemagając obałamuconych wrzawą i postrachem, potrafił ponaznaczać, gdzie któremu ruszać i co robić było trzeba.

— Na Płock! Do Płocka! — grzmiało po obozie. — Na Sieciecha!

Z tego poswaru utrapionego Bolko późno się wyrwał do swoich. Stali

dwunastu jego druhów przy namiocie tak posępni jak on, czekając rozkazów; królewicz, którego odeszła ochota i wesołość, zwlókł się milczący i siadł na pniaku, jak by wszelką stracił nadzieję w tym zamęcie.

Patrzała nań drużyna smutna, aż się jej serce ścisnęło. Żal było królewicza.

Naradzali się długo około namiotu i wysłali dwu z między siebie, Pruszyne i Sambora, którzy weszli, stanęli naprzeciw Bolka i czekali, aż ich zobaczy.

Spojrzał Bolko na ulubieńca.

— Miłościwy Królewiczu — odezwał się Pruszyna — co Wam jest?

Jeszczeż ostatnia zguba na nas nie przyszła? Co tak biadacie?

— Ojca mi żal! — odparł królewicz. — Wojna mnie ta niepoczciwa nie

cieszy. Rycerska rzecz iść na zbójów, gdy nam granice szarpią, ale z sobą się borykać i nękać, psia sprawa. Na Boga miłego, aby temu raz koniec był!

— Stoją wszyscy przy Was! Idziemy na Płock, skończy się rychło! — dodał

Sambor.

— Skończy się krwią i wojną ze swymi! — krzyknął wstając Bolko. —

Przeklęty niech będzie człek, co nam to nieszczęście sprowadził a struł życie!

U wnijscia namiotu stał już chwilę Zbigniew i słuchał.

— Dalibyście pokój narzekaniu — odezwał się. — Oczyszcimy z chwastu rolę, toć jawny zysk. Król, panie odpuść, sobą nie włada, stał się dzieckiem.

Sieciech szubienicy wart, porządek uczyniemy, niechaj się krew toczy, aby raz pozbyć się złego. Nie ma co stękać, tak lepiej, panami będziemy.

Spojrzał nań Bolko, stał Zbigniew tak obojętny jak zawsze i śmiał się krzywo.

— Hej! — mówił przedrzwiewając. — Stary niedołęga do kochanka swojego aż po nocy się wykradł! Zapłaci nam za, tę zdradę.

Zerwał się Bolko gniewny i przypadł do niego groźnie:

— Na króla mi ani słowa! Ojca szanuj! Słyszysz!

Zbigniew zamilkł przelękły, oczy mu tylko zapalały złością, znikł sprzed namiotu.

Bolko, dając Magnusowi i innym rozporządzać, jak chcieli, nie mieszał się do niczego, z miłości dla ojca pozostał obojętnym i za wojewodą szedł posłuszny, gdzie wskazano.

Nazajutrz do dnia część sił ruszyła na krakowskie grody, reszta,

znaczniejsza, posuwała się w ślad za Sieciechem i królem, przeciwnym brzegiem Wisły.

Zbigniew też posłał rozkazy do Gniezna, Poznania i mazowieckich grodów, aby je na jego imię zajęto i obsadzono, lecz tu nadzieja była mała. Sieciech je wprzódzie ubiec zdążył.

Jesień sprzyjała dosyć wyprawie. Magnus dowodzący główną siłą, ciągnąc za sobą Bolka, który szedł z nim posłuszny, ale bezwolny, pospieszał ku Płockowi.

Krótkie noce dawano na spoczynek, stając późno na noclegi, budząc przed brzaskiem do pochodu. Obawiano się, by Sieciech, znacznie ich wyprzedziwszy, nie wzmocnił się zbytnio na płockim zamku i Mazurów więcej nie ściągnął ku sobie.

Gdy pod Płock przywlokły się oddziały, wojsko tak było znużone pochodem, tyle go jeszcze z gorszymi końmi podbitych i bezsilnych zostało na tyłach, iż strach brał, aby Sieciech, wyrozumiawszy słabość, nie napadł a nie rozproszył.

W Płocku nie myślano o tym jednak, tu także ludzi brakło na wojnę

domową. Zbiegało wielu zniechęconych, szemrano; króla niewola i uległość zniechęcała starszyznę, równie jak rosnąca srogość i ucisk Sieciecha. Wojewoda ratował się, jednych płacąc, drugim grożąc.

Jesień, jakby czekała na to tylko, gdy się wojska królewiczów pod Płock dostaną, słotną i zimną być poczęła. Niebo się chmurami oblokło, wiatr wionął

mroźny.

Magnus, który wszystkim kierował, widząc, jak się mnogo ludu na zamek zbierało, jak rozpaczliwa gotowała obrona, czuł, że zdobycie go łatwym nie będzie.

Było to ostatnie wojewody schronienie; nie miał nic do stracenia już, tu ginąć musiał lub pożyć nieprzyjaciela. Dzień i noc obwarowywano gród, sypano wały, bito tyny, gotowano kłody, kamienie, pociski wszelkie dla odpierania oblegających.

Stojąc we drzwiach swojego namiotu, Bolko na Płock spoglądał, i w duszy mu było smutno, jak by znów dziecięciem się stał. Snem wydawało mu się to życie terażniejsze, wojna z ojcem, obleganie gniazda, w którym się wychował, które kochał, bój z tymi, do których się przywiązał i żał mu ich było. Dzwonek odzywający się na kościółku do łez go niemal poruszał; poznawał z dala ludzi, odgadywał, co się tam działo, ojciec mu stawał przed oczyma z twarzą smutną, załzawioną, z usty, co go przeklinały może. Wszystko do wojny odbierało ochotę i siłę. Siedział po całych dniach otoczony drużyną, na zamczysko patrzył i skarżył

się na los swój oplakany.

Ledwie się też obóz rozkładać zaczynał, gdy drugiego dnia o mroku zjawił

się chłopak, co był przy dworze, a Bolkowi sokoły nosił. Zostawiony w Płocku, gdy ujrzął namioty, a poczuł w nich królewicza swego blisko, nie wytrzymał i uszedł do niego. Mulczyk na małym, dziurawym czółenku, bez wiosła, kawałkiem polana robiąc, Wisłę przepłynął, aby się dostać do dawnego pana.

Gdy się zjawił obmokły, a szczęśliwy, i śmiejąc się padł do nóg Bolkowi, obstąpili go wszyscy wołając:

— Mulczyk! Tyś to? Skąd? Jak?

A Mulczyk za nogi królewicza ścisnął i śmiał się, z wielkiego szczęścia mówić nie mogąc.

Chłopię było niepoczesne, brudne i, jakby do zwijania się w kłębek

przywykłe, tak przygarbione, ale roztropne i rozzagnione. Dowiedziawszy się o tym zbiegu, pościgali się zaraz i starsi, aby jakiego takiego języka dostać, co na zamku słychać.

Mulczyk po trosze widział, słuchał po trosze, ale rozpowiadał po swojemu, słowa mu się w gębie urywały.

— Na zamku, a, na zamku! — wołał, ręce składając, to do góry podnosząc.

— Aj, strach wielki, bieda! Królowa gniewa się i łaje, ludzi pędzą. Król płacze, a pan wojewoda się zbiesił, ludzi wnet gotów wieszać i ścinać, byle mu się kto przeciwiał.

— Dużo ludzi ma? — pytał Magnus.

— A! A któż ich tam policzy — odparł Mulczyk — kto ich policzy, to

mrowie!

— Więcej niż u nas? Obejrzyj no się, pomędruj, jak ci się zda? — rzekł

Magnus.

Chłopak, który obóz przebiegł, potrząsał głową.

— Kto to może wiedzieć? — rzekł. — Mnie się zdaje, że mniej. Po zamkach dużo rozesłali, po trosze na każdy.

Ten i ów rzucał pytania jeszcze, Bolko badał o ojca. Mulczyk, czasem starszych wyręczając, u króla ogień podpalał i podłogi posypywał kosaćcem, mógł

więc coś zobaczyć.

— Król, pan nasz, ledwie żywy — rzekł chłopak. — Żal bierze patrząc na niego, to się modli, to płacze. Pana wojewodę ciągle trzyma przy sobie; ledwie odejdzie na chwilę, ślą za nim zaraz, aby go na krok nie odstępował. Gdy dali znać, że królewicze ciągną, poszedł do okna pan, o ściany się opierając, patrzył, drżał, zalewał się łzami, a Sieciech łajał i wyklinał. Królowa czasem przyjdzie, stanie i woła na Jego Miłość, a krzyczy, aż stary sobie oczy zasłania i płacze jeszcze gorzej. O, bieda, wielka bieda na zamku!

Z opowiadań Mulczyka to najjaśniej się okazywało, iż na zamku zbyt

przeważającej siły nie miano, rozsypawszy ją dla utrzymania się przy grodach i należących do nich opolach.

Nabrano otuchy. Zamek miano nazajutrz zacząć osaczać dokoła, aby go, choć nierychło, bodaj głodem, do poddania się przymusić. Spodziewano się z nim i Sieciecha wziąć, a na głowę jego nastawali wszyscy.

— Póki on żyw, u nas pokoju nie będzie — wołano — niech głowę da!

Deszcz lał przez noc całą. Nade dniem dopiero rozjaśniać się zaczęło, ale rozkiśłe drogi, wezbrana rzeka nie dawała jeszcze nic przedsiębrać; posłano zbierać łodzie górą rzeki i dołem, promy pochowane łapać, tratwy zbijać, przeprawę sposobić. Brodu dla wielkiej wody znaleźć nie było można. Z zamku widzieć też mogli, jak się tu czynnie krzątano, bo Magnus z lasów drzewo ściągać

kazał

ogromne, aby do bicia ostrokołów i bram sposobić tarany i baby.

Łatwiej tu było dla wielu wynaleźć, co potrzebowano, bo okolica była lepiej im znajoma, niektórzy najmniejszą drożynę, mieliznę, bród, starą hać i w lasach każdą ścieżkę wiedzieli. Zamku też słabe strony znali dobrze.

Zbliżało się nazajutrz południe, gdy na rzece duża łódź się pokazała. Pobiegli wszyscy ku brzegowi, gdzie i ludzi z kuszami zwołano, ale szła, nie strzegąc się, wprost na stojących i Bolko pierwszy poznał, iż biskup Filip w niej siedział. Tak było w istocie; jechał z ojcem Lambertem i kapelanem swoim ku obozowi i namiotom królewiczów.

W miejscu, gdzie przybić było najłatwiej, czekano na nich, Bolko na

przedzie stał niecierpliwy. Biskup po obozie okiem ciekawym rzucał,— twarz okazując spokojną. Podano mu ręce na ląd i królewicz przypadł z powitaniem.

— Ojcie mój — zawołał — zaprawdę, gdyśmy się zegnali, mógłże z nas kto spodzierać się, że tak się jak dziś spotkamy, gdyby nieprzyjaciele!

Biskup Filip, niegdyś Sieciechowi dosyć powolny, teraz był przeszedł do jego przeciwników, za arcybiskupem.

— Wszystkiego się było można spodziewać — rzekł cicho — od ludzi, co dla własnej korzyści krajem wicherzyć gotowi. Byli tacy, co to zapowiadali.

Przybywam do was — dodał — z przestrogą, abyście nic nie poczynali zbyt spiesźnie. Nie godzi się przelać i kropli krwi, gdy ją można oszczędzić.

— A jak? — zapytał Magnus.

— Radzę wam, poślijcie do arcybiskupa Marcina do Gniezna, niechaj

przybywa. Król w sumieniu swym niespokojny, powaga pasterza wielka, posłucha go. Ojciec to naszego Kościoła, stanę ja przy nim, duchowieństwo całe pójdzie za nami; potrafimy zapobiec wojnie bezbożnej.

— Niech nam tylko zdrajcę wydadzą, wojny nie będzie! — odezwał się

Magnus.

Starszyzna, która się już ściągnęła, obstała wojewodę i słuchała, poczęła zaraz za nim powtarzać:

— Niechaj go nam wydadzą.

— Powiesić go! — wołali drudzy. Biskup milczał, zwiesiwszy głowę.

— Nie zemsty szukać trzeba — rzekł wreszcie — ale pokoju. Chrystus kazał przebaczać.

— Jemu gdy się dziś życie daruje, on jutro pocznie swoje! — wołano.

— Po co mu życie odbierać, dość siłę wziąć — rzekł biskup. Bolko się nie odzywał. Zbigniew, który stał za nim, mruknął:

— Póki dysze taki zwierz niebezpieczny, przyczai się, ducha zaprze, a potem ukąsi.

— Jeszcze go w ręku nie macie — odezwał się biskup — a już się oń targujecie. Niedźwiedź w lesie, nie sprzedawajcie skóry.

A obejrzawszy się wkoło po przytomnych, dokończył:

— Po tom tu przybył, abyście arcybiskupa wezwali w pomoc. Królewicz

Zbigniew jechać po niego może.

— Gniezno, mówią, Sieciechowi zajęli, ja tam nie mogę iść — odparł

Zbigniew. — Ślijcie, Wasza Przewielebność od siebie.

— O zajęciu Gniezna nie wiem — rzekł biskup. — Nie poczynajcie wojny, ja do arcybiskupa sam wyślę jednego z duchownych. — I powtórzył: — Nie poczynajcie wojny.

— Z wojowaniem spieszyć nie będziemy — odpowiedział Magnus — ale osaczać musimy, bo się posiłki ściągać mogą.

Stali jeszcze chwilę u brzegu, aż wojewoda do namiotów na spoczynek

prosić zaczął i pociągnęła gromada cała za biskupem.

Tu, gdy usiedli, znowu się taż sama powtórzyła rozmowa i to samo

upominanie. Królewicze, jak im przystało, na uboczu się trzymali. Magnus za nich i za wszystkich mówił, iż z Sieciechem skończyć chcą i gotowi na największe ofiary, byle się go pozbyli.

Zaledwie dotknął tej strony drażliwej, gdy za nim wkoło krzycheć znowu zaczęli wszyscy niemal.

— Na sosnę z nim!

— Na pień z nim, pod topór!

— Niech ginie!

Ledwie się nierychło rozkołysane namiętności uspokoiły.

Mógł biskup poznać, co w obozie myślano i czego żądano. Nawzajem z tego, co mówił ojciec Filip, widać było, iż zamek płocki w żywność zaopatrzony był

dostatnio, a król dla ocalenia ulubieńca do ostatka bronić się był gotowym. O

wydaniu go po dobrej woli mowy nawet być nie mogło. Magnus zaś i starszyzna o przebaczeniu i wypuszczeniu na wolność słuchać nie chcieli.

— Jak się to skończy, co Bóg da, jaka jego wola, ani wy, ani ja — rzekł

biskup — nie zgadnicie. W mocy Najwyższego wszystko. To tylko pewna, że gdy wy tu wojujecie, a granice stoją otworem, Pomorcy już około Santoka się gromadzą i na zamek godzą. Wiedzą, oni, co się u nas dzieje i że dla nich pora sposobna.

Wstrząsnął się Bolko.

— Dajcie mi ludzi — wykrzyknął — niech tu sobie wojuje, kto chce, mnie puśćcie na rubieże! Nie spodziewają się nas, uderzę i pobiję pogan!

Oczy mu się iskrzyły.

— Moje miejsce tam, nie tu! — zawołał gorąco. — Ludzi mi dajcie!

Magnus się oparł.

— Ludzi nie mamy tylu, aby się nimi dzielić było można. Z zamku na

osłabłych lada wycieczkę zrobią i wszystko przepadnie. Na Pomorców czas będzie, wtargnąli, pomścimy się srodze.

Bolkowi twarz się zachmurzyła, usiadł po swoich spoglądając. Sieciecha teraz więcej niż kiedy nienawidził jeszcze za to, iż Pomorcom dał wtargnąć i grozić granicom.

Z wolna gorące w początkach rozprawy, słowa kapłańskimi łagodzone,

przeszły w spokojniejsze utyskiwanie nad nieszczęściem ogólnym. Postanowiono natychmiast dwu duchownych do Gniezna wyprawić, błagając, aby stary pasterz na pomoc przybywał.

Magnus, choć niechętnie, przyrzekał ze swej strony, iż boju nie rozpocznie i starcia unikać każe, byle go nie napastowano. Warował tylko, iż posiłków żadnych na zamek nie wpuści.

Ojciec Lambert, który biskupowi towarzyszył, słuchał rozmów, ale się wcale do nich nie mieszał. Trwały one do wieczora, po czym ojciec Filip,

przeprowadzany uroczyście do swej łodzi, pobłogosławiwszy starszyznę i królewiczów, nazad do

Płocka powrócił.

W Bolka wstąpiła nadzieja, iż do zgody przyjść może, Zbigniew nie był od tego także, bo wojna mu nie smakowała, stał jednak uparcie z najzagorzalszymi, domagając się Sieciechowej zguby.

Magnus, nic nie mówiąc, na następny dzień poniżej zamku przeprawę gotował tajemną, aby posiłkom przeciąć drogi.

IV

Dni kilka upłynęło, z jednej strony sposobiono się ciągle do obrony, z drugiej do oblegania i szturmów. Magnus się troszczył tylko o to, co uczyni, jeśli się rokowania i zwłoki przedłużą, a mrozy i zima nadejdzie.

W obozie wojnę, na dworcu biskupim duchowieństwo zgodę i układy

gotowało. Wieść o tym, co zaszło, i posły przez ojca Filipa rozesłane do Gniezna, Krakowa, Kruszwicy zgromadziły znaczny zastęp prałatów do Płocka. Na czele ich stał nieprzyjazny Sieciechowi arcybiskup Marcin, zastosowujący się doń Lambert krakowski i Paulin Ciołek kruszwicki. Pospiesznie podążyli na zawołanie wszyscy, bo i sprawie Kościoła zawichrzenie to szkodliwym było.

Na zamku królowa i wojewoda gotowi byli bronić się do ostatka, słać do obozu królewiczów, aby starszyzną przeciągnąć na swoją stronę, użyć wszelkich środków, by się przy władzy utrzymać. Spiskowano tu, nocami wyprawiano ludzi poprzebieranych, czynność była gorączkowa, zapamiętałość coraz większa; tymczasem na dworcu biskupim zebrani duchowni, zgorszeni, zatrwożeni, przez ojca Marcina podbudzani mocno, postanowili nie dopuścić walki. Przed ich potęgą korzyło się ostatecznie wszystko.

Arcybiskup Marcin, zaledwie zsiadłszy z konia, głośno zapowiedział, że między ojcem a dziećmi dla jednego ambitnego człowieka boju nie dozwoli, kościelną władzę zagrozi i powstrzyma go.

Gdy na zamku Sieciech i królowa dowiedzieli się o przybyciu biskupów, wojewoda uląkł się i zwątpił o sobie. Arcybiskupa obawiał się najbardziej.

Nie dając czasu ojcu Marcinowi do widzenia się z królem, wojewoda

natychmiast z poczem pojechał sam na dworzec biskupi. Właśnie na radę około arcypasterza gromadzili się duchowni, gdy ujrzano nadbiegającego wojewodę. Z

daleka palcem nań wskazując, zmarszczony starzec zawołał:

— Ten ci to jest, przez którego zgorszenie i nieszczęście na nas przychodzi!

Gdy w progu Sieciech się ukazał, trzech pasterze siedzieli już milczący, otaczając w pośrodku nich zajmującego pierwsze miejsce arcybiskupa. Twarz jego, zwykle łagodna, teraz była gniewną, surową, straszną. Samo milczenie, którym na pozdrowienie odpowiedział, groźnym było i pełnym znaczenia.

— Ojcze Najprzewielebniejszy — zawołał dumnie Sieciech — choć nie

powołany, staję tu jakby na sąd wasz dobrowolnie! Obwiniają mnie wszyscy wrogowie moi, chcę, abyście sądzili między mną a nimi.

— I sędzić musimy a będziemy — zawołał arcybiskup uroczyście — sędzić będziemy nie ludzkim sądem, ale Bożym! Tak, naszą rzeczą jest nie dopuścić zgorzenia. Wy, wojewodo, jesteście kamieniem obrażenia, Wy słabym królem władnicie, Wy królową, Wy przekupionymi ludźmi!

Sieciech, stojąc zarumieniony, z lekka uśmiechać się próbował szydersko.

— Tak — rzekł — teraz tu nie ma winowajcy jeno ja, nie ma zbrodniarza, tylko ten — wskazał na siebie — ten jest zbójca, łupieżca, zdrajca, cudzołożnik.

Lecz posłuchajcież obwinionego, bo sąd i rozbójników słuchać winien.

— Gdy nie są pochwyceni na uczynku! — odparł arcybiskup.

Oczyma surowymi mierzyli się duchowni, zachęcając do wytrwania w tym usposobieniu.

— Cóż możecie mieć na obronę Waszą? — dodał starzec.

— Ja? Króla mam, króla i jego słabość! — zawołał Sieciech. — Gdyby nie ja, rozpadłoby się królestwo to na kawały, zajechaliby je nieprzyjaciele, Pomorcy by krzyże powywracali, Czesi znowu łupili kościoły. Gdy nie było władzy i dłoni, musiałem panować ja, aby bezkrólewie nie nastąpiło. Nie na króla, nie na królewiczów, nie na mnie patrzcie, którzy wszyscy śmiertelni jesteśmy, ale na państwo to i losy jego.

Arcybiskup i towarzysze jego milczeli długo, począł w końcu ojciec Marcin, pomyślawszy:

— Nie o państwo to ani o ziemię szło Wam, wojewodo, ale o własną sprawę.

Chcieliście korony dla siebie. Mąciliście wodę, aby łatwiej w niej łowić. Znamy Was nie od dziś dnia. Nie będzie Was kosztowało nic przez krew dojść do panowania. Aliści władza świecka w tym królestwie, jako w innych, pod naszą jest, pod Bożą, my stoimy jako kapłani na straży sprawiedliwości. Papież korony rozda i z tronów strąca, my wiążemy i rozwiązujemy Piotrową mocą, myśmy sędziami, my nie dopuścimy, aby się srom dział panu, a dzieciom krzywda.

Myślicie się opierać? Stawajcież jako Masław z pogany i po pogańsku, bo po chrześcijańsku nie możecie. Ustąpić musicie z królestwa tego, a my pokój uczynimy.

Wojewoda, ostatnie wyrazy posłyszawszy, zbladł i zachwiał się.

— Ja mam więc za wszystkich winy odprawiać pokutę? — rzekł.

— Bo Wy zgrzeszyliście najwięcej — dodał arcybiskup. Sieciech spojrzął na biskupa Filipa, który mu groźnym odpowiedział wejrzeniem, potem na Lamberta, który oczy miał spuszczone i milczał, patrząc na otwartą księgę, na Paulina w ostatku, a ten się nie odzywał i z założonymi na piersiach rękami ku stropowi poglądał.

— Ustąpić musicie — powtórzył arcybiskup — za granice królestwa tego, któreście zaburzyć pragnęli. Zgoda i pokój nastaną, gdy Wy odejdziecie. Wojny nie dopuścimy, klątwą w ostatku

zagrozę królowi, klątwę cisnę na Was.

Wojewoda nie mówił nic, oczy mu zachodziły krwią, która ze zbladłych warg ustępowała.

— Idźcie! — dorzucił ojciec Marcin — dopóki możemy ocalić Wam życie.

Idźcie!

— Gdybym chciał — odezwał się niewyraźnie Sieciech — król odejść mi od siebie nie da. Król się nie obejdzie beze mnie, ufa mi. Wie, że nawet własnym dzieciom wierzyć nie może, że tylko ja mu byłem wiernym. Ja!

— Tak! — odpowiedział arcybiskup. — Król w rękach Waszych jest jako

ciasto, które urabiacie na taki placek, jaki Wam do smaku! Wiemy o tym. Mnie królewska moc nie zastrasza, pomazańcem Bożym on nie jest, korony nie miał, panował z przyzwolenia naszego i ziemian, gdy cofniemy je my i oni, ustanie moc jego.

Wojewoda, któremu wyrazów na obronę zdało się braknąć, stał przybity.

Dano mu chwilę namysłu, ojciec Marcin mierzył go oczyma.

— Wy, Ojcze Przewielebny — odezwał się — nie od dziś dnia jesteście mi nieprzyjacielem.

— Tak, bom ja Was poznał zawczasu — mówił starzec — bom patrzył na

sprawy Wasze i w sercu czytał. Ujęliście sobie sromotnie królowę, niewiastę nieopatrzoną i płochą, króla ujarzmiście, Zbigniewa chcieliście się pozbyć klasztorem i więzieniem, Bolka zabójstwem.

— Potwarz jest! — wybuchnął Sieciech.

— Ci, którym płaciłeś za to, świadczą przeciw tobie — przerwał arcybiskup.

— Idźcie, sprawa Wasza osądzona. Myślcie, aby ustąpić, dopóki czas.

Starzec ręką wskazał na drzwi, ale wojewoda stał nieporuszony.

— Takli ma być? — przebąknął. — Ani król, ani ja nie ustąpiemy, wojny się nie ulękniemy. Będzie wojna.

— Ja nie dopuszczę wojny! — powstając krzyknął arcybiskup. — Ja, com od was obu silniejszy Chrystusowym ramieniem, świętokradzkiego tego krwi przelewu nie dozwolę. Rzucę między wojska laskę moją, krzyż Pański, na który nikt się nastąpić nie waży! Nie wyzywajcie tej potęgi, od której zginął królewski brat, pomnijcie na los jego.

Wojewoda spuścił głowę, jak złamany tą groźbą.

— Ojczy — odezwał się głosem słabym — nie ojczyskie, nie pasterskie są to słowa.

— Bo nie synowskie, nie owieczek posłusznych są czyny Wasze! — wołał arcybiskup.

— Jam dla wiary chrześcijańskiej pracował, klasztory uposażałem, krzewiłem ją, rozprzestrzeniałem — rzekł Sieciech. — Władzy pragnąłem tylko dlatego, abym pogaństwa resztę mógł wytępić. Kościół...

— Kościół i bez Was stać będzie! — odparł unosząc się starzec. — Nie troskajcie się Wy o Chrystusa, a kórzcie się przed mściwą ręką Jego. Nic skażonego nie wnijdzie do królestwa Bożego i Was za sługę nie potrzebujemy, chyba w pokutniczej szacie.

Wojewoda jeszcze się z wyjściem ociągał, gdy ojciec Lambert, wzrok skierowawszy ku niemu, wskazał mu oczyma, aby izbę opuścił.

Starzec zarumieniony był i gniewny. Słowa nie mówiąc, ustąpił wojewoda.

Po wyjściu jego milczenie panowało długą chwilę, aż biskup Filip się odezwał:

— Kto wie, czy nas teraz do króla dopuści wojewoda?

Arcybiskup wstał żywo.

— Mnie? — zapytał. — Śmiałyby?

Od dworca do zamku nie było daleko, mała przestrzeń je dzieliła.

— Idziemy natychmiast do króla — dodał ojciec Marcin.

Przywołano kapelana i kleryków, arcybiskup wdział suknie swe uroczyste, krzyż wzięty z kościoła krucyferowi rozkazując nieść przed sobą. Duchowieństwo i prałaci towarzyszyć mieli i poprzedzać pasterza. Biskup Filip w dzwon kościelny rozkazał uderzyć. Arcybiskup nie dał się powstrzymać na chwilę. Natychmiast ustawił się orszak duchowieństwa przyodzianego w komże, z krucyferem na czele, biskupi otoczyli ojca Marcina. Nieustraszony starzec skinął, aby szli ku zamkowi.

Z dala już musiano widzieć ten pochód uroczysty. Dziedziniec około dworca królewskiego pełen był ludzi wojskowych, koni, dowódców, żołnierzy. Sieciech nie miał czasu wydać rozkazów, a gdyby nawet był zalecił nie dopuszczać arcybiskupa, próżnym by to było, bo poprzedzanemu krzyżem, idącemu w ubiorze pontyfikalnym, nikt w świecie nie byłby śmiały drogi zapierać. Rozstępowali się co prędzej wojskowi, niektórzy na kolana padali, inni cisnęli się do rąk biskupów, całując je i dopraszając się błogosławieństwa. Sędziwy pasterz doszedł tak do drzwi dworca bez najmniejszej przeszkody. Tu komornicy, dworscy, czeladź, wszystko, co nad miarę pobożnego króla otaczało, rozstąpiło się posłusznie, nikt nie śmiał wątpić nawet, iż król przyjąć musi duchowieństwo, dla

którego przystęp doń zawsze był wolny.

Otwarto szeroko podwoje izby, w której siedział Władysław. Starzec ze swym otoczeniem całym ukazał mu się niespodzianie. Na widok jego król zmieszany podniósł się naprzód z siedzenia ruchem gwałtownym i upadł na nie wpółomdlały. Wojewoda tylko co był wszedł do niego, nie mając jeszcze czasu na rozmowę, gdy duchowni we drzwiach się zjawili. Arcybiskup z towarzyszami swymi, resztę prałatów zostawując w przedsieniach, śmiałym krokiem zbliżył się do króla.

— Miłościwy Panie — odezwał się, surowo spoglądając na wojewodę —
przychodzimy do ciebie samego i pragniemy rozmowy bez świadków.

Oczyrna przelękłymi, jak litości prosząc, król Władysław mierzył

arcybiskupa, a razem za rękę pochwycił Sieciecha, i dając znak, że nie chce, by się oddalał.

— Ojczy, ja bez niego nie mogę nic, proszę Was!

— A my z nim i przy nim nic nie możemy — odezwał się ojciec Marcin

surowo. — Dziecię, z matką będąc, piastunki nie potrzebuje. Kościół jest matką Waszą, Miłościwy Królu.

Wojewoda stał jeszcze, gdy arcybiskup dodał łagodniej:

— Błagam Was, panie, oporu Kościołowi nie stawcie, władzy jego nie

sprzeciwiajcie się, bo dobra Waszego chce i pokój przynosi z sobą. Bądźcie pamiętni na los brata Waszego.

Strwożony król tym przypomnieniem załamał ręce, puściwszy dłoń

wojewody, pochylił się, zdając tracić przytomność. Potem wzrokiem nieśmiałym Sieciechowi wskazał, ażeby ustąpił. Wojewoda cofnąć się nareszcie był zmuszony i postąpił kilka kroków, gdy majestatycznie, dumnie, z gniewem na twarzy weszła królowa Judyta. Widać w niej było ową siostrę cesarską, ufającą w brata potęgę.

Wstrzymała się niedaleko od progu.

— Król a małżonek mój — poczęła — chorym jest na ciełe i umyśle.

Dlaczego Przewielebność Wasza o sprawach państwa z nim mówić chcecie, gdy ma namiestnika i zastępcę?

Arcybiskup, wcale nie zmieszany zapytaniem, odpowiedział z przyciskiem:

— Dlatego, Miłościwa Pani, że namiestnik ten nie króla zastępuje, ale sam nim chce być. Wasza

Miłość zechcecie nam bez przeszkody dozwolić mówić z panem naszym, potrzeba jest tego wielka.

Twarz królowej oblała się rumieńcem.

— Wy tu, Ojcie Przewielebny, nie najwyżsi jesteście! — zawołała. — Rzym nad nami i Wami jest, a biskup rzymski papież. Ja posłę do papieża, do cesarza.

— Ślijcie Miłość Wasza, do kogo się podoba — rzekł spokojnie arcybiskup

— ja też słać będę. My w królestwie tym cesarzowi nie podlegamy, chociaż go szanujemy; poddani jesteśmy Rzymowi i ojcu naszemu jednemu tylko. Z rąk jego odebrałem instytucję i paliusz, Boga tylko i jego znam nad sobą.

Zagniewana królowa chciała mówić jeszcze, gdy przerażony coraz bardziej król, rękami gwałtownie poruszając, dał znak, by ona i Sieciech odeszli.

Zmierzywszy złośliwymi oczyma duchownych, Judyta razem z wojewodą znikła za zasłoną.

Arcybiskup z wolna i łagodnie przybliżył się do króla, a widząc go drżącym i aż do omdlenia prawie strwożonym, rzekł doń:

— Niech się uspokoi dusza Wasza, Miłościwy Panie, niech

błogosławieństwo Boga pokoju, zgody i miłości zstąpi na nią, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Król przeżegnał się z pośpiechem.

— Gałąź oliwną niesiemy ci, Miłościwy Królu — mówił dalej arcybiskup —

nie wojnę. Sieciech Was kusi do niecnej walki z dziećmi własnymi i poddanymi, my jej nie dopuścimy w imię Kościoła.

Król nie odpowiadał nic, brak mu było doradcy, patrzył dokoła, jak gdyby Sieciecha szukał.

— Nie sądźcie, Miłościwy Panie — ciągnął dalej arcybiskup — ażebyście po sobie mieli siłę; wojewoda mami Was tym, jako mamił i oszukiwał w rzeczach innych. Tyle macie ludu, ile on go złotem kupić zdołał. Ludzie się brzydzą bratobójstwem Kaina i rzuca broń przy pierwszym spotkaniu. Sromotnie pobiją Was dzieci, a ten sam wojewoda, którego ocalić pragniecie, zginie w walce albo gorzej — od oprawcy.

Król jęknął.

— Tak, Sieciecha i zdrady jego wyrzec się trzeba — mówił starzec. —

Błagam Was o to w imię Kościoła, Matki naszej! Nie zgodzicie się li, ja krzyż mój rzucę między szeregi, aby, depcąc świętokradzko wizerunek Zbawiciela, musiały iść na siebie, tak jak Ewangelię

depcąc pójda zabijać braci.

Na królu mowa arcybiskupa uczyniła wrażenie wielkie, płakać począł,

pochylił się do rąk starca i całując je wołał:

— Ojczy mój, ojczy! Nie nastawajcie na Sieciecha, proszę za nim, ja bez niego żyć nie mogę.

— Grzechem jest obcego człowieka przekładać nad krew, nad dzieci własne

— rzekł arcybiskup. — W grzechu śmiertelnym jesteście, nikt Was nie rozgrzeszy.

Nie chcieli gubić duszy, wyrzeknijcie się tego szatana, który Was uwikłał w sieci swoje.

Wtem biskup Filip łagodniejszym głosem się odezwał:

— Królu a panie, ulitujcie się tysiącom ludzi, którzy zginą za sprawę niegodnego! Wyrzeczcie się go!

Powtórzył to za nim ojciec Paulin.

Wszyscy obstąpili króla, który w niepewności największej bełkotał coś niewyraźnie i zdawał rozpaczać, nie wiedząc, jak się ratować.

— Zdacie mnie na łaskę synów wyrodných — rzekł — a którzy śmierci mej dla panowania pragną.

— Nie dzieci, ale Sieciech panowania pożąda, a śmierci Waszej życzy —

rzekł arcybiskup.

— Oddalście, panie, wojewodę — nalegał Filip — niech dla jednego

człowieka nie ginie królestwo.

To mówiąc biskupi ujęli ręce króla wystygłe i drżące.

— Uczyńcie, jako prosimy, uczyńcie. Kościół radzi, Kościół nakazuje —

mówił ojciec Marcin. — Nie usłuchacie, Kościół, Matka Wasza, sięgnie po miecz i po tę siłę, jaką ma, aby nie dopuścić zgorżenia i zguby!

Groźby te, powtarzające się ciągle, złamały wreszcie króla. Sam zostawiony sobie, strwożony w sumieniu, przestał się opierać, ugiął głowę, zdawał godzić na wszystko.

— Ocalcie mu życie — począł błagajaco — wrogowie na nie nastają. Jeśli ja go opuszczę, zamordują mściwi.

— Niech uchodzi z życiem, byle szedł precz z królestwa tego — odezwał się arcybiskup.

Król głowę osłonił rękami.

— Dajcie mi czas, miejcie litość, nie naglijcie! Nie chcecie śmierci mej!

Ojciec Marcin ustąpił nieco. Niepodobna było nad nieszczęśliwym panem nie mieć politowania.

— Dzień i dwa weźmijcie do rozmysłu — rzekł powolnie — lecz nie ustąpię stąd, dopóki państwu pokoju nie ubezpieczę, a dzieci skruszonych do nóg Waszych nie przyprowadzę.

Dalsza rozmowa niemożliwą już była, siły chorego wyczerpały się. Ojciec Marcin błogosławił go:

— Bóg niech będzie z Wami — rzekł. — Pomnijcie, Miłościwy Królu, że w rękach Waszych są losy królestwa tego i że przelana krew spadnie na sumienie Wasze. Niech Bóg odwróci, niech Bóg oświeci, niech Bóg doda siły!

— Amen! — dodali towarzysze arcybiskupa. Wzruszony król chciał do

drzwi odprowadzić duchownych, lecz sił mu brakło. Podniósł się z siedzenia i padł

na nie z niemocy wielkiej. Zimny pot czoło mu oblewał.

Duchowieństwo ustępowało, gdy królowa weszła znowu, Sieciecha wiodąc za sobą. Zmieniona jej twarz stała w płomieniach gniewu; niemoc królewska nie obudzała w niej litości, ale niechęć i pogardę. Zbliżyła się do omdlałego na poły i wskazując go, odezwała głośno do wojewody:

— Co czynić z takim człowiekiem, który żadnej nie ma siły, chwieje się i pada, słucha każdego, lęka się wszystkich, rozum i wolę postradawszy. Poświęci Was, mnie, dzieci trwodze jednej, da się prowadzić, gdzie go te klechy powiodą.

Na skargę na nich do Rzymu słać trzeba.

Król, słysząc to, nie odpowiadał, wyciągnął rękę szukając dłoni Sieciecha i pochwyciwszy ją, szeptać mu coś żywo począł na ucho.

Spostrzegłszy to Judyta ruszyła ramionami i wolnym krokiem nazad się ku drzwiom zwróciła.

Sieciech pozostał sam z królem. Przez cały wieczór niemal trwały jakieś między nim a Władysławem narady tajemne.

Po kilkakroć wojewoda do królowej odchodził i natychmiast nazad go

powoływano.

Nadeszła wreszcie godzina wieczornych modlitw i jak zwykle powołano

kapelana królewskiego, aby je z królem odmawiał. Nim przystąpił do nich, ojciec Lambert, który arcybiskupowi posłusznym być musiał, wezwał króla, ażeby oczyścił swe sumienie przypomnieniem

grzechów i roztrząsał w sobie, azali przeciwko Bogu i władzy Kościoła, a tym, co ją sprawiali, nie czuł się winnym.

Milczącemu Władysławowi powtórzył kapelan, że najwyższy pasterz, brat tego, który zasiadał na rzymskiej stolicy, wezwał go do uczynienia zgody i spytał, jak spełnił to żądanie. Nalegał na posłuszeństwo, zbawienie czyniąc od niego zawisłym.

Król nie opierał się już, do wszelkich ofiar oświadczył gotowość, otrzymał błogosławieństwo i modlitwy się rozpoczęły. Wojewodę musiał poświęcić.

Jakkolwiek przywiązany doń, duszy swej zań oddać nie mógł.

Nazajutrz rano, jak świt, obudziwszy się król rozkazał przywołać znowu Sieciecha i sam na sam pozostał z nim długo. Wojewoda od wczoraj zmieniony i posępny zdawał się sam widzieć konieczność ustąpienia dla ocalenia życia. O

wszystkim, co na dworcu się działo, wiedział arcybiskup. Z jego ręki czuwał tu posłuszny ojciec Lambert, grożąc interdyktem i klątwą.

Z zamku widać było maszyny oblężnicze, które w obozie Magnus kazał

przygotowywać, ściągające się oddziały, zbijane promy i łodzie, które lada chwilę przeprawę przez rzekę zapowiadały. Wojewoda myśleć już musiał tylko, jak w czas uchodzić, aby nie być pochwyconym. Co chwila donoszono mu, iż z pułków jego gromadami ludzie przechodzili do obozu za Wisłę, inni, zagrożeni przez duchownych, po lasach się rozpraszali. Na pozostałych też coraz mniej rachować było można, tak wpływ księży onieśmiała ich i ochotę „do walki odbierał. Rosła trwoga na zamku, której nikt oprzeć się nie mógł.

Ostatnie króla wysiłki wstawiania się za Sieciechem, którego chciał przy sobie, bodaj bez władzy żadnej, zatrzymać, nie powiodły się. Odpowiadano od arcybiskupa, że w takim razie za życie wojewody ręczyć nikt nie mógł, tak nań nieprzyjaciele byli zażarci.

Przez cały ten dzień na przemiany rozpacz, narzekania, nadzieje pozyskania sobie duchownych darami i obietnicami nadań nowych, ofiarami, które odrzucano, zwątpienie wreszcie i trwoga panowały na dworze. Po kilkakroć uproszony o.

Lambert od króla i wojewody chodził i wracał do arcybiskupa, nic otrzymać nie mogąc nad to, co zapowiedziano: wygnanie.

Gdy upłynął czas dany do namysłu królowi, trzeciego dnia arcybiskup z towarzyszami znowu się udał na zamek, aby usłyszeć odpowiedź stanowczą.

Wojewoda po raz pierwszy sam stracił męstwo, nadzieję i wiarę w to, ażeby się mógł dłużej utrzymać. Kościół stawał przeciwko niemu, a król z nim walczyć nie mógł.

W izbach królowej lament był i narzekanie a groźby. Sieciech tu

przesiadywał teraz, bo do Władysława przystęp nawet mu tamowano. Judyta jedna przyszłości się wyrzec nie chciała i starała pocieszać skazanego, który, zupełnie zwątpiwszy o siebie, siedział złamany i przybity, a półmartwy.

— Ustąpić im dziś potrzeba — mówiła królowa — lecz nie koniec na tym.

Niech robią, co chcą, pošlę do Rzymu skarżyć, będę słała do cesarza o pomoc, niech przyjdzie i zawojuje ten kraj, a zagarnie. Wy uchodźcie, abyście się przechować mogli do czasu. Do Niemiec Wam potrzeba, tam Was przyjmą i schronią.

Wojewoda, mający przez żonę stosunki na Rusi, tam się spodziewał znaleźć skuteczniejszą pomoc, odparł, że na Rusi woli przebywać.

— Chrońcie się, gdzie chcecie — odparła królowa — ale nie oddalajcie się od granicy, aby być pogotowiu. Ja nie zaśpię, a królowi też pokoju nie dam, aż się to wszystko odmieni. Stary arcybiskup nie pożyje, następca inny być musi, przyślą go z Niemiec lub Rzymu. Wy powrócicie, Wy musicie powrócić, dziś trzeba najdroższe ratować życie.

O tym też tylko myślał Sieciech i o zemście, którą gotował. Zmniejszony dwór sposobił się w drogę do Sieciechowa, skąd uchodzić musiał na Ruś, nie widząc się w kraju bezpiecznym. Co godzina zmniejszał się orszak skazanego na wygnanie.

W obozie za Wisłą wiedziano tegoż dnia, że król musiał się zgodzić na opuszczenie Sieciecha, a gdy uroczyste dał na to, wobec świadków, słowo arcybiskupowi, padł zemdłały, tak że go na łożo przeniósłszy, ledwie słudzy mogli do życia przywrócić.

Ojciec Lambert, który jak wielu duchownych naówczas po trosze lekarzem był, pozostał przy chorym, niosąc mu razem religijną pociechę.

O wygnaniu wojewody w chwili piorunem po obu obozach wieść się

rozeszła. Wszędzie ją przyjmowano okrzykiem radosnym. Wojsko, starszyzna, duchowni, lud, dla którego wojna była najstraszniejszą klęską, ciesząc się powtarzał, iż Sieciecha już nie ma.

Gdy wojewoda wyszedł z komnaty, chcąc sobie zapewnić orszak liczniejszy do granicy dla bezpieczeństwa, wszystkich znalazł już świadomych wypadku.

Pierwszego Halkę spotkał w podwórku.

— Pójdziecie ze mną — odezwał się do niego — na czas ustąpić muszę za granicę.

Halka stał zafrasowany.

— Miłościwy panie — odrzekł mrużąc — bierzcie kogo innego, ja nie

mogę. Rodzinę liczną mam, stary jestem, a gdybym raz wyszedł, wrócić by mi było trudno.

Pokłonił się i wysunął spiesznie.

Powołany Strzepa, który z dala stał, przywłókł się z wolna z głową spuszczoną.

— Wybierajcie się ze mną — rzekł do niego.

— Ja? Z Wami? — odpowiedział pokręcając głową Strzepa. — Rozważcie

no, czy z tym dobrze będzie? A kogóż tu zaufanego zostawicie, aby Waszego mienia i sprawy strzegł? Nie tylem ja Wam indziej, jak tu potrzebnym. Pozostać muszę nie dla siebie, a dla Was. Sieciech nań spojrzął z pogardą.

— I Wy więc, coście mi winni wszystko, opuścić mnie chcecie?

— Opuścić? — podchwycił szwagier. — Ja? Ale ja właśnie dla Was zostanę w miejscu na straży. Nie widzicież, iż tego potrzeba?

— Zostańcie! — odparł oburzony wojewoda, tyłem się do niego zwracając

— nie potrzebuję Was.

— Zabój nietutejszy, nie osiedział się jeszcze, może łącniej wędrować —

dodał Strzepa — czemu jego nie przybierzecie?

Sieciech w istocie zwrócił się do Zaboja, który coś około ludzi swych i rynsztunku przysposabiał.

— Jedzicie ze mną, Zabój? — rzekł spozierając na niego.

— Ja? — odwracając się odparł Czech. — Albo już nie macie kogo z sobą zabierać, abym ja miał wszystko opuszczać, ledwie się osiedliwszy? Dom nie skończony, trzebieże pod osady ledwie począłem. Szalony bym był z miejsca się ruszać.

Dumny Sieciech, przed którym niedawno płaszczyło się wszystko, nie miał

teraz tylko czeladź i niewolnych ludzi przy sobie. Co się w duszy nagle upadłego człowieka dziać musiało, któż wypowie?

Jedni drugich ostrzegali, aby się nikt nie ważył iść z nim i na niepewne puszczać losy, bo mu wszystkie posiadłości i ziemię zabrać miano i wywołanym być miał na wieki. Przechodzącego przez podwórza omijano z daleka, niektórzy kryli się przed nim do przedsieni i po szopach, aby gwałtem nie pociągnął ich z sobą.

Wojewoda chciał raz jeszcze do króla iść. Komornicy, którym arcybiskup i duchowni surowe wydali rozkazy, stanęli u drzwi, nie dopuszczając wnijścia.

Zażądał, aby ktoś od niego z poselstwem udał się do pana, nie znalazł człowieka, co by się go podjął.

Niektórzy ze śmielszych dworzan króla dobrali tę chwilę, aby mu

przypomnieć, jak się dawniej z nimi obchodził, i wyrzucać mu na oczy prześladowanie, które cierpieli niego.

Odegnany ode drzwi, ujść musiał z niczym. Pozostawała mu jedna królowa, która wyrzekając, płacząc i przeklinając, swoimi ludźmi, Niemcami i Węgrami, otoczyła go dla bezpieczeństwa.

Ze szczupłą garstką czeladzi Sieciech puścić się nawet nie śmiał do granicy i wahał się, co pocnie, gdy ze dworu Judyty dano znać o posłuchu, że spisek był

uczyniony i jeśliby pozostał dłużej, miano go wydać w ręce Magnusa. Królowa sama zaklinała i nagliła do odjazdu. Nadchodził wieczór, nie było chwili do stracenia, wojewoda, w komnacie królowej wdziawszy opończę szarą i czapkę prostą, pobiegł do koni swych i ludzi. Kilkudziesięciu ledwie zastał w miejscu, bo wszyscy, wygnaniem zastraszeni, kryli się i uchodzili.. Przed nocą trzeba było zamek opuścić. Jeden gościniec ku lasom pozostał jeszcze wolnym i tym o zmroku musiał Sieciech pospieszać na zamek swój, nimby do Sieciechowa nadeszła wiadomość o jego upadku, aby żonę, dziecię i skarby ocalić. Zaledwie wyjechał za bramy, nie poznany szczęściem,; gdy arcybiskup Marcin wysłał kapelana swego do Zbigniewa, aby zwiastował pokój, przebaczenie i wygnanie wieczne Sieciecha, którego król wyrzec się musiał.

Zarazem panowania się Władysław zrzekał dobrowolnie, zostawując sobie tylko Płock i kilka grodów na Mazowszu. Z płaczem prosił ojca Marcina o spokój, aby za grzechy mógł Boga przebłagać i reszty dni dożyć w ciszy, nie jako król, ale jako człek znękany, który umrzeć pragnie w zgodzie z sumieniem.

Późno w noc już, przeprawiwszy się czółnem za Wisłę, kapelan arcybiskupi dostał się do obozu i namiotu Magnusa. Czekano tam, niecierpliwiąc się już, wiadomości z Płocka, gdyż Zbigniew i część starszyzny nagliła o rozpoczęcie oblężenia, aby raz dobić się do końca. Od łodzi już na widok posłańca biegly tłumy, przeprowadzając go, ciekawie, co przynosił.

Magnus wstał, badając oczyma w trwodze, aby nowej zwłoki nie żądał. Lecz z twarzy wypogodzonej księdza domyśleć się było można, iż z dobrą przychodził

nowiną. Zaledwie usta otworzył, gromada, która biegła z nim, zasłyszawszy: —

Pokój — rozpierzchła się po namiotach. Krzyki odzywały się zewsząd, radosne, ochocze, wesołe. Ludzie z dalszych stanowisk, porzuciwszy kotły, ognie, konie, lecieli, aby się dowiedzieć i odnieść swoim wieść dobrą. Wołano: — Mir, mir!

Boże zmiłuj się nad nami! Bogu chwała!

O Sieciechu rozpowiadano różnie, jedni, że uszedł z pomocą królowej, drudzy, że był w ciemnicy, skąd go na stracenie jutro wydać miano.

Bolko i Zbigniew razem prawie znaleźli się u namiotu wojewody, w chwili gdy posłaniec kończył już zdawać sprawę.

— Sieciech oddalony! Sieciech na wygnanie skazany, król pokój przyrzekł!

— wołano do królewiczów. Rzucił się Zbigniew:

— Gdzie ten zdrajca?

— Dozwolono mu iść na wygnanie — odpowiedział ksiądz. Magnus i

starszy królewicz zakrzyknęli oburzeni, iż się go puszczać nie godziło. Gnać i imać było potrzeba, zabić lub oślepić, aby, uszedłszy na Ruś, nie naprowadził

nieprzyjaciela.

Gdy jedni radowali się niepomiernie z jakiej takiej zgody, drudzy zaraz na koń się chcieli sposobić, w pogoń iść, obławy sprawić na Sieciecha, wołając, że póki on żyw, pokój niepewny. Tymczasem ciemna noc nadeszła i pogoń tę wstrzymała, a nazajutrz gnać już było na próżno.

Noc cała spłynęła w radości wielkiej, ochocie i śpiewach; co było czółen, promów i tratów chwycili wnet ludzie, do Płocka płynąc, aby co prędzej swoich zobaczyć. Z zamku też od króla spieszyli niektórzy do królewiczów i Magnusa, a co było młodzieży, do Bolka. Ten radował się tylko tym, że ojca zobaczy znowu i rękę jego ucałuje. O niego dowiadywał się u wszystkich, nad nim bolał i rad był

pospieszyć niemu. Zarazem Pomorcy, którzy się o Santok kusili, pokojem go nabawiali. Chciał biec bronić granicy.

— Jutro do króla — wołał do swoich — a gdy o niego będziemy spokojni, pojutrze, kto żyw z moich, na Santok, pogany!

Młodzież wtórowała mu, ochotnie powtarzając:

— Na pogan! Na Pomorce! Zbigniew stał obojętny i słuchał.

— Mnie — rzekł — pilniej do Gniezna, aby precz wymieść tych, co mi tam gospodarowali, ład zaprowadzić i spocząć po tych utrapieniach.

Wojna ta, a raczej włóczęga, spanie pod namiotami, żołnierskie jadło, słoty, zimna, niewygody srodze Zbigniewowi dokuczyły. Niczym były benedyktyńskie posty i twarda pościel w klasztornej celi, obok głodu w pochodzie, śnie na trawie przemokłej, niepokoju dniem i nocą, z dodatkiem konia, który nogi rozłamywał, i zbroi, co ramiona ciężarem; swym dusiła.

— Na Pomorców naprzód pójdziemy — rzekł do niego Bolko.

— Nie ja — odezwał się Zbigniew — ja pod dach, na spoczynek. Wy, jak wola, mnie się siły

wyczerpały.

Drużyna Bolkowa odwróciła się od niego, poszedł się pocieszać z Zahoniem do swojego namiotu.

Lat kilka upłynęło od wygnania Sieciecha, który z Rusi ruszyć się ani przedsiębrać nic nie mógł.

W zamku plockim na kilka dni przed Wniebowzięciem Panny Marii wielkie czyniono przygotowania. Ściągały się zewsząd wozy, jechały gromadki zbrojne, gościńcami lud płynął gwarząc, a nie widać było niepokoju ani postrachu, jaki zwykł wojnę poprzedzać i zwiastować niebezpieczeństwo. Owszem, ludzie się radować zdawali. Około grodu śmiechy i śpiewy słyhać było.

Stary Strzegoń, który dowódcą był królewskiej załogi na grodzie, siedział

pod izbą swoją, w tylnych zabudowaniach dworca królewskiego. W podwórcach krzątano się wszędzie, umiatano drogi, oczyszczano kąty, ustawiano brzoźki zielone, przywiezione z lasu, pancernicy pod szopami zbroje czyścili i odzież odświętną otrzepywali.

W ruchu tym, swobodnym, wesołym, ożywiającym ludność zamkową, czuć

było byt dobry i pokój, jakiego tu dawniej nie widziano. Śmiechy się rozlegały różne, tylko bliżej zabudowań, w których król Władysław przebywał, sprawiono się ciszej, bo służba pańska, stojąca w progu, pilnowała, by wrzawy nie wszczynano.

Człowiek, który z postawy na wojaka wyglądał, konia w miejskiej

zostawiwszy gospodzie, powoli posuwał się ku zamkowi. Niemłody już był, włos miał na wpół z siwym zmieszany, brodę też pasami po bokach siwą. Szedł i pilno się rozglądał, jak by tu obcym był, choć dobrze znał drogi i ścieżki i nie pytał o nic nikogo. Ludzi kręciło się dosyć, więc nie zwracano nań uwagi, nikt go też nie zaczepiał, jak by ci, co go mijali, nie znali go wcale. Ten i ów spojrzął na przechodnia i obojętnie się mu przypatrzywszy, do swej roboty powracał.

Przychodzień, wsunąwszy się na zamek, pobłądziwszy po dziedzińcach,

siedzącego na kłodzie pancernika, który zbroję wycierał, zapytał o Strzegonia, gdzie by go pod ten czas szukać było potrzeba. Żołnierz, zaledwie podniósłszy głowę, wskazał w stronę izby, na której progu właśnie spoczywał stary, piwa kubek na wpół wypróżniony mając przy sobie. Dzień letni już się miał ku wieczorowi, a że skwarny był, napój się przydał dla ochłody.

Z dala zoczywszy Strzegonia, przybyły stanął nieco, obejrzał się dokoła, a widząc wszystkich zajętych, przybliżył się ku niemu. Ten też już mu się pilno przypatrywał czas jakiś, jak by go poznawał, a pewnym nie był, czy się nie myli.

Gdy przychodzień też podszedł, stanął i uśmiechnął się, Strzegoń aż się zerwał, aby mu bliżej zajrzeć w oczy.

— Czy mnie stary wzrok nie myli! — zawołał.

— A nie, jam jest, ja — dziwnie się uśmiechając i wkoło oglądając, rzekł

przybyły.

— A cóż Wy tu porabiacie? Lat tyle widać Was nie było. Ludzie prawili, żeście na Ruś poszli z Sieciechem.

— Na Ruś? Hm! Mało to ludzi na Ruś i bez Sieciecha ciągnie, a stamtąd tak samo wrócić można, jak pójść — począł przybysz.

— Cóż Was tu przyniosło? — pytał Strzegoń.

— Ot tak, z ciekawości może się przywlokłem — rzekł podróżny oglądając się bacznie. — A nie lepiej by do izby na rozmowę?

Strzegoń się odrobinę zawahał.

— W izbie bo skwar i much tyle, że wyżyć trudno, pójdziemy gdzie w chłód do szopy.

— Idźmy i w chłód, jak wola — zgodził się przybysz. Tak we dwu

pociągnęli niedaleko, w otwarte wrota odryny, gdzie świeżego siana właśnie nabito aż po dach, że ledwie z przodu miejsca trochę było, aby się na nim położyć.

Patrzyli na siebie dawni znajomi, napatrzeć się nie mogąc.

— Tyś utył, ale postarzał — rzekł podróżny.

— A tyś schudł i podupał trochę — odpowiedział Strzegoń.

— Co za dziw, włócząc się między obcymi — westchnął pierwszy.

— Wróciliście do nas? — pytał dowódca.

Podróżny głową potrząsnął, nachylił się do ucha Strzegoniowi i począł:

— Myśmy się z Sieciechem niedaleko od granicy odbili, a uwierzycie, że choć siedzim blisko, nie wiemy prawie, co się u was dzieje, jak by mur nas przedzielał. Sieciech zawsze powracać ma nadzieję. Powiem Wam prawdę, posłał

mnie, abym mu przyniósł języka.

Strzegoń strząsnął się cały, spojrzął z ukosa, głową poruszył.

— A cóżeście za języka dostali? — rzekł sucho.

— Jeszcze żadnego, bom i pytać się lękał — mówił podróżny. — Myślałem, że tu znajdę niepokój, zwady i biedę, ano, dotąd nie widzę.

— Bo ich nie ma — rzekł Strzegoń.

— Cóż robicie?

— Po trosze wojujemy, a czasem się spoczywa — odezwał się dowódca.

— A król?

— Król? Stare panisko, w kozuch zawinięte, tylko żywe, dogorywa modląc się Bogu.

— A któż mu sieciechuje?

— Nikt chyba.

— Któż u was rządzi? — badał ciągle przybyły.

— Królewicze po grodach, wojewodowie po ziemiach — mówił Strzegoń, cedząc słowa niechętnie.

— Bracia z sobą w zgodzie?

Strzegoń na to pytanie głową pokiwał. Musiał przybysz czekać na odpowiedź.

— Bolko czasu nie ma sporzyć, to rycerz prawy, ten dnia nie usiedzi.

Zbigniew gnuśny i tchórz, boi się go, knuje po cichu, wystąpić nie śmie, kretowiny nam po gościńcach sypie. Czasem kto na nich utknie i nogę roztrąci. Toć przecie wiedzieć musicie.

— Skąd wiedzieć? — rzekł przybysz. — Tyleśmy o was znali, że gdy

Sieciech na was Połowców nasadził, posłał na pewne, ręcząc, że łupu nabiorą i popłochu naczynia, toście wy ich natłukli i spędzili!

— Któż by tego dokazał, jeśli nie nasz młody pan, Bolko — odezwał się dumnie Strzegoń. — Mnie się zda, że gdyby na nas diabły wyszły z piekieł, ten by i ich zwyciężył.

Obydwa na wspomnienie to przypadkowe nieczystej siły przeżegnali się trwożliwie.

— Hej, hej! I bez Sieciecha żyjecie, jak by go już na świecie nie było — dodał przybysz.

— Ani pamięci już u nas o nim — zakończył Strzegoń.

— A król?

— Bolał dużo i przeboleć musiał — mówił dowódca. — i Długo nawet

Bolka odpychał, teraz znowu go miłuje jak oko w głowie. Któż by mógł inaczej?

Podróżny skrzywił się słuchając.

— Przecie i Zbigniew niewiele gorszy — wtrącił.

— O, o! — przerwał Strzeżoń. — Zasię! Kleryk czasem zrywa się do

mieczyka, ano mu się z nim nie szczęści. Co go wyjmie, to schować musi, nie umoczywszy, chyba w wodę. Rad by on, żeby się zań ludzie bili, sam woli Niemki gładzić po twarzy. Język ma mocny, a pięść słabą.

Począł się śmiać Strzeżoń stary.

— A cóż powiecie? — dodał poważniejąc. — Nie dałbym zajęcej skórki za to, że ten słaby klecha naszego mocnego pana zwycięży. Bolko nieopatrzny, gorączka, co w sercu ma, to na języku. Tamten rozumny, co w głowie ma, nie powie nikomu, językiem mota, aby w błąd wprowadził. Przyjdzie do ojca, szepcze mu na brata, spotka się z bratem, podżega na ojca.

Podróżny, słuchając, radować się zdawał.

— Bolko złoty pan — ciągnął Strzeżoń — ale chłopię szalone. Jemu tylko w lesie a w polu, pod namiotami dobrze i wesoło, klerykowi w chacie, u ogniska.

Dwu ich jest jednego ojca, a do siebie niepodobni wcale.

— A królowa Judyta? — zapytał przybysz.

— E, e! — syknął Strzeżoń. — Co mi tam w babskie mieszać się sprawy!

Jak poczyniała niegdy, tak i dzisiaj. Niemców młodych kręci się koło niej siła, baba w skoki chodzi, śmiechami żyje i zestarzyć nie chce. Siedzi w niej lichy.

— A po wojewodzie nie zatęskniła? — dodał przybyły.

— Nie wiem. Pewnie dwa albo i trzy dni musiało jej być markotno — mówił

dowódca. — Co miała za jednym z tęsknoty umierać, kiedy ich dziesięciu mieć może na to miejsce?

— Przecie stara — mruknął obcy.

— Pomarszczona i straszna — dodał Strzeżoń — a czym się garnek napoił za młodu, tym skorupy jego cuchną.

Milczeli jakiś czas, przybyły wyciągał siano spod siebie i gryzł je, jakby ze złości.

— Dziw a dziw! — wykrzyknął wreszcie. — Panem tu był! Życ bez niego

nie mogli. Nie stało go, i śladu po nim nie ma!

— Pamięć bo została, ale niedobra — odezwał się Strzegoń.

I trochę spoczęli znowu.

— Co tu u was tak wygląda świątecznie? — zapytał podróżny.

— Niby nie wiecie, że święto za dni parę przypada? — rzekł Strzegoń. —

Ano, mało tego, uroczystość będzie znaczna, bo król stary Bolkowi i jego drużynie rycerskie pasy ma dawać.

— A Zbigniewowi też? — zapytał podróżny.

— Po co mu drugi, kiedy już jeden dostał sobie — odezwał się Strzegoń. —

Choć nie bardzo wojował, ale zawczasu rycerstwo to wyprosił u czeskiego króla.

Pysnił się nim Bolkowi na złość, gdy ten, krew przelewając, pasa nosić nie śmiał.

— Kiedyz owo pasowanie?

— W samo święto! — rzekł—dowódca.

Mówili jeszcze z sobą, gdy na dziedzińcu Strzegoń posłyszał wołanie i na sianie zostawiwszy towarzysza, rzucił się z odryny dowiedzieć, co się stało.

Na koniu pianą i potem okrytym leciał ku szopom młody, ciężką zbroją okryty cały, chłopak, w którym wysłaniec Sieciecha Bolka poznał.

Lat kilka uczyniły go dorosłym, silnym mężem, a więcej nad lata ciągły trud wojenny go ukrzepił. Choć złym okiem patrzył nań posłaniec, nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie piękność, męstwo i siła wywierają. Puszek młodzieńczy okrywał

twarz ogorzałą, zdrowiem kwitnącą, wśród której bystrych oczów dwoje jak dwa czarne świeciło diamenty. Widać było prawie, jak pod tą czerstwą skórą krew żywo płynęła. Pańska i rycerska postawa budziła poszanowanie. Królewskie dziecko znać w nim było z dala, dowódcę nawykłego rozkazywać i niczym się nie dać ustraszyć.

Strzegoń spotkał się z nim wśród podwórca. Bolko własni konia osadzał i zeskoczył z niego.

— Stary mój! — krzyknął głosem doniosłym a drżącym. — Ludzi! ludzi! Do koni, co jest najlepszego! Kto żyw dziś, zaraz ze mną!

— Cóż się stało, Miłościwy Panie? — podchwycił kłaniając się Strzegoń.

— A! Psia gromada ujada nad granicą! — wołał Bolko. — Zwąchały wilki wściekłe, że my tu świętować mamy. Pomorcy znowu Santok oblegają!

Strzeżoń stał pomieszany, nie wiedząc jak spełnić rozkazy.

— Miłościwy Panie, święto wielkie tuż przed nami! Uroczystość Wasza!

Sproszone duchowieństwo, władcy, wojewodowie, król, póki żyw, chce Was przepasać!

— Słuchaj — krzyknął królewicz — czasu jest dosyć! Natychmiast na nich, sprawim się chyżo, zbójów przegnamy i wrócim żywi i zdrowi po pasy! Znam się ja z tą hałastrą, która pierzcha, byle jej sięść na karki! Strzeżoń, stary, na rany Boże! Na całą noc w pochód, kto żyje! Trąbić na ludzi — dodał rozgorączkowany się — nim księżyc wnijdzie, na całą noc ruszamy.

W chwili poruszyło się wszystko na zamku, bo w rogi uderzono. Chory król, posłyszawszy to hasło wojenne, uląkł się i komornika wysłał z pytaniem, co się stało.

Bolko biegł z nim do ojca zdyszany. Władysław siedział w swym krześle otoczony czeladzią, z usty otwartymi i wargą obwisłą, która się teraz rzadko zamykała. Oczy miał wlepione we drzwi, czekając wylękły na syna. Wyciągnął

doń ręce.

— Wojna? Napaść? — zawołał.

— Santok oblegają te pogańskie syny, ta tłuszcza zbójcka! — począł Bolko.

— Iść muszę!

Król się zmarszczył.

— A uroczystość nasza? A sproszeni goście? Rozśmiał się królewicz.

— Będą godowali tu, aż powrócę — zawołał — pierwsza rzecz na pas

zarobić! Wolę Santok od pasa. Gdybym ja tu rycerzem został, a oni mi zamek ubiegli, gotów bym się na tym pasie obwiesić!

Mówiąc to rękę ojca całował, który go do piersi przycisnął.

— O ty, ty, rycerzu mój — odezwał się pieszczotliwie — pociecho moja!

Ilekoć ty idziesz ode mnie, strwożone serce idzie za tobą. Tyś mi jedyny, ty nie dasz spustoszyć tej ziemi, a sławie naszej zaginać. Odżywisz ją! Zapłakał król, ale z radości.

— Ojczy miły — rzekł ściskając go Bolko — gości strzymajcie, niech

poczekają mało, aż powrócę. Przyniosę na mieczu pogańską krew, blizny może —

z nimi do pasa przystąpić milej mi będzie.

Posmutniał król.

— Tak ci ode mnie pilno — szepnął.

— Pilno, Miłościwy Ojczy — rzekł Bolko. — Ta tłuszcza tam stoi i naciska, załoga słaba, ludzi mało. Na noc całą leczę z moimi. Któż wie? Do dnia może na karkach im siedzieć będę.

Wiedział stary król, że wstrzymywać go byłoby na próżno, westchnął całując i raz jeszcze spojrzął nań, a twarz mu się radością rozśmiała. Dawnych żalów śladu nie było ni w sercu ojca, ni syna, odkupił je Bolko miłością wielką i troskliwością o starego rodzica, którego jak piastunka sam jeden doglądał, bo królowa wcale oń nie dbała.

Jeszcze byli na rozmowie, gdy w dziedzińcu niezmierna wrzawa, rogów

piskliwe granie, krzyki i śpiewy niesforne rozlegające się nagle zwiastowały przybycie Zbigniewa.

Król mimowolnie przerażony drżeć zaczął, obłąkanymi powiódł oczyma i uspokoić się nie mógł, choć mu oznajmywano, że królewicz syn jechał z tym szumem rozpustnym. Znano go z tych wjazdów, których zwyczaju pozbyć się nie chciał, choć go o nie strofowano. Otaczał się ludźmi, którzy posłuszni mu, w każdej osadzie, do każdego gródka się zbliżając, swawolę tę powtarzali.

Dziwacznie wyglądał orszak starszego królewicza, który sobie dzikich a rozpasanych ludzi dobierał, a stroił ich osobliwie, w szaty jaskrawe, czuby i pasy, obwieszając konie i ludzi dzwonkami i trzęsidłami. Miłe mu było, co najgłośniej brzęczało. Na prostym gminie wrzawa ta pańskiej czeladzi czyniła wrażenie, stawali na drogach patrzeć nań zdumieni, przypadali i kłaniali się nisko, oglądali długo. Lecz gdy obok tej drużyny, niesfornej a swawolnej, stanęła Bolkowa rycersko piękna a skinieniu posłuszna, widział każdy dwu panów różnicę.

Bolko, wielce ciekawy obyczaju rycerskiego na Zachodzie, pilnował między swymi porządku, o jakim z Francji i Niemiec zasłyszał. Były to właśnie te czasy, w których się instytucja rycerstwa, można by powiedzieć zakon rycerski, co taki wpływ wywarł na złagodzenie obyczajów, rozwijał i kształcił. Wszystko, co szlachetniej czuło, co miało pragnienie wyjścia z dzikości, garnęło się do praw i zwyczajów rycerskich, które i w boju, i wśród największych zawichrzeń ubezpieczały słabych, obowiązywały do szanowania miejsc, osób, niewiast i istot bezbronnych. Kościół też widział w rycerstwie, które stawało w jego obronie, domagało się od niego błogosławieństwa, dzielny środek do poskromienia wyuzdanych namiętności. Do tego nowego porządku, który szlachetnym celem i poetycznym wdziękiem do dusz przemawiał, garnęli się ludzie najlepsi, dusze rycerskie, serca poczciwe.

Było ono znamieniem ówczesnym postępu i wszystko, co pragnęło podnieść się do jakiegoś ideału, szło pod rycerskie chorągwie.

Na dworze Władysława Hermana razem z przybyciem siostry cesarskiej

poczęły się krzewić pojęcia rycerstwa, których już Kazimierz przyniósł z sobą nasienie.

Bolko był jednym z tych młodych wojowników, dla których urok niezmierny miało wszystko, co się wiązało z nowym obyczajem.

Zbigniew, choć już dawniej przez króla czeskiego pasowany był i należał do tego wielkiego bractwa, rozszerzającego się po całym Zachodzie, lekce sobie ważył

i swój pas, i przywiązane doń obowiązki. Nie lubił nic takiego, co by go wiązało i wymagało posłuszeństwa. Drużyna też jego wcale na pacholęta i rycerzy nie wyglądała, choć strojem niby rada była za nich uchodzić.

W Bolkowej drużynie ducha rycerskiego szczepił sam wódz, aż do

drobnostek w nim rozmiłowany. Zbigniew wyśmiewał go z tego, mówiąc, że owo niemieckie rycerstwo dla Polan nie przystało, którzy inne mieli nawyki. I teraz, na ojcowski jadąc zamek, po swojemu wystąpił królewicz z owym piskiem i wrzawą a okrzykami wedle starodawnego, dzikiego obyczaju, z rogami, które więcej hałasu czyniły, niż do gędzby były podobne.

Wybiegł Bolko w podwórce, dając znaki rękami, aby się ta czereda uciszyła, wołając, że król chory.

— Zawsze chory — odparł z konia Zbigniew — przecież królewiczom na

zamek jak złodziejom po cichu wkradać się nie przystało!

Zsiadł z konia starszy, podali sobie ręce, witając się chłodno. Zbigniew przybrał wyraz szyderski i dumny.

— Cóż, młody rycerzu — odezwał się — gotujesz się, słyszę, do pasa, pilno ci być musi go dostać!

— Nie prędzej, aż na niego zarobię — odparł z równą dumą Bolko —

właśnie się zręczność nadarza, bo Pomorcy Santok oblegają. Za godzinę ruszam.

Chcesz ze mną? Rad będę.

Zbigniew się zadumał.

— Jam się na wyprawę nie przysposobił — rzekł — ludzi mam garść małą, na niewiele by się przydali. Patrząc zaś na twe bohaterskie dzieła nie potrzebuję, bo wiem, żeś mężny i nieustraszony. Zostanę przy ojcu.

— Więc nawet ochota cię nie bierze samemu poharcować z nimi? — wtrącił

Bolko z rodzajem politowania.

Starszy zmieszany nieco oczy spuścił bełkocząc.

— Nie wziąłem z sobą ludzi wojennych, tylko dwór, nie mam z kim iść.

Zbroi też nie wiozłem z sobą.

— Znajdzie się i u mnie — rzekł Bolko.

Zbigniewa to nastawanie niecierpliwiło.

— Ja przy ojcu będę, nie godzi się go samym porzuć aby się o obu nas niepokoił — począł chmurno.

— Sam nie będzie, królowa jest — mówił Bolko.

— Nie wybrałem się na wyprawę — rzekł Zbigniew.

— I ochoty nie masz do niej — wtrącił Bolko śmiejąc się.

— Takiej jak ty nie miałem nigdy — zawołał starszy z gniewem tłumionym.

— Na Pomorców ty jesteś stworzony, oni cię szanują. Słyszałem — dodał — że gdyśmy ostatni raz byli oba razem przeciwko nim, dzicz się ze mnie śmiewała, zowiąc klerykiem. Tak twoi ludzie opowiadał Po cóż ci kleryk do pomocy?

Rzekłszy to Zbigniew, nie patrząc już na brata, posunął się ku dworcowi królewskiemu, uroczyście ciągnąc z drużyną, która nań oczekiwała. Władysław, już wrzawą zawiadomiony o przybyciu, przyjął syna kwaśno i zimno. Nie pierwszy raz hałaśliwość podobną wyrzucił Zbigniewowi, który jej wyrzec się nie chciał.

Nie czynił mu teraz wyrzutów, ale milczeniem dał poznać złą wolę, i Zbigniew, niewiele troszczący się o nią, powitawszy ojca, wyszedł natychmiast zajął dla siebie przeznaczone izby.

Bolko już się do pochodu sposobił. Ludzie oczom prawie nie chcieli wierzyć, widząc go w przededniu wielkiej uroczystości wyrywającego się na niebezpieczną wyprawę. Mrok padał i skwar dzienny znacznie się zmniejszył, gdy młode pacholę w zbroi już, przy mieczu, w całym rynsztunku przyszło ojca pożegnać i wziąć błogosławieństwo jego na drogę. Nie śmiał wstrzymywać go ojciec, uścisnął i szepnął:

— Wracaj cały i zdrow, szczęśliwie a prędko! Niepokojem srogim mrzeć będę za tobą.

Starzy komornicy pańscy, wszyscy miłośnicy wielcy królewicza, wyszli w przedsienie aż gromadnie patrzeć, jak wyciągać będzie. Blask zachodniej łuny oświecał ten pochód rycerski. Część wojska już bramami wyciągnęła w pole; gdzie się szykowała. Bolko miał z sobą dwunastu swych jednakich zbrojach i hełmach.

Ci stali czekając nań. Jeden z nich wiozł chorągiew, na której widać było wyszytego jeźdźca na koniu z podniesionym mieczem w rękę. Zatrąbiono, królewicz wdział hełm, przeżegnał się i dosiadłszy

konia, otoczony drużyną, ruszył

z twarzą rozpromienioną, szczęśliwy!

Po wyjeździe jego zamek zdawał się pustym, brakło mu tego życia, które z sobą przynosił. Z nim też najdzielniejsza młodzież zniknęła. Lecz w tejże godzinie prawie sproszone duchowieństwo, władcy, ziemianie przybywać zaczęli. Wielu starszych wiodła ciekawość, bo choć wszyscy znali i wiedzieli, czym był pas rycerski, obrzędów uroczystych przy wkładaniu go mało kto z nich był świadkiem.

Obchód podobny ledwie na cesarskim i królewskich dworach na Zachodzie wchodził w użycie z właściwymi mu obrzędami. Tłumaczono różnie tę dostojność, jaką chciał król nadać młodszemu synowi, a wielu mniej świadomych widziało w niej jakby zdanie władzy i naznaczenie następstwa po sobie. Nie słyszało wielu, iż Zbigniew był pasowanym przez Czecha, a w wywyższeniu Bolka miłość ojca i pierwszeństwo nadane mu widzieć chciano.

Z rana, w wigilię Wniebowzięcia, zamek już był pełen, izby gośćmi nabite.

Arcybiskup Marcin siedział z królem razem, przychodzili przed nich

wojewodowie, starostowie, żupani, władcy, ziemianie z pokłonami, ręce ich całując, jedni po drugich wprowadzani, ustępując sobie miejsca i przechodząc stąd do izb, w których stoły przez cały dzień nakryte dla nich były.

Zbigniew korzystał ze zjazdu, a nieobecności brata, aby do starszyny się zbliżyć i starać się ją jednać sobie. Nie garnęli się do niego. Z ludźmi obejść się nie umiał i gdy dobrym chciał być nawet, stawał się uprzykrzonym, obrażał

sztyderstwem, od których się wstrzymać nie mógł. Ze śmiechem na ustach niby wesołym, z dumą i lekceważeniem przystępował do ziemian, którzy go milczeniem przyjmowali, a gdy odszedł, oddychali swobodniej. Niezręcznie też przedrwiwał

przed nimi z ojca i brata, tak że niejedni, słuchać nie chcąc go, wysuwał się i uchodził.

Ani on, ani dwór jego, który w Płocku tak się rozgaszczał jak w przyszłej swej stolicy, nie mieli tu przyjaciół. Wiedziano z Gniezna, co się tam działo, że od królewiczowskiego rozpasanego dworu nikt spokoju nie miał, że tam nic i nikogo nie szanowano, a gdy na skargę szli pokrzywdzeni, Zbigniew ich zbywał

śmiechami i groźbą.

Bolko inaczej obchodził się z ubogimi i biednymi, a choć gniewny był

czasem i prędki, nigdy się na bezbronnych nie porywał i słabych nękać nie dopuszczał. W nim był prawdziwy duch tego rycerstwa szlacheckiego, które we Francji się krzewiło i społeczeństwu oświecenijszemu prawa dawało.

Dzień cały po wyruszeniu Bolka nie było o nim wieści. Nazajutrz

następowało Wniebowzięcie Panny Marii, na tę uroczystość wyznaczone.

Królewicza oczekiwano niecierpliwie. Król, choć chory, kazał się nieść na nabożeństwo do kościoła katedralnego, gdzie arcybiskup z towarzyszami celebrował.

Brakło mu syna, a myśl, że on tam dnia tego świątecznego bić się musi i nie ma spoczynku, smutkiem mu oblekała twarz pomarszczoną. Zbigniew z tego niepokoju ojcowskiego szydził, jeśli nie słowy, to szyderskim wyrazem, który go nigdy nie opuszczał.

Odprawiono nabożeństwo poranne, nastąpiło wieczorne: Bolka jak nie było, tak nie było, na koniec i noc zapadała, słuchu żadnego nie miano o nim od granicy.

Niepokojąc się król wysłać kazał jednego z najsprawniejszych ludzi swych, aby się starał dostać języka. Goniec miał już wyruszać pod noc, gdy za bramami zahuczało, jakby wichur się zrywał. Bolko biegł w kilkadziesiąt koni, z drużyną swą i czeladzią, pierwszy na zamek wracając.

Wszyscy wybiegli przeciw niemu z pochodniami, z radością, wołaniem

głośnym, tak że i Zbigniew musiał wyjść przeciwko brata, choć z gotowym szyderstwem na ustach.

Powracający Bolko miał na sobie ślady zwycięskiego boju, który stoczył, odpychając Pomorców od Santoka. Jechał z hełmem porąbanym i pogiętym, w zbroi potłuczonej, na której ciężkie razy widać było, na koniu jak on sam poranionym i pobitym. U siodła żelazne rękawice wisiały pogruchotane, oszczep pokrwawiony i nadłamany sterczał, miecza pochwy całe krwią były zbroczone, płaszcz i kaftan miał podziurawiony. Dość było spojrzeć nań, aby widzieć, że sam brał udział w najgorętszej walce i musiał z niej wyjść zwycięsko.

Ci, co się znali na rycerskiej sprawie, zobaczywszy go, wyczytali na nim wypisaną całą historię walki, podnosili ręce z podziwem i uwielbieniem, obwołując młodego pana. Zbigniew patrzył nań z gniewem, mając mu za złe, że przybył, nie przyodziawszy się, chwalić tymi jawnymi dowodami swojego męstwa. Gdy wszedł

tak do ojca, znowu powstały okrzyki na widok zbroi, hełmu i miecza. Król wstał, aby go uściskać, i do piersi przycisnął. Duchowni z poszanowaniem patrzali: wracał jakby z wojny krzyżowej.

— Bóg niech Wam błogosławi — zawołał arcybiskup Marcin — i niech da, abyście tego męstwa zawsze na obronę wiary i Kościoła używali!

Niemal cała ludność zamkowa zbiegła się do Bolkowej drużyny, która jak on poznaczona była krwawo, ale śmiała się szczęśliwa ze zwycięstwa.

I oni mieli pogięte zbroje, pocięte ręce i nogi, krew na mieczach, krew na twarzach, a wielką dumę i radość w sercach.

— Co my? — wołali uniesieni. — Patrzajcie na królewicza, ten nad

wszystkich był dzielnym!

Większa część wojska pozostała przy odsieczonym Santoku, Bolko sam

tylko z drużyną przybieżał w skok, aby, nim się panowie i duchowni rozjadą, otrzymać dobrze wysłużony pas rycerski. Nie było już jednak podobna dnia tego rozpocząć przygotowań do obrzędu, bo i królewicz, i towarzysze jego, śmiertelnie strudzeni, potrzebowali odetchnąć, przysposobić się, nimby spowiedź

poprzedzającą uroczystość odbyć mogli. Stańto też na tym, aby dopiero dnia następnego rozpoczęły się ceremonie, które ściśle zachować chciano, tak jak się gdzie indziej odprawiały. Oprócz królewicza drużyna jego zasłużyła równie na zaszczyt, o który on się dla niej domagał.

Wieczór zszedł na opowiadaniach o wyprawie. Pomorcy którzy szpiegów

mieli wszędzie, bo im lud do świątyń ich pogańskich uczęszczający potajemnie o wszystkim donosił, śledzili pilno każdy ruch królewicza. Zawczasu dowiedzieli się o mającym nastąpić zjeździe w Płocku i zdało im się, że potrafią ubiec ten gród tak dla nich groźny, naprzeciw którego już raz byli twierdzą zbudowali, aby go ciągle trzymać na oku. Twierdzą tę ledwie wystawioną Bolko dobył i zburzył. Gdy królewicz niespodzianie nadbiegł z odsieczą, nikt z oblegających, którzy zajadłe tłukli bramy i zrozpaczoną naciskali załogę, ani przewidzieć mógł posiłków z tej strony. Dostyc było prawie samego ukazania się Bolka, którego postawę, głos, chorągiew, konie i ludzi znali Pomorcy, aby rzucić popłoch na nich. Nie o obleganiu już myśleli, ale o ocaleniu się, gdyż w tej samej chwili z zamku ośmielona załoga uczyniła wycieczkę i wzięci zostali z obu stron, tak że mało co ich wyrąbać się i ujść mogło. Przyparto ich do rzeki częścią, tak że ci tylko, co lepsze konie mieli, przepłynąć ją zdołali i życie unieśli. W rozpaczliwym tym boju, gdy Bolko jak prosty żołnierz walczył, wściekle napadli nań poganie, nastając na jego życie; miał jednak głos i miecz młodego królewicza tę potęgę, że trwogę siał, której się nic nie oparło. Pierzchnęła resztką dziczy, Santok na długo od nowej napaści był ubezpieczony.

Zbigniew obojętnie słuchał opowiadania.

— Ha — rzekł do Bolka w końcu — Santok obroniony i obeszło się bez

guzów na moich plecach, bez sińców i bez ran! Tym ci lepiej. Sławy rycerskiej, choćbym jej żądny był, nie dojdę nigdy takiej, jaką Wy sobie pozyskaliście, Miłościwy Bracie. Zawsze mnie klerykiem nazywać będą, choćbym bym i guzów dostał. Po cóż mi one?

VI

Na dworze króla Władysława był już z dawna Michno z Zadora, wielce

Bolkowi ulubiony, ciekawy mąż, którego losy różne i własna wola po świecie szerokim nosiły długo, tak iż znaczniejszą część życia przebył na dworach królów Francji i cesarzów niemieckich. Rodzinę miał w Krakowskim. Siostry tam za mąż powychodziły, on sam, gdy po długiej włóczędze, zestarzały, siwy, potłuczony, okulały, wrócił kości złożyć na własnej ziemi, musiał swej mowy się uczyć na nowo, bo jej był prawie całkiem zapomniał. Majętności były z dawna

rozchwycone, schronienia nie miał gotowego, przyszedł więc na dwór pański; a choć rękę już miał niezdatną do boju, bo go Włoch jakiś szpetnie porąbał, że mu kości wychodziły, choć jedną nogą powłóczył, przydał się bardzo. Bolko mu, młody naówczas, szczególnie rad był i przyjąwszy sobie za mistrza i nauczyciela, używał go do kierowania rycerskimi sprawami i nauki porządku ich, której nadzwyczaj był żądny.

Michno dobrze rzecz znał, długo patrzył na to, jak na Zachodzie odbywały się turnieje, gonitwy, zapasy, sądy Boże i wszystko, co do rycerstwa należało. Na każde zapytanie odpowiedź miał pewną i przykłady. Wiedział on, jak się tam dobijano rycerskiego zaszczytu, jakie doń idąc przechodzono stopnie, z jakimi obrzędami pasowano na rycerzy pacholeta. Umiał wedle wszelkich prawideł urządzić gonitwę, turniej, walkę na tępę, a gdyby dwór był miał niewiasty tak wprawne do prowadzenia na paskach panów swych miłych jak gdzie indziej, Michno by był

chętnie tu, na wzór francuskich, miłosne dwory wystroił. Tego jednak surowszy obyczaj, dawne wspomnienia, skromność niewiast, nie dawała zaprowadzić. Ani myślano o tym. Bolko tylko pragnął koniecznie, aby drużyna jego zupełnie po zachodniemu była uzbrojona, zarządzona, wyuczona i w karności wielkiej utrzymana. Michno tego pilnował. Wielką powagę w tych rzeczach miał stary, nabywszy doświadczeniem świadomości ich; nałóg sobie uczyniwszy z ładu surowego, pilnował nielitościwie wszystkie co się do spraw rycerskich odnosiło.

Całymi nieraz wieczorami Bolko opowiadać mu kazał, słuchał go, uczył się, zapamiętać starał, obdarzał, a gdy wielkie, bohaterskie, bajeczne niemal czyny odwagi i siły, postęпки mężne opisywał, z przesadą wielką i ozdobami krasomówskimi, Bolko rwał się uniesiony, aby je naśladować. Wzdychał on zawsze za wyprawą do Ziemi Świętej. Trzymano go tym tylko, że pogany, nieprzyjacioły krzyża pod boki miał, więc się ich szukać za morzami nie godziło, póki by osie gniazdo wytępione nie zostało.

Po raz może pierwszy w Polsce pasowanie na rycerzy tak uroczyście się odbywać miało. Michno nim kierował w kościele i na zaniku, bo obrzęd ten, na wpół religijny, okiem i opieką duchowieństwa dopełnić się musiał. Strzegł Kościół

tego, aby w życiu ludzkim żadna czynność ważniejsza bez jego błogosławieństwa i uczestnictwa się nie obchodziła.

Następującego dnia Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szli naprzód na nabożeństwo, odziani skromnie jak pokutnicy, a przy mszy świętej wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło się dnia tego

żadnej zażywać rozrywki ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i nabożeństwie. Wysłuchawszy niesporów wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym w ołtarzu wielkim Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebyli na czuwaniu i modlitwach. Bolko i towarzysze jego, jednako odziani, mieli suknie z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, na kształt sutanny, którą duchowni nosili.

Jak tylko rozedniało, wyszedł biskup Filip ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego. Szli potem do przygotowanej łaźni, w której wyparzywszy się i obmywszy zmienili odzież, biorąc bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną.

Zwyczaj, którego Michno pilnował, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w nim przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami. Bolko oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi, lecz stary choć na chwilę go lec przymusił, aby się obyczajowi zadość stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało, przybył i Zbigniew, raczej by bratu dokuczyć, niż by mu się pokłonić.

— E! e! — zawołał od progu — mnie w Pradze mój ojciec a król tak nie męczył, nie wydziwiał z wymyślnymi obrzędami. Poszliśmy do kościoła, uderzył

mnie mieczem po ramieniu trzy razy i tyle było wszystkiego. Sztuki te wasze śmiechu są tylko warte.

Michno się mocno obraził.

— Miłościwy Panie — rzekł gniewnie. — Wolno było czeskiemu królowi

postąpić sobie z Wami, jak mu się żywnie podobało, my prawa strzeżemy, bo u nas rycerstwo nie na żarty.

— A możej to czym było! — podchwycił obrażony Zbigniew.

Michno ramionami ruszył.

— Albo ja tam wiem! — odparł. — U nas mówią: „Z pieśni słowa nie wyrzucić”.

Wyszedł starszy królewicz pomruczawszy. Gdy się odwiedziny te skończyły, Michno, Strzegoń i Leliwa Neńko, stary wojak też, przystąpili do odziewania królewicza wedle obyczaju.

Podał mu pierwszy gźło, u szyi i pięści złotem wyszywane, białe jak śnieg, bo szatę niewinności oznaczające, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę dzianą misternie i plecioną. Ta oznaczała jakby włosienicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzeźliwości. Na ono drugie gźło żelazne wdziewano mu kaftan łosiowy, który pierwsze okrywał, tak jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Na kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników.

Na nią Strzegoń narzucił mu płaszcz na ramiona rycerski, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż;

sierpniowy na potłuczonym świeżo cieple, sińcami po okrytym, ledwie ciężar ten cały dawał udźwignąć.

Tak samo przyodziani zostali towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on gźła, zbroje i miecze jednakowe zawczasu przysposobił.

Przybrani wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyście szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie, ani w podwórzu, ale w katedrze się odbyło. Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy arcybiskup pobłogosławił. Gdy orszak królewiczowski ruszył ze dworca, podwórza, wały, okna pełne były ciekawego ludu, okrzykującego młodego pana i klaskającego w dłonie radośnie. W uroczystym pochodzie szli wszyscy do tumu, starszyzna, tłumy za nimi.

Króla już tu wprzód zaniecono i posadzono na wezglowiu pod

baldachimem. Duchowieństwo licznie zgromadzone, chór, ławy i prezbiterium zapełniało. Lud tłoczył się do kościoła. Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki, a tu, odprawiwszy modlitwę krótką, do ojca, przed którym składać miał

przysięgę.

Jedna dla wszystkich rycerska klątwa brzmiała, jako krwią, życiem,

mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiemu uciśnionemu.

Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza Strzegoń i Michno, aby mu złożone przypiąć ostrogi. Z ołtarza klerycy wzięwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał sianą w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla. Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław trzykroć mieczem uderzywszy go po ramieniu drżącymi rękami przypasał mu rycerskie znamię.

Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był

powinien cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę. Wstał Bolko cały radością promieniejący, dziękując ojcu, a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczała go starszyzna dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędźby, uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały w podwórzach stojący nowych rycerzy witał. Było to widowisko dlań nowe, po którym obiecywały się otwarte stoły i beczki, co radość większą jeszcze czyniło.

Bolka też kochali wszyscy i cieszyli się tym, co w ich oczach miało większe znaczenie, niż król i starszyzna mu przypisywała.

Na Zbigniewa mało kto patrzył, ukryć więc mógł gniew, jakim pałał,

zazdrość i pragnienie zemsty. Zazdrościł młodszemu wszystkiego: oznak miłości powszechnej, męstwa, serca ojca, sławy i rycerskiego pasa, choć i on dziś włożył

swój kosztowny i lśniący, ażeby się nim pochlubić. Nikt ani na niego, ni na ten strój nie spoglądał.

Zaledwie uciszyło się nieco w kościele, gdy z prezbiterium, gdzie stali kapłani, spośród ich dał się słyszeć głos, który wszystkich zdumiał:

— Księżę Panie, Władysławie pobożny! Pocieszył dziś Bóg królestwo twe, podeszłe lata twoje, chorobę twą, a ziemię tę przez nowego pokrzepił rycerza.

Błogosławiony żywot, który wydał na świat syna takiego! — Dotychczas Polska nękana była przez nieprzyjaciół, ten młodzian ją do dawnej przywróci potęgi. *

Zdumieli się wszyscy temu głosowi proroczemu, który wyszedł jakby

mimowolnie natchniony z ust mnicha stojącego za biskupami. Mnich ten, mówiono, Galem był, a przybywszy przed laty kilką do tej ziemi, nie znane na Zachodzie dzieje jej spisywał. Człek był duży, opasły, twarzy szerokiej, rumianej, wesołej, ust i warg wydatnych, oczu wypukłych, śmiałego wejrzenia.

Gdy się nań wszystkie zaczęły zwracać oczy, głowę pochylił, pokłon czyniąc biskupom, otarł pot rzęsisty i cofnął się nieco za kleryków, aby nań nie patrzano.

Zajadłe spojrzenie rzucił nań z dala Zbigniew, a gdy drudzy szli już na zamek do uczyty i stołów, on wyrwał się z kościoła i zszedł na stronę, jak by z innymi razem iść nie chciał.

Marko Sobiejucha, wypuszczony dawno z kuny za wstawieniem się Greta i znowu do dawnych łask przypuszczony, z dala stał, patrzył i czytał w twarzy znanej swojego pana gniewy i grozę. Gdy Zbigniew wyszedł, pośpieszył i on za nim na wały, gdzie kilka drzew trochę cienia dawało. Chociaż i tu tłumu ciżba była wielka, na prostych ludzi wiele baczyć nie potrzebowali. Zbigniew, najrzawszy go, choć chciał mówić, długo z gniewu, który go dusił, słowa nie mógł wydobyć.

— Gorąco straszne, Miłościwy Panie — rzekł Sobiejucha — czyby nie

zrzucić tego żelaziwa i ciężkiej odzieży. Wszak już po wszystkim i strój ten niepotrzebny.

Zbigniew nie odpowiadał, pot mu się lał z czoła, lecz nie ze znużenia ani ze skwaru, ze złości.

— Wyrządzili naumyślnie triumfy te dla gołowasa — krzyknął wybuchając

— aby mnie upokorzyć! Tak, nie inaczej jest. Chciał król okazać, że on mu najmilejszym, że jemu po nim następstwo naznaczone, że ja z łaski tylko ochłap ziemi dostanę.

— O! — uśmiechnął się, cicho podszeptując Marko, który swojego pana

znał. — O! Nie zawsze pięści wygrywają, często i głowa! Póki to było

* Gallus (Przypis autora).

nadmorskie walić trzeba po łbach, aby w cudze zboże nie lazło, dobry Bolko; jak przyjdzie co mądrze czynić, nie stanie rozumu, chyba go pożyczysz, wiem ja u kogo!

— Gdybym się nie zdragał w ten dzień ojcu czynić bólu — zawołał

Zbigniew — jechałbym stąd jednej chwili precz! Nasadzili tego opasłego mnicha, żeby mu na głos panowanie prorokował i królowanie nade mną! O mnie słowa nie rzekł, jak by mnie na świecie nie było!

Marko coraz już głośniejszym wykrzykującym powstrzymał.

— Cyt, Miłościwy Panie, cyt, aby ludzie nie pochwycili, Niechaj się to wyburzy. Gniewu pokazywać nie trzeba, jak miecza z pochew dobywać, dopóki się nim nie uderzy! Zawczasu się wydać szkoda! Niechaj sobie myślą, że śpiemy.

— Zbigniew popatrzał nań, pomyślał trochę i gniew począł hamować.

— Dobrześ rzekł — odparł cicho — gniew zdrajcą jest. Będę ostrożnym, niech go nie widzą.

Choć pragnął stłumić oburzenie, nie podołał jednak Zbigniew i ledwie się nieco poskromiwszy, rzucił się z żalem i skargą iść do arcybiskupa Marcina, który jeszcze był w dworcu biskupim przy kościele. Nie mówiąc o tym nic Markowi, który jak cień włókł się za nim, pospieszył Zbigniew do starego opiekuna swego.

Właśnie był ojciec Marcin, zdjawszy uroczyste szaty, przyszedł nieco w izbie odpocząć, gdy królewicz wpadł doń z twarzą zaognioną i gniewną. Spojrzał

nań zdziwiony kapłan.

— Dziecko moje, coć jest? — zapytał.

— Ojczy mój! Nie czujecież Wy obrazy mej, upokorzenia mojego! —

wybuchnął wchodzący. — Jam dziś nogami stratowany i zgnieciony,

sponiewierany jestem, zepchnięto mnie precz, w błoto, zszarzano! Młodszy brat górą, nawet w kościele, pod boki Waszym prorokują mu bohaterstwo i panowanie! Czymże ja? Sługą i podnóżkiem?

Arcybiskup chłodno za rękę go ujął.

— Uspokój się — rzekł łagodnie. — Mnichowi, który się bez wiadomości starszych wyrwał z tym głosem, a który obcym jest i kraju nieświadomym, naganić kazałem tę samowolę. Zawróciła mu głową okazała uroczystość, czuł się, jak powiada, natchnionym. *Spiritus flat ubi vult.*

— Natchniony! — rozśmiał się złośliwie Zbigniew. — Tak oni powiadać będą na swe uniewinnienie, w rzeczy inaczej być musi. Mnicha nasadzono, opłacono go, aby ludziom zwiastował, że Bolko jeden tu godzin być królem i panem, że bohaterem jest! Chciano mnie upokorzyć i poniżyć!

— Dziecko moje, upamiętaj się — przerwał starzec. — Niechaj cię zazdrość nie obłąkiwa, niech, ci serca nie psuje. Dwu was jest równych u ojca i w tej ziemi, a kto i uczyni i więcej zasłuży, ten pierwszy będzie.

— Tak! — z goryczą podchwycił Zbigniew. — On od kolebki się nosi z mieczem, mnie rzucono za klauzurę, związano ręce, uczono pacierzy, nie wojny.

Cóżem winien, że mnie ten młokos wyścignie! Ja paść muszę!

Arcybiskup podniósł rękę i przeżegnał go.

— *Pax tibi! Pax!* — powtórzył kilka razy. — Spowiadaj się z tego, coś uczuł

i co rzekłeś, bo niesprawiedliwie obwiniasz ludzi, którzy złej woli nie mają.

Uspokojony cokolwiek wyszedł wreszcie królewicz od arcybiskupa, gdy tuż w progu spotkał oczekującego nań Marka.

— Wasza Miłość naradzasz się z księżmi, a tu co innego jest do roboty —

rzekł nalegając. — Chodźmy do ludzi. Mazurów tu dużo, trzeba ich sobie jednać, bo i tych Bolko i jego młokosy pobałamuca. Przecie to kiedyś oni do dzielnicy Waszej należeć będą.

Królewicz nie odpowiedział nic, szedł pogrążony w sobie i ciągle jeszcze gniewny. Nim doszli do dworca, stanął, kopiąc nogą ziemię.

— Sieciech słuszność miał — odezwał się — gdy chciał zgładzić tego

młokosa. On tu wszystko chce posiąść. Jemu mało Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, jutro pożąda Płocka i Mazowsza, a dalej Poznania i Gniezna! Zgubić go trzeba! Zgubić!!

Zawołał to tak głośno, że Marko przestraszony za suknię go pochwycił.

— Miłościwy Królewiczu — rzekł żywo. — Słyszałem to, nie wiem już

gdzie i kiedy, u Niemców czy u Czechów, że kto słowami zabija, językiem morduje, ten miecz ma tępy. Język najstraszniejszym ręki nieprzyjacielem. Nie mówcie nic, a czyńcie, co chcecie. Zgładzimy go albo on się sam zgładzi, ano o tym cicho. Mówił mi stary Strzegoń, że gdy wczoraj w łaźni się mył, strach był nań spojrzeć, tak cały siny od pobicia. Kiedyś zbroja nie dotrzyma.

Poszli potem ku stołom. Króla nie było, spoczywał czy spał, znużony i osłabiony, królowa też ze swoim dworem jadła w izbie osobnej. Przy stołach gospodarzyli podczaszowie, komornicy,

wojewodowie. Wrzawa i radość były niezmiernie.

Bolko ze swymi dwunastu nowopasowanymi rycerzami osobno na

podwyższeniu jadł, jakby mu już miejsce wyższe nad innymi należało. Zbigniew wprost poszedł do niego i choć siedzenia dlań przygotowanego nie było, kazał je sobie obok Bolka postawić. Przybył tu już z twarzą nie tak zaognioną, został na niej tylko ów wyraz szyderski, który jej był zwykłym. Popatrzył na wesołego brata i rozparłszy się szeroko przy nim kubek sobie przysunął.

— Pięknie Wam ten mnich prorokował! — wyrwało mu się wkrótce. —

Kapelan to Wasz czy służka?

— Nie znam go wcale — odparł Bolko — i nierad byłem, że tak nieopatrznie wystąpił. Brzemieniem jest przepowiednię taką nosić na sobie.

I wnet postarał się odwrócić rozmowę.

— Cieszy mnie — odezwał się — iż wszystko składnie szło. Winienem to staremu Michnie. Ani na cesarskim dworze piękniej by być nie mogło. Królowa nawet, co na nas jak na wilki dzikie patrzy z pogardą, dziś się, słyszę, zdumiewała rycerstwu naszemu!

— A, Michno Wasz, człek wielki — odpowiedział Zbigniew, śmiejąc się. —

On ci to jest pewnie, co dla ozdoby obrzędu i mnicha nie zapomniał z proroctwem postawić.

Bolko udał, że nie słyszy, i wtrącił natychmiast:

— Zobaczycie, co Michno mój umie. Gdy powietrze ochłodnie, gotuje stary turniej, gonitwę, na sposób tych, które się co lat kilka na cesarskim odbywają dworze. Trudno się nam mierzyć z nimi, bo tylu rycerzy jeszcze nie mamy, co oni nad Renem; w Bawarii, Szwabów i Franków. Na pierwszym takim turnieju stary nasz Mieszko stawał we trzydzieści dwa hełmy. Odtąd my nie chodzimy na nie, bo do cesarstwa nie należemy, choć Czesi na nie jeżdżą do Augsburga, Merseburga i Trewiru. Musimy sobie sami wyprawiać turnieje. Tak jak tam Szwaby, Bawary, Franki, Renanie, my byśmy Krakowian, Mazurów, Szlązaków, Gnieznan stawić mogli, ano jeszcze ich mało!

Westchnął Bolko, Zbigniew śmiał się.

— Mierzyć się myślisz z cesarzem! — rzekł. — Strzeż się, byś ludzi nie śmieszyl!

— I na turnieju, i w polu bym gotów z nim się mierzyć! — odparł Bolko. —

A wy — dodał — chcecieli też stanąć z nami do gonitwy?

— Ja? Nie miałem Michny, co by mnie tej sprawy uczył rzekł Zbigniew

złośliwie. — Gdzieżeście widzieli, aby klerycy do turniejów się brali? A to wszystkim wiadomo, że

mnie inaczej jak klerykiem nie zwiecie.

— Nie ja — odpowiedział Bolko — ja cię zowią bratem.

— Bratem! Bratem! — podchwycił Zbigniew cicho. Dziś to jakoś tak wyglądało, jakbyś mi panem chciał być.

Bolko popatrzał nań.

— Ja? — spytał.

Starszy odpowiedział mu wzrokiem, którym gniew zdradzał.

— Hej, hej! Mnich to rozumny — przecedził przez zęby — ale i kleryk nie tak głupi, aby się nie poznał, co weń godzi.

Wyrwało mu się to mimo woli prawie i nim Bolko miał czas odpowiedzieć, Zbigniew dopiwszy kubka wstał, idąc pomiędzy ludzi a potem do niewieściego dworu królowej, z którym rad przestawał.

Wkrótce potem Bolko ze swymi wyszedł także, gotując się do turnieju

zapowiedzianego. Choć Michno stary pragnął bardzo uczynić go prawdziwym turniejem na sposób zachodni, i czasu, i miejsca, i ludzi po temu nie miał, bo się na gonitwę nie przygotowano, a mało kto do niej miał wprawę.

Zamiast więc zwykłych dwunastu sztuk turniejowych i zapasów, w miejscu sznurami obwiedzionym mieli tylko towarzysze Bolkowi i on sam z nimi występować w całych zbrojach z włóczniami tępymi. Nie było ani listów zapowiednich, wójta turniejowego innego nad Michnę, ani wystawiania hełmów i tarczy, ani tego obrzędu, jaki był zwykłym wielkim towarzyszyć turniejom. I tak wszakże nowością było to widowisko dla wszystkich niemal, bo go dawniej na dworze nie sprawiano. Biegali i próbowali się ludzie rycerscy często wobec mnogiego tłumu jeszcze za Bolka Wielkiego, ale wedle ochoty swej i woli, nie bacząc wielce ani na włócznie, ani na zbroje, ani na niebezpieczeństwo, i nieraz w takiej zabawie, gdy się zaciekli, jeden drugiego na śmierć przebijał.

Gdyznaczony czas gonienia nadszedł, wyniesiono i króla do przedsienia, królowa też raczyła wyjść z niewiastami, nie żeby starsze panie do rozdawania nagród naznaczyła, lecz żeby się przypatrzeć. Śmiała się ramionami ruszając i utrzymywała, że w Augsburgu i Halli Saskiej, kędy turniejów była świadkiem, inaczej one wyglądały.

Nie było też tu ani tak wspaniale, ni tak gromadnie. Pole między sznurami ujęte, dosyć szczupłe, starczyło ledwie na dwie pary.

Wyjechał naprzód Bolko w całej zbroi, z tarczą i włócznią, na koniu kropierzem okrytym, a przeciwko niemu jeden z drużyny, bo innego nie znalazł, co by się z nim chciał mierzyć. Podbiegli na się, tknął włócznią swą Bolka Leliwa, ale się ośliznęła, sam zaś silnie pchnięty w środek zbroi, z konia się zwałił.

Po czym Bolko już więcej nie chciał się próbować z nikim, aby nie sądzono, że go własna drużyna oszczędza, a obcych nie było. Między sobą z różnym szczęściem ucierali się młodzi, pasowani dnia tego rycerze, przy oklaskach i okrzykach ogromnych. Padali i dźwigali się, kruszyli kopie, szermowali mieczami, aż wesoło na nich patrzeć było.

Królowa, przypomniawszy sobie obyczaj, wystąpiła niespodzianie z

podarkami, które cztery najpiękniejsze panie z jej orszaku rozdawać miały, ale Bolko nagrody odmówił.

Wszystko się powiodło dobrze, tylko zwykły po gonitwach taniec wieczorny nie poszedł, jak był powinien. Młodzież trochę swawolna zmieszała go, a nadchodzący deszcz i burza gwałtowna zapędziły wszystkich pod dach, do izb, gdzie się już każdy, jako chciał, zabawiał i weselił. Król też wcześniej zniknął i zamknął się u siebie.

Wieczorem, gdy powietrze ochłodziło, zbierały się gromadki, witali znajomi, bratali ci, co dawniej się nie znali, ochoczo i wesoło gwarzono i podśpiewywano.

Bolko ze swymi siedział osobno przy Michnie, który o lepszych rozповідаł

turniejach i o piękniejszych paniach, jakie widywał na nich.

Posłuszny radzie Marka Zbigniew po Mazurach chodził, zaczepiając ich i usiłując dobrym słowem a wielkimi obietnicami jednać ich sobie. Niewiele jednak ufając królewiczowi, Marko Sobiejucha, który teraz podkomorzego i ochmistrza urząd spokojniejszy wziął na siebie, sam Mazurów zaczepiał, karmił, poił i dwuznacznymi słowami próbował, a zyskiwać się starał. Na zręczności mu nie zbywało. Gdziekolwiek kilku pochwycił, natychmiast rozmowę na pana swojego naprowadzał, kłamstwy się posługując.

— O! — mówił poufnie dobrodusznym Mazurom. — Królewicza naszego

Zbigniewa tak znać trzeba, jak ja go od maleńkiego znam dziecka. Wielki to mąż, do rządzenia stworzony. Nie ujmuje młodszemu królewiczowi, wojak z niego dobry, ale rozumu tego nie ma, co starszy. A co warta szabla bez głowy! Niech no doczekamy panowania jego, zrobi on z Płocka stolicę państwa i Mazurom da pierwszeństwo. Bodaj żyły Mazury! Rozumu i męstwa nie ma nigdzie, tylko u nich!

Kłaniali mu się Mazurowie do kolan, a Marko prawil:

— O, o! Mąż rozumu też wielkiego Zbigniew królewicz, dlatego arcybiskup Marcin, ojciec nasz duchowny, kocha go jako syna, a drudzy nienawidzą. Uczył się on na księdza, to dosyć powiedzieć. Wszystko umie, zna wszystko, mądry pan, dobrotliwy pan, mężny pan.

Słuchali go milczący ziemianie, niektórzy oglądając się ku Zbigniewowi, aby też zobaczyć, czy mu tak jasno z oczów patrzyło, jak głoszone.

Rozpytywano o życie. Marko opisywał, że był pan pobożny wielce,

dobroczynny niezmiernie, gościnnie i sprawiedliwy. Nie kosztowało go nic poprzysięgać na to. Sławił nawet męstwo jego okazane pod Kruszwicą, choć tam nic widzieć nie mógł, zawczasu uszedłszy z placu.

Tak się tu powoli sposobiała i przygotowywała przyszłość, a Sobiejucha, gdyby najmniejszą oznakę po temu schwycił, chętnie by był począł spiskować i zmawiać się przeciw królowi i Bolkowi. Ludzie mu się wydali bojaźliwi nadto i ostrożni.

— Król, Pan nasz Miłościwy — zagadywał do nich — tylko że już dysze.

Niewiele mu należy, a jak oczy zamknie, o, pogotowiu nam być wszystkim potrzeba!

Oglądał się, czy kto nie mrugnie. Mazurowie popijali i oczy w piwie topili.

— Szkoda by Płocka — mówił dalej — gdyby młodszy górę wziął. Zaraz się wszystko do Krakowa poniesie, a nasz gród opustoszeje. Jeden Zbigniew, co to gniazdo kocha i szanuje.

Głowami potrzęsali słuchający, ale ani ze słówkiem nie wyrwał się żaden.

— Zbigniew sto razy to powtarzał, że na Mazurach, pośrodku państwa, chce mieć stolicę. Toć serce kraju.

Marko okiem mrugając dodał:

— Dzielnice dwie mogą się kiedyś w jedną połączyć. Ręką wskazywał w prawo i lewo, na północ, południe, wschód i zachód.

Trafiał dosyć dobrze w ową miłość, jaką każda ziemia miała ku sobie, więcej ją niż państwo kochając. Właśnie się to czuć teraz dawało przy słabszych rządach Władysława, iż każda część, powiat niemal i gród czuł się odrębnym i chciał nim pozostać. Szląsk sobie, Kraków sobie, Mazury, Gniezno upierały się przy osobnym rządzie i bycie. Nieufnie spoglądano na tych, co przodować i skupiać chcieli. W to bijąc, mógł Marko pozyskać sobie ziemian tutejszych, obiecując, że oni innym rozkazywać będą.

Gdy Zbigniew i Marko myśleli już o jutrze, gromadka Bolesławowa

zabawiała się jeszcze turniejem, zagadywano o Pomorcach, o łowach na dzikiego zwierza. Jeden opowiadał, jako szczęśliwie zmógł tura, jak żubra osadził, jak z niedźwiedziem się borykał, jak łosia pędził; drugi — jak jelenie ścigał ze psy i sokoły swe nosił. Rycerstwo młode nie marzyło o władzy, o panowaniu ani o kupowaniu sobie ludzi. Bolko potrzebował tylko swobody, aby mógł, gdzie niebezpieczeństwo się okaże, biec a potykać się i dokazywać cudów, rycerskich.

Tu rozpowiadano wyprawę ową przeciwko Połowcom (przez Sieciecha nasłanym) i o pogromie ich w odwrocie, gdy już łupami obciążeni spoczywali.

O wielkim wojewodzie, który niedawno panował tu wszystkim, nikt teraz ani wspomniał. Nie postrzeżony jego wysłaniec wsunął się pomiędzy goszczących, nasłuchiwał, wyzywał nawet

przypomnieniem palatyna. Ludzie się go nie zdawali rozumieć. Ci, co przypadkiem napomknęli o nim, sarkali nań. Co uczynił dobrego, zapomniane było, co złego zrobił, o tym dłużej zapamiętano. Nie żałował go nikt, szczególnie ci, co mu byli wszystko winni.

Tajemny poseł ostrożnie tu i ówdzie szepnął o tym, jak to on państwo chciał

w jedno połączyć, aby silnym było; zahukano go, bo każdy lękał się, aby ziemia jego drugim nie służyła i słuchać nie była zmuszoną. Przekonać się mógł, wyprawiony na zwiady, iż nie miał po co jechać, bo Sieciecha nikt tu nie chciał.

Miał on i do królowej Judyty poselstwo tajne, a korzystając z powszechnego zamętu, zbliżył się z nią do niej, właśnie gdy młodemu Niemcowi wesoło się śmiała. Szepnął jej coś ostrożnie, sądząc, że bardzo wdzięcznie będzie przyjętym; królowa popatrzała nań zdziwiona wielce, a gdy Niemiec odszedł, zapytała od niechcena o dawnego ulubieńca. Słuchała roztargniona odpowiedzi.

— Jeśliście od niego przysłani — rzekła — bądźcie ostrożni, nie bawcie tu długo. Gdyby was poznano i schwycono, z ciemnicy się wydobyć byłoby trudno.

Wojewoda wrogów zostawił dużo, a druhów nie ma. Dobrze mu tak, gdy więcej chciał, niżeli mógł.

Królowa miała doń żal srogi, a że oprócz tego poseł był stary i niepoczesny, długo z nim nawet mówić nie chciała, pierścienia, który na znak przyniósł, oglądać sobie nie życzyła. Poszedł więc i skrył się lękając, aby nie był zdradzonym.

Późno w noc spotkał go Strzeżoń w podwórku, wlokącego się do miasteczka na gospodę.

— Nie mam tu co popasać długo — rzekł mu poseł — bywajcie mi zdrowi; miejsce po nas zarosło, znaku nie zostało. Trzeba na Rusi osiąść i o powrocie nie myśleć.

VII

Lat dwa upłynęło od owej pamiętnej rycerskiej uroczystości. Pierwszych dni czerwca na zamku plockim, w kościele, słychać było przez dzień cały bijące dzwony. Nie wołały one na zwykłe modlitwy lud pobożny ani na ucztę weselną, nie śpiewały triumfu ani dziękczynienia; z wolna, smutnie jęczeć się zdawały, poruszając bez spoczynku.

W podwórcach widać było stojących ludzi z rękami opuszczonymi, z

pochylonymi ku ziemi głowami. Duchowieństwo w komzach i kapach czarnych ciągnęło z kościoła na dworzec, którego drzwi i okiennice otworem stały.

Wewnątrz mnogie światła gorzały.

Na świecie wiosna była wesola, zieloność młoda, na zamku smutek i trwoga.

Zdawano się oczekiwać na coś, wyglądać z obawą, królowej nawet izby stały zaparte i około nich nie było ludno.

Król umarł. Dogorywał długo, życiem ciężkim i tęsknym modląc się o śmierć szczęśliwą, płakał nad sobą i niepokoił losem ziem swoich. Żadnego z synów przy nim w godzinie ostatniej nie było. Bolko na Szląsku, we Wrocławiu siedział, Zbigniew w Gnieźnie. W chwili skonu dopiero obu im dano.

Arcybiskup, którego wieść smutna bliżej zaskoczyła, poprzedził synów i zebrawszy duchownych u zwłok królewskich odprawiał za spokój duszy modlitwy.

Pięć dni mijało od śmierci króla, a żaden z synów nie przybył jeszcze. Z dnia na dzień czekano na nich z pogrzebem. Sędziwy pasterz gońców za gońcami wysyłał.

Miało się ku wieczorowi, gdy się orszak pod zamkiem ukazał, a po

jaskrawych sukniach, kitach, kołpakach, nieładzie, w jakim biegł ku wrotom, łatwo w nim było poznać Zbigniewa. On to był w istocie. Dniem i nocą pędząc bez spoczynku, udało mu się wyprzedzić brata. Zgraja towarzysząca mu czwałem z wrzawą wpadła, jak do domu, na podwórze zamkowe. Królewicz zsiadł ze spienionego konia o krok ode drzwi żałobnej komnaty, z której powolny śpiew księży dochodził.

Spoczywały w niej na marach zwłoki Władysława już przyodziane jak do pogrzebu. Nie śmiano mu na skronie włożyć tej korony, której nie dostał za życia, ale tylko czapkę książęcą. Zamiast berła krzyż trzymał w ręku i tulił go do piersi.

Pas rycerski świecił na biodrach, a ramiona osłaniał purpurowy płaszcz bogaty.

Dokoła rzędem stali i siedzieli biskupi, prałaci, kapłani, mnisi czarni, klerycy, pieśń na przemiany zawodząc żałobną.

Zbigniew, przede drzwiami stanąwszy, rzucił okiem we wnętrze i zawahał

się, co miał czynić z sobą. Skinął na Marka, który mu towarzyszył, przyzywając go ku sobie.

— U drzwi skarbcza — odezwał się — straż natychmiast postawić, aby mi się go nikt tknąć nie ważył. Płock i Mazury są moim działem, co w Płocku jest — do mnie należy jednego.

Była to pierwsza myśl syna u zwłok ojcowskich. Mówiąc to wahać się nawet zdawał jeszcze, oddali zaraz cześć należną ciału ojcowskiemu, czy pójdzie, gdzie chciwość wołała.

Wtem zatętniało głucho, drugi orszak konny wjeżdżał w bramy zamkowe.

Był to Bolko z ludźmi swoimi. Bracia zmierzyli się oczyma, w których łatwo wyczytać było, że niewielką miłością tchnęli ku sobie.

Młodszy z konia zsiadłszy wprost do izby żałobnej podążył, ukląkł u stóp katafalku i na mieczu oparty, modląc się, płakać począł.

Zbigniew, zamiast wniść z nim razem, w podwórzu został, ani mu ojca żal, ani ludzi wstyd było. Nakazywał wszędzie stawić strażę i rozporządzał się z nimi, jak by już gród obejmował we władanie. Do izby, w której księża nucili po cichu, przez okna pootwierane wpadał głos jego chrypliwy, nakazujący, gniewny prawie.

Głuszył chwilami modlitwy. Zbigniew zapowiadał bratu i wszystkim zawczasie, że się tu czuje i chce być panem.

Po skończonej modlitwie i ucałowaniu stóp zmarłego ojca, z wolna wyszedł

Bolko w podwórze i zażawionym okiem potoczył dokoła. Zbigniew stał, jak by na niego oczekiwał. W twarzy jego malowała się niecierpliwość człowieka, który się trwoży i rad by co rychlej przebyć grożące mu niebezpieczeństwo.

Patrząc na Bolesława, umyślnie w głos powtórzył wydane rozkazy:

— Straż mi postawić u skarbcza, objąć zamek. Aby mi się tu nikt nic tknąć nie ważył i nie śmiał.

Bolko zarumieniony ręką wskazał na otwarte drzwi izby, w której zwłoki ojca złożone były.

— Nie pora nam myśleć o ojcowskich skarbach ani o tym, co do kogo

należać będzie. Nie zmuszajcie mnie, abym i ja strażę stawiał, a o prawa się moje upominał..

— Jakie prawa? — gwałtownie wybuchnął Zbigniew. — Płock jest moją

dzielnicą, a co w nim, to moje. Starszym jestem i młodszego nie dopuszczę, aby mi przodował.

— Jam syn królewski — odparł Bolko — tyś syn ojca naszego z pierwszego małżeństwa

swobodnego, z łaski przypuszczony do równości ze mną. Z łaski!

Skarby ojcowskie do mnie należą.

Zbigniew zbladły, z oczyma roziskrzonymi, rzucił się na Bolka.

— Ani mi śmiej tego rzec raz jeszcze! — zakrzyczał. Pochwycić cię każę i rozbroić, a nie będę w tobie znał brata!

Bolko zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

— Ty! Mnie! — rozśmiał się. — Ty! Zapytaj, co ciebie czeka, gdy litość i cierpliwość moja wyczerpiesz. Ty przybłądo jakiś!

Zbigniew ręką chwycił za miecz, Bolko uderzył dłonią po rękojeści swojego i krok ku niemu postąpił. Kleryk się cofnął nieco strwożony. Oba drżeli z gniewu i oczyma na siebie pioruny ciskali.

— Zdzisław Belina! — zawołał Bolko. — Straż postawić u drzwi skarbcza, a kto będzie śmiał się zbliżyć do nich, wiece, co z nim czynić. Macie miecze u boku.

Ruszyli się natychmiast Bolesławowi, a choć ich była gromadka mniejsza, nikt nie śmiał przeciw nim występować. Znano, co mogli.

— Nie ważcie mi się nic tknąć! — zahuczał Zbigniew. — Zamek mój, jam tu panem!

Nie słuchając tego wierna drużyna Bolka na skinienie jego już się

rozchodziła. Wzrok młodszego padł w tej chwili na otwarte drzwi, przez które ciało ojca i twarz żółkła widać było. Zawstydział się i ocknął.

— Zbigniewie — rzekł łagodniej — nie pora przy zwłokach ojca, które na pogrzeb czekają, wyzywać się braciom i waśnić! Niech ciała oddana będzie cześć, rozprawimy się z sobą później.

— Tak! Byś, nim się pogrzeb odbędzie, opanował, co należy do mnie —

począł starszy. — Ja cię znam!

I znak groźny ręką zrobił. Bolko wzruszył ramionami.

— Nie wyzywaj mnie! — zawołał — nie wyzywaj mnie w tej godzinie, gdy ból mój podwaja gniew i wzgardę dla ciebie. Powtarzam ci, nie wyzywaj, byś nie żałował!

— A ja ci mówię — krzyknął starszy — nie śmiej następować na mnie i na prawa moje. Mam siłę większą od twojej, zgmiotę cię. Ty tu stać nawet nie masz prawa! Zamek mój, ziemia moja, wszystko moje — precz!

Uniósł się Zbigniew, lecz jeszcze słów tych nie dokończył, gdy Bolesław, który miecza nie dobył

tylko przez poszanowanie dla zwłok ojca, poskoczył

wołając:

— Precz ty stąd, przybłedo nikczemny! Bezwstydnny chciwczce i przechero!

Natarł tak na Zbigniewa, że ten przełękły cofać się począł i na ludzi swych oglądając wołał:

— Tu! Do mnie! Do mnie!

Dwór Zbigniewa nie śmiał się przybliżyć, bo i Bolesława młodzież

nadbiegała. Marko z towarzyszami opodal stał, miotał się, ruszał, ale przystąpić nie miał odwagi.

Bolko gnał tak cofającego się brata z usty zaciśniętymi, z twarzą

wykrzywioną, aż do ściany przyparł.

— Jak ci nie wstyd — wybuchnął, o bok się zbliżywszy, mierząc go oczyma pełnymi wzgardy — jak ci nie srom tych ludzi, jeżeli się nie wstydzisz sumienia własnego. Nie oddałeś nawet czci zwłokom rodzica, pierwsza myśl twoja łupież!

Nie umiesz nic zdobyć na nieprzyjacielu, a chcesz wyrwać bratu. Ty, ty!

I groził mu ściśniętą ręką. Zbigniew trząśł się, wołając ciągle na swoich:

— Sam do mnie!

Ludzie onieśmieleni stali nie poruszając się, patrzali po sobie, nikt pierwszym być nie chciał.

Bolesław oczyma go palił i byłby zgniótl, gdyby majestat miejsca tego i godziny nie osłaniał słabego przeciwnika. Wstrzymywał

rękę, która ciągle na miecz spadała.

Wrzawa ta z podwórza doszła wreszcie do izby żałobnej. Arcybiskup

strwożony, przeczuwając, co się stało, w czarnej kapie, w mitrze, z laską pasterską w ręku, wychylił się na przedsienie. Podśluchał spór, patrzył na waśń braci.

Przerażonemu tym, co oczy jego widziały, głosu zabrakło.

Domyślał się, kto był przyczyną gorszącego sporu, ze słów, które

podchwycił.

— W imię Boga ukrzyżowanego! — zawołał na ostatek. Hamujcie się!

Opamiętajcie! Kto z was wszczął ten spór, królewiczu Zbigniewie?

— Ojcze! — odparł głosem drżącym, nie śmiejąc od ściany odstąpić

krokiem, Zbigniew. — Ojcze! Jam nie winien! Upominam się o to, co mi należy!

Skarby po ojcu są moje! Starszym jestem. Płock jest moim dziedzictwem.

Nic nie mówił Bolko, patrzył na arcybiskupa.

— Kazałem strażę stawić u drzwi — mówił Zbigniew dalej — bo wiem, że tu będą czyhać na własność moją.

Biskup w ziemię laską uderzył.

— Królewiczu Zbigniewie — odezwał się — wiecie zaprawdę, iż wam

sprzyjam. Ratowałem was z więzienia, wolność wam wyprosiłem, przyznanie synem, przebaczenie! Hamujcie się, abym się nie stał sędzią waszym i nieprzyjacielem! Nie macie słuszności za sobą!

— I wy przeciwko mnie jesteście! — wykrzyknął Zbigniew. — Wy, ojcze!

— Jestem za sprawiedliwością — rzekł arcybiskup surowo. — Porzućcie ten spór bezbożny, idźcie pożegnać ojca, aby mu cześć ostatnia oddaną była, a mógł

odpocząć w spokoju...

Ręką drżącą nakazująco wskazał na drzwi izby otwarte.

— Byliście świadkami — odezwał się Bolko — że zaledwie przybywszy

powinność spełniłem u nóg rodzica.

Zbigniew stał ze spuszczonej oczyma i gryzł wargi.

— Mnie nawet na modlitwę nie dacie spokoju! — zawołał. — Nie mogłem

wnijść! Drogę mi zaparto.

— Nie pora się tu rozpierać o prawa — przerwał ojciec Marcin — nie pora spór wszczynać. Oto piątą już dobę czekają na was te zwłoki i proszą, abyście je pogrzebać dali. Idźcie, idźcie!

Ręką ciągle na drzwi wskazywał.

Ruszył się Zbigniew, lecz zwrócił do swoich ludzi:

— Pamiętajcie — rzekł — abyście mi na chwilę drzwi skarbcza nie

opuszczali. Gdzie podskarbi?

Z tłumu, który ten spór zgromadził, wystąpił stary Zbilut Podkowa i w milczeniu się pokłonił.

— Klucze mi dajcie! — zawołał do niego Zbigniew.

— Nie waż mi się tego czynić! — zagrział głos Bolka.

Arcybiskup załamał ręce. Była chwila groźnego milczenia. Żaden z braci ustąpić nie chciał.

Wtem arcybiskup wystąpił z całą powagą wieku, dostojęstwa i uroczystej chwili.

— Nim nowego pana dostaną te ziemie — odezwał się — jam opiekun ich i zwierzchnik. Rozkazuję ci, Zbilucie, abyś klucze zachował przy sobie, dopóki my, duchowni ojcowie i wykonawcy woli zmarłego króla, sporu nie rozstrzygniemy.

Podskarbi skłonił się i ustąpił natychmiast, aby więcej pozywany nie był.

Bolko też oddalił się i kilka słów szepnąwszy swej drużynie, ani patrząc już na Zbigniewa, posunął się ku izbie, w której ciało wystawione było.

Sam jeden pozostawszy ze Zbigniewem, ojciec Marcin ręce podniósł do góry i odezwał się głosem przejętym żałobą:

— Nad sobą miejcie litość! Azali to postępek dziecięcia? Chcecie być synem królewskim, a rodzica uczcić ani opłakać nie umiecie. Ten synem jest tylko, co pobożnym dlań był i posłusznym dziecięciem.

Zgromiony Zbigniew spuścił głowę, lecz widać było, że uległ raczej z musu niż skruchy. Patrzali nań ludzie zgromadzeni z obawą, a razem i wstrętem jakimś, on sam sromął się postępkowi swego, ale go się nie kajał. Wolnym krokiem począł

iść za starcem ku drzwiom, namyślając się i ociągając, gdy arcybiskup pochwycił

go za rękę i niemal siłą poprowadził przed ojcowskie zwłoki.

Nie można już było dłużej ociągać się z pogrzebem. Ludu tysiące oczekując nań stały pod zamkiem. Mazurów, Polan, Szlązaków, starszyzny, ziemian, urzędników zebrane tłumy zalegały wszystkie podwórza. Przygotowania były uczynione, spieszo więc z ostatnimi obrzędami.

Nim wieczór zapadł, zwłoki złożono w trumnie dębowej i niesiono ją

odkrytą do kościoła. Liczne duchowieństwo, dwaj synowie, córki, dwór postępowały za trumną przez komorników w czerni odzianych niesioną; królowej Judyty nie było tylko, powiadano, iż leżała chora. Niesiono oznaki władzy —

miecz królewski, czapkę książęcą; laskę wodza, tarczę malowaną, broń pańską, wiedziono konia okrytego kapą czarną. Kościół napełnił się pobożnymi i pamiętnymi dobroci pana, który choć słabym był, ale okrutnym ani bezlitosnym nie okazał się dla nikogo.

Na całą noc, mieniając się, duchowieństwo pozostało przy ciele, nucąc psalmy i odmawiając modlitwy.

Sędziwy arcybiskup Marcin obawiając się, aby Zbigniew i Bolko znowu

zwady nie rozpoczęli, pod klątwą zakazał im, aby się nie wazyli rozmowy nawet wszczynać z sobą. Zbigniew jednak, jak tylko w kościele nabożeństwo się skończyło, pospieszył na zamek ku swoim. Stał tu na czatach, oczekując nań, Marko, który zawsze był prawą ręką gnuśnego pana.

— Straże u skarbcza postawiliście? — zapytał pospiesznie ksiązę.

— Podwójne stoją — rzekł Sobiejucha — pana Bolkowa u drzwi samych, a nasze trochę opadał, razem ich i wniścicia pilnują.

Zagniewał się, pięści podnosząc, Zbigniew, dlaczego nie dobiegli pierwsi.

— Byłaby się krew polała — odparł Marko — a nas by o to obwiniono.

Gdyby choć kropla krwi wytoczyła się czasu pogrzebu, dusza nieboszczyka nie miałaby spokoju i mściłaby się na Was.

To mówiąc, głową potrząsał Marko.

— Ta drużyna Bolkowa — dodał — to paskudny lud jest, bo milczkiem

kąsa. Nasi zwykli krzyczeć, a z tymi wrzawą nic zrobić nie można, bez żadnego względu i pamięci od razu po łbach walą. Z nimi trudno.

— Naszych przecie daleko więcej jest — zakrzyczał Zbigniew — zgnetliby tę garść! Idź mi po mazowieckich ziemianach, przy mnie wszyscy stać powinni.

Skarbów tych część jakaś i im się dostanie, gdy mi pomogą utrzymać się przy nich.

Sobiejucha stał zadumany. Pomimo nadziei poparcia przez Mazurów, walka w tej chwili zdawała mu się nie do rzeczy.

— Miłościwy Panie — rzekł cicho, osłaniając się ręką — królewicz Bolko ma tu też swoich druhów, co z nim chadzali na Pomorców. Ostrożnie się brać potrzeba. Wszystko ludzie są tacy, że wnet rąbać się gotowi i nastraszyć się nie dają. Nasi do bitwy nie bardzo wprawni. A tu, w tych kątach i ciasnocie, jak byśmy się poczęli ścinać, i dla Was nie byłoby bezpiecznie, mógłby który naskoczyć zniecka.

Skończyło się na tym, strażę wszędzie zostały podwojone. Noc upłynęła spokojnie, ale drużyna Bolka i Zbigniewa ani usnęła, ni się rozbrajała; jedni z drugimi ucierali się na słowa, docinając sobie i swym panom wzajemnie. W

powietrzu czuć było walkę. Ci, którzy na straży nie stali, podzieleni na osobne gromady obozowali w

podwórzach, podpatrując się i oczyma mierząc nieufnie: Jak dzień, odezwały się znowu dzwony żałobne. U trumny stał Bolko, a opodal od niego Zbigniew, arcybiskup mszę uroczystą odprawiał, a gdy ostatnie pieśni przebrzmiały, zabita już trumnę na dany znak spuszczone do otwartego wśród kościoła grobu, nad którym kamienny pomnik miał stanąć. Choć w ciągu lat ostatnich chory król prawie zapomniany dogorywał, ” gdy trumnę spuszczać miano, rozległy się po kościele jęk i płacze dworu, komorników, czeladzi, która starca kochała i litowała się nad nim. Bolko upadł na trumnę i objął ją rękami, zachodząc się od łkania. Zbigniew pozostał nie ruszając się, chmurny i blady, jak by ten cały obrzęd nie obchodził go wcale.

Z kościoła wprost na stypę, ów chleb żałobny, który był w obyczaju, szli wszyscy ku zamkowi. Arcybiskup Marcin, choć znużony wielce i bezsilny, kazał

się także prowadzić chcąc czuwać nad porządkiem i zgodą, dopóki by zwaśnionych braci nie przejednał. Obecność jego hamowała wszystkich, nie śmiano poczynać nic. Bracia tylko osobne zajęli stoły, Bolko ze swymi jak najdalej od Zbigniewa, który też otoczyć się kazał drużyną lękając się napaści.

Dokoła arcybiskupa zgromadziła się zwołana przez niego sędziwsza

starszyzna, wojewodowie, starostowie, dostojnicy dworu, ziemianie i władcy.

Chciał ojciec Marcin z ich pomocą spór o dział i władzę zwierzchnią rozstrzygnąć.

Dopóki uczta trwała, mówiono po cichu głosząc tylko pochwały zmarłego, pobożność jego szczególnie, bo tą się najwięcej odznaczał. Nikt też na nim krwi nie poszukiwał, bo przebaczał chętnie, a karał mało.

Dawszy znak swoim wstał potem arcybiskup i przeszedł ze starszyzną do tej izby, z której wczoraj zwłoki króla wyniesiono. Tu było przygotowane osobne siedzenie dla arcybiskupa i duchowieństwa; ławy dla starszyzny, dla królewiczów stołki suknem okryte. Obaj wiedzieli, iż zawołani będą jako przed sąd pod pasterską laskę.

Obok ojca Marcina miejsca zajęli Baldwin, nowy biskup krakowski, Francuz rodem, ciemnego włosa, oblicza więcej rycerskiego niż kapłańskiego, następcą po zmarłym od roku Lambercie, Paulin kruszewicki, Dionizy poznański, Filip płocki.

Za nimi zasiadali wojewodowie, starostowie i różnych imion i dostojności starszyzna, jaka na pogrzeb zjechać mogła. Wśród niej otyły Magnus wrocławski jedno z pierwszych miejsc zajmował.

Zaledwie się tu zgromadzili, gdy Zbigniew, choć nie powołany jeszcze, pośpieszył pierwszy rozogniony i niecierpliwy, aby się nie dać uprzedzić. Bolko, zobaczywszy go wychodzącego, wstał także wiodąc z sobą dawnego ochmistrza Wojsława, Zdzisława Belinę, mężnego dowódcę Skarbimierza, Pawła i kilku innych mężów rycerskich a poważnych.

Zbigniew zaledwie się ukazał, nie zważając na arcybiskupa i duchownych ani starszyznę, do której zagajenie sprawy należało, podniósł głos z butą wielką i hałasem, chcąc mówić za sobą. Nie

podobało się to wszystkim i arcybiskup nawet niechętnie głową potrząsał. Wśród rozpoczętej właśnie gwałtownej mowy, w której się o prawa do Płocka i do skarbów ojcowskich dopominał, wszedł zwolna, z powagą rycerską, otoczony drużyną swą Bolko i zajął przeciwną stronę izby, mowy bratu nie przerywając. Zbigniew własnymi wyrazy rozogniał się coraz bardziej i głośno wykrzykiwał:

— Nie ustąpię, nie dam stąd ani prószyny, pokrzywdzić się nie dozwolę. Co na zamkach w Krakowie i Wrocławiu jest, do tego ja nie roszczę prawa, ale co mnie należy, nie dam! Wszystko to moim jest!

Gdy to mówił, ślina mu z ust pryskała, język się z gniewu plątał, pięści podnosił, nogą tupał myśląc może, iż tym zastraszy brata. Bolko zachował się spokojnie. Gdy potok ten wyrazów wylał się cały, pomilczał trochę i ręką uderzył

po mieczu, który zabrzączał.

— Praw moich dowodzić nie potrzebuję — rzekł krótko — wie świat cały, że jestem synem królowej, gdy ten oto dzieckiem jest niewiasty, którą ojciec miłował nie poślubiwszy. Wie to cały świat, że go do klasztoru dano, aby ukryć srom urodzenia. Z łaski go król przyjął na prośby ojca naszego Marcina, z łaski mu dział dano. Ten ci dziś wszystkiego chce, gdy do niczego praw nie ma!

Dumnie patrzył Bolko.

— Hamuj się, miłościwy królewiczu — podnosząc ku niemu rękę przerwał

arcybiskup. — Ktokolwiek on jest, bratem twym uznał go ojciec, dział nazaczył, chciał, abyście żyli w zgodzie. Na to przysięgaliście żywemu; dotrzymajcie umarłemu, aby dusza jego spokój miała. Jęczeć będzie utrapiony na świecie drugim niezgodą waszą. Chciał król, abyście się dzielili państwem; w tym i skarb objął, który do jednego nie należy, ale dwu wspólnym jest.

Baldwin, biskup krakowski, który niedobrze rozumiał jeszcze polską mowę, kazał ją sobie tłumaczyć i dodał po łacinie:

— Sprawiedliwa ze wszech miar jest, aby skarb królewski, tak samo jak państwo, był podzielony, a któremu ojciec dwie trzecie ziemi przysądził, ten i dwie trzecie skarbcza wziąć powinien.

Arcybiskup gnieźnieński zachmurzył się nieco, usłyszawszy ten wywód, lecz krakowskiego pasterza poparli wnet Paulin a nawet Dionizy. Zbigniew, który łacinę rozumiał, zachnął się straszliwie za głowę porywając.

— Sprawiedliwym to jest — dodał Bolko — nie żebym ja przez chciwość

skarbów więcej pragnął, ale przeto, że Zbigniew wojny nie zna, nie lubi i nie chodzi na nią. Mnie ludzi zaciągac, mnie kraj ochraniać, mnie nieustannie na czatach stać potrzeba.

Potwierdzali biskupi szmerem, potakiwali ziemianie. Zbigniew blady oglądał

się wokoło, nikogo za sobą nie mając oprócz arcybiskupa, który; choć był za działem połowicznym,

sam przeciw wszystkim stawać nie chciał.

— Dzielcie wedle prawa Bożego i sprawiedliwości — dodał Bolko. — Co

wy rzeciecie, ja, jako posłuszny syn kościoła, przyjmuję za dobre.

Zbigniew zamilkł, dziki uśmiech twarz mu wykrzywił.

— Słabym ja dziś tu się widzę — rzekł cicho — a no drażnić i małego nie przystało, bo pokrzywdzony znaleźć może sojuszników i pomoc.

— Pomnijcie słowa ojca — odezwał się Bolko — które zapisane są, że kto z nieprzyjacioły i wrogami wiązać się będzie, temu dział jego i ziemie odjęte być mają.

I, jak miał zwyczaj, po mieczu ręką uderzywszy, milczący, a na pozór obojętny.

Skinieniem powołał ku sobie Zbigniewa arcybiskup, który ociągając się postąpił ku niemu. Otoczyli go tu duchowni i poczeli z cicha skłaniać a zmuszać niemal do zgody i pokoju.

Bolko ze starszyzną rozmawiał swobodnie, jak by go ta sprawa cała mniej obchodziła. Cisnęli się doń z ław powstając niektórzy, przypominali mu, do kolan schylali, uśmiechali radzi, że go widzą i słuchają. Tu już o wojnie zagadywano.

— Nie za wiele nas dwu na to państwo — rzekł do otaczających Bolko —

walczyć mamy z kim. Bodajem nie zgadł, i Czechy na nas czyhają, Pomorcy nie śpią, a zemstą dyszą, z cesarstwem też przyjdzie się rozprawiać pewnie, bo do hołdu roszczą prawa, któregośmy nie winni. Ani pierwszy, ani Bolko, syn jego, nie służyli z ziem zdobytych cesarzom. Szli im w pomoc jako druhowie i panowie chrześcijańscy, nie jak słudzy.

Wszyscy się głośno ozwali:

— Tak ci jest! Tak! Wolni byliśmy i będziemy! Swoich panów mamy!

Gdy się tu toczyła rozmowa, biskupi naciskali Zbigniewa, który przynaglany opierał się coraz słabiej. Złość biła z jego sparzy, chęć zemsty okrutna, lecz musiał

się poskramiać, aby nie pogorszyć swej sprawy.

Padł tedy wyrok wedle wyrzeczenia Baldwina krakowskiego. Zbigniew z

zagryzionymi usty go słuchał. Bolko głowę skłonił.

Arcybiskup z siedzenia się podniósł.

— Nie dosyć na tym — rzekł. — Nic by uczynionym nie było, gdybyście

sobie jako bracia rąk nie podali, nie poprzysięgli zgody i miłości.

Zbigniew cofnął się słysząc to.

Arcybiskup zmierzył go wejrzeniem surowym. Potrzeba było znowu

namowy, próśb, nacisku duchownych, aby go zmusić do zwrócenia się ku bratu.

Ruch ten spostrzegłszy Bolko sam wyszedł przeciw niemu z pogodną twarzą i rękę pierwszy wyciągnął.

Rad nie rad Zbigniew dłoń podać musiał.

— Bracie — rzekł — nie ostoi się ziemia nasza bez zgody, ja tobie, ty mnie pomagać będziesz... Jam człowiek miecza i wojny, pójdę na wrogów za ciebie i za siebie; ty czuwaj w domu i porządku strzeż. Będę ci wiernym, skoro ty mi nim być zechcesz.

Zamruczał słów kilka niewyraźnych starszy, a widać było, że na nim polegać nie mógł Bolko; rachowano na to, że czas gniewy złagodzi, a sama siła spraw wspólnych zbliży braci.

Nazajutrz rano z obu stron do działu wyznaczeni panowie zeszli się do skarbcza królewskiego ze Zbigniewem i Bolesławem razem. Izba była wielka, ciemna, warowna, cała z muru grubego, z kratami w oknach żelaznymi i drzwi miała podwójne kute, drągami ciężkimi założone.

Nie były to owe niezmierzone skarby Mieszka i Bolka Wielkiego ani się nawet ze Szczodrego bogactwy porównać nie mogły, ale skromne życie króla, wojny szczęśliwe za czasów Sieciecha dozwoliły zebrać dosyć srebra i złota.

Leżały stosami sztaby grube i bryły, stały mnogie naczynia, misy, dzbany, kubki, blachy ozdobne; wisiały kosztowne szuby i suknie. W osobnych skrzynkach złożone były co droższe ozdoby stroju, łańcuchy, pasy, kolce, pierścienie i wysoko w owych czasach cenione wonności i balsamy ze Wschodu przywożone. Wzięto na wagę grzywien kruszce, na liczbę odzieże, opony, sukna w sztukach, jedwabne tkaniny, bisiory, kozuchy i skórki sorokami powiązane. Pożądliwymi oczyma mierzył to wszystko Zbigniew, gdy Bolko, po skrzynkach spojrzawszy, rzekł na jednej z nich kładąc rękę:

— Przysądzono mi dwoje trzecich, bracie. Tak li?

Głową potwierdził Zbigniew przeczyć nie mogąc.

— Bierz połowę — odezwał się Bolko — ale to niech będzie moim.

W skrzynce leżały proste obręcze złote, korony przyniesione przez

Kazimierza, Szczerbiec Chrobrego i włócznia św. Maurycego, która berłem była.

— Zgodali? — spytał Bolko.

Zbigniew widział tylko w tym kruszcu wagę i cenę, nie obchodziły go

uświęcone pamiątki. Wzruszył ramieniem.

— Zgoda! — rzekł obojętnie.

Bolkowi zajaśniały źrenice i Szczerbiec ująwszy w jedną, włócznię w drugą rękę, zdjął kołpak obie ze czcią całując.

— Dzielcież, mili panowie, jako chcecie — zawołał ja najdroższą cząstkę mojej części zabieram!

To mówiąc mieczyk przycisnął do piersi i pokłoniwszy się wolnym krokiem wyszedł ze skarbcza, komornikom za sobą rozkazawszy nieść korony.

Gdy się odwrócił od Zbigniewa, ten szyderskim okiem powiódł za nim.

— Połowa moja! — krzyknął radośnie — połowa moja!

Starszyzna potrząsała głowami widząc w tym złą wróżbę, że przez chciwość królewicz sprzedał koronę i berło.

Szeptał mu coś na ucho Marko, który bardzo pilnie działu doglądał.

— Gdy kraj posiędę — rzekł pogardliwie Zbigniew koronę mi złotnicy

ukuja, a arcybiskup ją poświęci. Potrzebniejsze mi złoto i srebro niż stare żelastwo.

Nie ustąpił troskliwy o swe mienie Zbigniew, dopóki mu część jego wydzieloną nie została. To, co Bolkowi należało, czeladź jego w skrzynie składając natychmiast wynosiła.

Wieczorem już wiedzieli wszyscy, komu się korony obie, berło i drogi dar Ottona, włócznia jak relikwia szacowana dostała. Arcybiskup westchnął i szepnął:

— Bądź wola Twoja!

VIII

Od Szczodrego czasów nie widział Kraków takiego napływu ludu i takiej wrzawy wesolej, jaka tu teraz panowała. Dwa lata już upływały od śmierci Władysława króla. Bracia rozstawszy się w Płocku po pogrzebie, przejednani na pozór, podawszy sobie dłonie, pokój poprzysiągłszy i zgodę, już prawie nie spotykali się z sobą.

Zbigniew siedział na grodach swoich beczynny a zazdrosny, poglądając z dala na brata. Płynęło mu życie na strojeniu dworu i na przechwalaniu się przed swoimi, na okazałych występach i gnuśnym spoczynku, w którym roiły się myśli ambitne. Chciano go żenić, lecz że po myśli nie mógł, bo za wysoko patrzył, a dla niepewnego urodzenia sięgnąć nie mógł do książęcych córek, zwlekał, z Niemkami czas spędzając, których oprócz Grety kilka młodszych było zawsze na pańskim dworze i w łaskach.

Z większych rodów królewskich nie chciano mu dać córki, z pomniejszych, grafskich, których siła w Niemczech była, on brać nie życzył, w Rusi nie smakował, bo wychowaniem na pół Niemiec był. Bezzennym więc pozostał i klerykiem go po staremu przezywano. Pocieszając się mawiał, że gdy korony dostanie, łatwo mu będzie i o królowę.

Postarzała Greta, młodsza Maria z Halli Saskiej zabawiały go, gdy się znudził z Markiem i jemu podobnymi, którzy słuchać i poklaskiwać mieli obowiązek. Zamknięty w Płocku jak zwierz w jamie, który na pastwę, czatuje, Zbigniew ledwie z grodu głowę wychylał. Osłaniał się milczeniem od obcych.

Wiedziano przecie w Krakowie, że do Czech posyłał potajemnie, sam do Borzywoja jeździł i z Pomorcami miał porozumienie.

Na wojnę nie chodził wcale, ludzi swych na nią nawet dawał niechętnie, czyhał na to, ażeby Bolka pobili nieprzyjaciele, naówczas zbierając się nań uderzyć. Tak rachował i swoim po cichu rozpowiadał. Bolkowi zaś szczęściło się na podziw, wychodził z walk zwycięsko. Złość, gniew i zazdrość rosły w Zbigniewie.

Panowie duchowni, a szczególnie Baldwin, biskup krakowski, obawiając się, aby młody pan, bezzennym będąc, ciągle z żołnierstwem obcując, przebiegając kraje różne, nie nabrał złych obyczajów (choć pobożność od tego strzegła), ożenić go postanowili.

Niemki Bolko brać nie chciał, aby z nią na dwór nie wprowadzać obcych i nieprzyjaznych ludzi. Czeszki wziąć nie mógł dla bliskiego pokrewieństwa, a niezbyt przyjaznych stosunków, z Rusi więc musiał, choć także bliską krewną zaswatać, aby żony dostać. Rajono mu kijowską Zbisławę, a papież Paschalis II na wstawienie się Baldwina biskupa dał zezwolenie na te śluby.

Cieszyły się wszystkie ziemie, Kraków, teraz stolica znowu, dworami

ziemian, rycerstwem i gośćmi był przepełniony. Co chwila nowe poczty i nowi ludzie przybywali. Miasto, podzamcze, zamek, wsie okoliczne pełne ich były.

Starzy, patrząc na Bolka, dwu dawnych Bolesławów przypominali, tak wspaniale, obficie i pańsko występował młody królewicz.

Tydzień jeszcze było do wesela, skarbiec ciągle stał otworem. Ktokolwiek na dwór przybywał, musiał dawnym obyczajem przyjąć suknię bogatą, bławatną, szubę okrytą złotogłowem, naczynie złote lub srebrne, wedle dostojęstwa.

Zasłużeńszym nadawał Bolko ziemie i grody, klasztorom pola, stawy, dziesięciny, rybne łowle, lasy, osady. Nie było i jednego człowieka, który by odszedł z rękami próżnymi.

Na zamku okazały dwór pański, na nowo przybrany i uzbrojony,

pachołkowie, czeladź, urzędnicy, wszystko wyglądało rzeźwo, ochocze, wesołe, jak by już królem był książę krakowski.

Wyprawieni przez Bolka z zaprosinami do Płocka ksiądz Hilarion, kapelan książęcy, ze Skarbimierzem wojewodą ruszyli zawczasu, aby mieli porę na wesele powrócić, które z uroczystością wielką odbywać się miało. Żaden z nich nie widział dworu Zbigniewa, a wystawiali go sobie podobnym wspaniałością i powagą do krakowskiego.

Ksiądz Hilarion, pobożny, dobroduszny kapłan, cichy i spokojny, posłanym był, aby mówił, i namawiał jako orator; Skarbimierz bowiem, rycerz mężny, ulubiony Bolkowi, dodany dla powagi, wojak i mąż umysłu bystrego, niechętnie i niełatwo się na słowa zdobywał. Mowę miał krótką i nieuczoną. Patrzał za to bystro i oka jego nic nie uszło. Nie szkodziło, żeby się bliżej rozpatrzył w Płocku, gdyż wieści stamtąd przychodziły osobliwe, groźne. Rozpowiadano, że Zbigniew znowy czynił potajemne przeciwko bratu i właśnie czasu wesela, korzystając z tego, że wszyscy się mieli gromadzić w Krakowie, nasłać miał na kraj Czechów i Pomorców, sprzymierzeńców swoich. Nie wierzono pogłoskom, oburzał się Bolko szlachetny, inni też nie dawali wiary, lecz ostrożność nie wadziła.

Wypadło tak, że dla uniknięcia skwaru, lato bowiem było, do dnia dojeżdżali ku Płockowi wysłani z poczem dosyć licznym, gdy na gościńcu od grodu wiodącym spostrzegli kilkanaście koni, a między nimi starszynę jakiegoś (co po stroju i zbroi poznać było można). Jadący, poczet przeciw sobie zoczywszy, nagle rzucili się w bok, na pola i manowce i w zaroślach znikli im z oczów. Chociaż dzień jeszcze nie dosyć był jasny, a gromadka ta szybko uchodziła, bystry wzrok Skarbimierza, który niejedyn raz z Pomorcami się ścierał, po kroju odzieży, broni i zbroi poznał nieprzyjaciela.

Pomorcy to byli. Co oni tu, wpośród kraju wrogiego im, pod samym niemal grodem robić mogli, w małej kupce tak bezpieczni? Zdumiał się Skarbimierz. Nic jednak, nawet ojcu Hilarionowi o tym, co widział, nie powiedziawszy, przy sobie to zatrzymał. Do miasta zbliżając się, gdy już dzień robił się jasny, nikogo więcej nie spotykali, oprócz trzód, które na pasze pędzono, koni powracających z noclegów i pieszych ludzi, idących w pole.

Mizernie, ubogo i nędznie lud Zbigniewa wyglądał; na podzamczu też, co żyło, również lichy i odarto się ukazywało, a gdy na zamek zjechali i wojsko książęce zobaczyli, niezdarne, opuszczone, samopas chodzące, w odzieży brudnej, poznał Skarbimierz, iż tu życie całe inne być musiało niż w Krakowie.

Gdy się goście ukazali, a oznajmiono o nich, wnet wszystkich ze kątów poczęły się wysuwać postacie różne, jedna od drugiej dziwniej wyglądające.

Młodzież blada i jakby po nocnym pijaństwie niewywczasowana, kobiety z włosami rozpuszczonymi, starzy jacyś nicponie w odzieży łataniej, dwór i komornicy nie umiejący się pokłonić, a patrzący dziko i dumnie, nie jak na sługi przystało.

Ktoś pobiegł zbudzić śpiącego jeszcze Marka Sobiejuche, ochmistrza dworu, który za ledwie opończę narzuciwszy wywłókł się naprzeciw nim na powitanie.

Królewicz, choć godzina była późna, także spał jeszcze i wylęgał się.

Tymczasem posłom ukazano izby, zapowiadając rychło jadło i napitek, ale z tym nie szło sporo. Ładu nigdzie nie było, krzyki i hałasy, bieganie po dziedzińcach odzywały się, niesfornie, dawano rozkazy, popierając je klątwami, nie było słuchać komu.

Ojciec Hilarion, nimby pan wstał i posłuchał ich, poszedł na mszę do kościoła, Skarbimierz siadł oknem wyglądać na to zneedniałe teraz i opuszczone zamczysko. Wszystko tu opadało i chyliło się, dachy, ściany, budowle i szopy utrzymane niechlujnie. Konie chodziły chude, ludzie biedzi, z twarzami podrapanymi. Spierali się jedni z drugimi i rozkazywali a kłócili, posłuchu i karności nie było.

Na wielkie prośby Zbigniewa, który się chciał uczyć niby rycerskiego rzemiosła, zostawił mu Bolko starego Michnę. Znajomy z nim dawno Skarbimierz ujrzał go właśnie wychodzącego z komory o kiju, bo noga mu coraz mniej służyć chciała. Pospieszył do niego. Michno się uradował wielce, lecz wnet do smutnej twarzy, jaką miał wprzód, powrócił.

— Bóg z Wami! Jakże się miewacie? — począł Skarbimierz.

Michno w oczy mu popatrzył, ramiona ścisnął i splunął. Ręką powiódł

dokoła, jak by chciał powiedzieć: — Patrz, jako widzisz, tak pisz.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Miłościwy mój! — szepnął Michno z cicha — gdybyście to mnie z sobą stąd zabrali. O, jechałżebym rad jak na stu koniach!

— Nudno Wam, stary? — spytał poseł.

— I robić nie ma co — odparł Michno. — Rycerstwa uczyć, kiedy do niego serca nie mają? Co innego im w głowie! Ładu nie ma.

Urwał Michno, jak by mu się mówić nie chciało. Skarbimierz szepnął, iż na rozmowę wieczorem by się zejść mogli. Teraz prowadzić jej dłużej nie byłoby sposobu; zbyt wiele oczu patrzyło i uszu słuchało. Pachołków i niewiast, starych i młodych, włóczyło się mnóstwo, stawali do rozmów, śmiali się głośno i zdawali się tu panować, nie zważając na nikogo. Tu i ówdzie mowa czeska i

niemiecka przebrzmiewały między służbą.

Marko też, przyodziawszy się prędko, stawił się, aby posła wybadać, z czym przybywał.

— Cóż nam przynosicie? — zapytał.

— Nietrudno to zgadnąć — odparł Skarbimierz — przyjechaliśmy zaprosić księcia na wesele naszego pana. Któż mu ma być drużbą, jeżeli nie brat?

Marko się po wyłysiałej głowie poskrobał.

— Zapewne — odparł — tylko że nam pan coś nie domaga. Nikt pewnie nie kocha i nie szanuje więcej nad niego pana Bolesława, nikt się jego szczęściu i męstwu nie dziwi bardziej! Gdyby mógł!

— Cóż to za choroba? Od kiedy? — spytał poseł.

— Kto może wiedzieć, co to jest? — westchnął Sobiejucha. — Baby nie

rozumieją, my też. Odprawiają księża msze święte, chodził księżę relikwie całować, ocierał o nie głowę. Na piersiach ma ciężar, zmory go po nocach duszą.

Zwlokło się czasu trochę na tej rozmowie. Nierychło dano znać, że królewicz posłów przyjąć jest gotów, a że ojciec Hilarion wrócił z kościoła, szli więc z nim, odziawszy się przystojnie, na dwór książęcy.

Tu widok się im przedstawił niespodziany. Zbigniew rad był wystąpić po swojemu, aby okazać potęgę i dostatek; służba więc, która niedawno odarto i boso po dziedzińcach biegała, stała przywdziawszy bławaty, łańcuchy i miecze pozłociste. Napędzono jej zewsząd, aby liczbę powiększyć, w izbach i sieniach gromady się tłoczyły. Sam Zbigniew odział się w szkarłat i złoto. A że Bolko nosił

zawsze na piersiach na złotym łańcuchu blachę z wizerunkiem ojca, on też ciężki łańcuch wziął na piersi, zawiesiwszy na nim klejnot wysadzany kamieniami, smoka skrzydlatego wyobrażający.

Dwór nie umiał, prawda, stać jak należało ani się ruszyć raźnie, ale go było dużo i wystrojonego jaskrawo.

Skarbimierz, który dawno nie widział księcia, a słyszał o nim, że był chory, zdziwił się ujrawszy otylszym, niż był, i jakby obrzękłym, ciężkim, z oczyma podpuchłymi, bladym, przed czasem postarzałym. Gnuśną naturę czuć w nim było, spoza której przebiegłość i chytryść się przebijała. Posłów księżę przyjął

nadzwyczaj uprzejmie, acz w głosie, wejrzeniu i postawie nie było tej życzliwości, jaką słowa głosiły.

Ojciec Hilarion sprawił to, z czym go posłano, wypowiedziawszy pięknie i gładko, jak księżę Bolko tęsknie czekał na brata, chcąc go mieć w uroczystej chwili przy sobie, by mu jako starszy w rodzie

pobłogosławił.

Zbigniew słuchając, bródkę, która mu rzadko rosła, poczesywał ręką białą, a gdy i Skarbimierz potwierdził w krótkich słowach zaproszenie, odezwał się głosem przerywanym:

— Z duszy całej rad bym służyć panu bratu, któremu za pamięć dobrą i miłość dziękuję. Obowiązek to mój, który czuję i spełnić bym pragnął.

Nieszczęśliwie się chwila złożyła! Choroba mnie męczy, dla której dłuższej podróży odbywać nie mogę, a i od granicy czuwać muszę. Łzy mi prawie z oczów tryskają, iż odmową odpowiedzieć los mi nakazał; nie będziecie wymagać rzeczy niepodobnej. Chory jestem.

Mówił to, a w twarzy wyraz miał niecierpliwy i kwasu pełen. Co innego usta, co innego prawyły oczy, którymi posłów i dwór ich poważny mierzył.

— Będziecie tam mieli — ciągnął dalej — gości, powinowatych, książąt i panów podostatkiem. Nie mówiąc już o Rusi, zjawi się może kto j z Pragi! Ja tam niekoniecznie potrzebny ani może pożądany, zastąpią mnie inni.

Zaciął się nieco i dodał złośliwie:

— Wasza przysła królowa Zbysława wedle praw kościelnych pono

królewiczowi bratu bardzo jest bliską?

— Tak jest — odpowiedział ojciec Hilarion — ale na to mamy osobne rozwiązanie, dozwoleństwo i błogosławieństwo Ojca naszego, papieża rzymskiego.

Uśmiechnął się Zbigniew.

— Toście aż tak daleko szukali zezwolenia? — rzekł. — Któż jeździł po nie?

— Nie posyłano nikogo, biskup Baldwin na piśmie dostał to z Rzymu — rzekł duchowny.

Książę głowę pochylił, jakby z poszanowaniem dla stolicy świata chrześcijańskiego.

— Miłość Wasza — dodał poseł — pomimo cierpienia zechcesz się nam dać uprosić. Zdrowiu to nie zaszkodzi, a miłość braterską ukrzepi i ustali. Pan nasz nad wszystkich gości Was oglądać pragnie.

Zbigniew popatrzał trzęsąc głową i śmiejąc się po do siebie.

— I ja też widzieć go, do piersi braterskiej przycisnąć, gorąco pożadam. Cóż, gdy woli nie staje

siły? Na koniu usiedzieć długo nie mogę. W drodze bym gdzieś obiegł. Płacę nad tym, lecz sprzeciwić się woli Bożej nie śmiem. Znać sam Bóg tego nie życzył sobie. Przez usta Wasze prześlę Miłociwemu Bratu wieszanie moje i wyrazy serdeczne, powiecie mu, jak boleję.

I przerwawszy nagle dodał:

— Chciejcie tymczasem odpocząć, a używajcie, co Bóg dał, do woli. U mnie tu, ubogiego człeka, który z nieprzyjaciół łupów nie biorę, dostatków takich i bogactw jak w Krakowie nie znajdziecie. Nawykłem do prostego życia zawczasu go skosztowawszy.

W pokorze tej przebijało się szyderstwo. Wstał zaraz książę i ręką pożegnał

posłów, chociaż ojciec Hilarion jeszcze się przemawiać sposobił. Odeszli oba smutni, czując, że odpowiedź zawczasu była przygotowaną.

Kapelan niezupełnie jeszcze zrozpaczywszy poszedł natychmiast do biskupa, ufając w to, że przez duchownych wyrobić może, by Zbigniew odmienił zdanie i na wesele przybył. Zbyt jawną byłaby zła wola i niechęć, gdyby się odmowa utrzymać miała pod pozorem choroby, która widocznie zmyśloną została.

Skarbimierz wprost do izby wyznaczonej udał się, myśląc niezwłocznie gotować się do powrotu. Ojca Hilariona tylko prośba na jeden dzień go wstrzymywała. Nie mając co z dniem robić, powlókł się po starym, znanym sobie zamczysku, którego opuszczenie i zaniedbanie serce mu ścisnęło. Szukał Michny, aby się z nim rozmówić. Było już z południa. Stary drzemał, gdy do niego przyszedł, lecz prędko oczy przetarłszy wstał i mieli rozpocząć poufną pogadankę, gdy Michno dał znak Skarbimierzowi, na ściany ukazując, szczerze i głośno nie było bezpiecznie mówić w tym domu.

— Nie macie co robić — rzekł — ja też, bo rycerzy tu nie potrzebują takich jak ja. Bawię się, czym mogę. Pójdziemy nad Wisłę, stoją tam moje wężerze, obejrzym je, czy się ryba nie złowiła. Po drodze o starych czasach się pogwarzy.

Wziął sak na plecy Michno i tak z góry się spuściwszy nad Wisłę zaszli we dwu ku brzegowi.

Michno milczał w początku, aż się dobrze od zamku oddalili.

— No cóż — rzekł żywo — z niczym was odprawili? Juści inaczej nie mogło być. Nasz pan brata cierpieć nie może, rychlej by go na cmentarz powiódł niż do ołtarza. Gładkimi pewnie słowy odprawił.

— Bardzo — rzekł Skarbimierz.

— Na słowach mu nie zbywa — dodał Michno. — A, miły panie! Jakże bym ja rad od słuchania tych pięknych słówek wyrwał się ku wam! Gdyby mnie puścił!

Schylił się do ucha Skarbimierza:

— Słowom jego nie wierzcie! Zdradę knuje!

— Wiecie co o tym? — pytał poseł.

— Nie mówiłbym na wiatr — rzekł Michno. — Dlatego że oczy i uszy mam, lękam się, iż mnie stąd wypuścić nie zechce.

— Mówcie, co wiecie, na Boga! — począł Skarbimierz.

— Po pijanemu z Marka, który mu służy, dobyć można wszystko — mówił z cicha Michno. — Sobiejucha potajemnie do Pragi jeździł, pewno nie dla jednego pokłonu. Pomorcy tu wczoraj sami dla jakiejś narady zjeżdżali.

— Zdało mi się, że ich stąd wracających spotkał na drodze rano — rzekł

Skarbimierz — ale zobaczywszy obcych, w bok się zaraz rzucili.

— Oni to byli pewnie — potwierdził Michno. — Ja niewiele bym wiedział i zobaczył, ale z Marka, gdy mu się gadać chce, nie ciągnąc go, dostaję języka.

Królewicz przed nim spowiada się ze wszystkiego, a on nie strzyma, co wie, gdy się dobrze napije. Sto razy słyszałem odgróзки i napomknienia, że Czechów i Pomorców pewni są, którzy im pomagać mają.

— Na brata, którego łaską żyw jest i bezpieczny? — podchwycił poseł.

Michno się uśmiechnął.

— A za cóż brat mocen, sławny i szczęśliwy? Dlaczego przoduje i co dzień silniejszym się staje? Toć wina nie do przebaczenia. Sam nie może nic, a rad by i drugiemu nie dał, a zgubił go. Przywiązałby mu kamień do szyi, gdyby mógł.

Czasu wesela wszyscy się zbiorą do Krakowa, kraj będzie stał otworem. Azali nie dobra pora?

Skarbimierz strząsnął się z gniewu i oburzenia, po rycersku klątwa mu z ust wybiegła.

— Bodaj szczeł zdrajca!

— Albożeście myśleli, że tu co innego zastaniecie? — kończył stary. —

Jakim się człowiek urodził, takim umiera. Nie macie tu co robić długo, żegnajcie i powracajcie co rychlej, aby się mieć na pogotowiu.

Skarbimierz zadumany szeptał jeszcze:

— A taką nam miłość oświadczał!

— I większą jeszcze okazywać będzie, aby was uspić — mówił Michno. —

Znać go potrzeba, jakim on jest. Ja nań codziennie patrząc na wylot go przenikam, choć byстрыm nie jestem. Wężową naturę ma, pełnie nisko i pokornie, aby kąsać.

Siedli nad brzegiem, aby obszerniej rozmówić się swobodnie, bo nikogo dokoła nie było. Michno wytrząsając małe rybki z węcierzy do saka, bo połów nie był szczęśliwy, o swym życiu, o dworze, obyczajach i zajęciach Zbigniewa rozповідаł. Pomorców tu już nie po raz pierwszy widziano, zmowy z nimi przeciw Bolkowi dawno były rozpoczęte. Nie wojowali też ze Zbigniewem i szanowali granice jego, brali i przywozili podarki. Tak samo na dworze praskim przyjaciół sobie jednał książę potajemnie, czując, że bez tych pomocników brata nie zmoże, a występować jawnie nie śmiejąc.

— Co tylko krakowskiemu panu nieprzyjaznego jest — mówił Michno — co mu szczęścia zazdrości, wszystko to do nas zdąża, gromadzi się i naradza. Gdyby dobrego pana łatwo zgubić było, już by dawno go obalili.

Gdy się wiadomości wyczerpało, a wieczór nadchodził, Michno

pożegnawszy starego znajomego, dla niepoznaki sam saki na plecy wzięwszy, powrócił na zamek, inną mu ścieżynę wskazawszy.

Gdy Skarbimierz przyszedł nazad do izby, znalazł tam już jednego z

komorników królewicza, który go zapraszał do pana. Zbigniew chciał z nim mówić sam na sam i przyjął z większą jeszcze uprzejmością niż z rana. Wino już na stole przygotowane było, które i książę popijał, i zapraszał gościa na nie, sam mu kubek nalewając.

Ufając w swą zręczność, Zbigniew badać go próbował i ciągnął z niego wiadomości, których potrzebował. A że Skarbimierz głośnym już był jako jeden z najdzielniejszych dowódców, starał się książę obietnicami wielkimi sobie go pozyskać.

Nie powiodło mu się z nim jednak, na wiele pytań krótkimi słowy

odpowiadał poseł, a gdy przyszło zachęcenie do służby, rzekł, że w Krakowskim ojczycem był i z ziemi swej wynosić się nie chciał, choćby mu gdzie indziej lepiej być miało.

Dosyć zręcznie zapytywał potem książę o wojsko, jak liczne było, o

przymierza z sąsiady, zwłaszcza o Ruś, o Czechów i Niemców, oświadczał się z wielką miłością dla brata i troską o te ziemie, które oba dzierżeli. Potajemnie i poufnie dodał, że na Pomorców miał oko, posądzając ich, iż zdradę knuli.

Ponieważ się bez tego obejść nie mogło, kazał książę podarki ślubne

przynieść dla brata i posłowi je wręczył. Pokażne one były, choć niewiele warte, bo co najlichsze i najlżejsze srebra wybrano, tak kowane misternie, aby się na oko ciężkimi wydawały. Kilka też sztuk

bławatu dodano, który w sklepie długo chowany poblaknął i zleżał się. Dla Skarbimierza łańcuch i kubek, dla ojca Hilariona też pierścień z okiem szafirowym ofiarował książę, oświadczając życzenie, aby się wesele szczęśliwie i s p o k o j n i e odbyło. Powtórzył to kilkakrotnie z uśmiechem osobliwym i pożegnawszy posła szedł do izb swoich.

Skarbimierz, chwili jednej nie tracąc, chciał co rychlej ruszać w drogę. Konie kazał mieć pogotowiu, tak go nagliło to, o czym się tu dowiedział.

Ojciec Hilarion powrócił od biskupa zafrasowany, gdyż też samą tam

otrzymał przestrożę i napomnienie, aby się czasu wesela na ostrożności mieli. Nie było już wątpliwości, że się tu zdrada potajemnie gotowała z dawna, oczekując tylko pory przyjaznej.

Michno, który wkrótce potem nadszedł także, szepnął, że wyrwać się na teraz z niewoli nie może, aby nie obudzić podejrzania, ale się spodziewa innego zażyć sposobu dla uwolnienia ze służby książęcej.

Sobiejuha, nie puszczając jeszcze posłów, gwałtownie ich do siebie prosił

na napitek, czemu odmówić nie mógł Skarbimierz. Ojciec Hilarion podziękował.

Znalazło się tu kilku starszych komorników, przyszedł Michno i wzajem próbowano się u dzbana wybadywać. Z posła wszakże dobyć co było trudno, a Sobiejucha, podchmieliwszy sobie, pierwszy się wygadał.

Chodziły gęsto kubki, rozprawiano o wojnach, o dawnych i nowych czasach, o młodych królewiczach. Marko im więcej pił, tym ochotniej i weselej wygadywał, co mu ślina do ust przyniosła.

— Wiemy my — mówił — iż nas ogadują, jakobyśmy byli ludzie

nierycerscy i leniwi! A kto to wie, czy nie przyjdzie czas, gdy my rycerzy pobijemy? Co mi to za sztuka pałką w łeb dać, swojego nadstawiając; nie lepiej nasłać drugiego, żeby guza napytał i nabił?

Śmiał się Sobiejucha, a Skarbimierz mu pomagał, udając, że nic nie rozumie.

Spróbował jeszcze, azali się Zbigniewa przez ulubieńca zyskać nie uda.

— Nim co będzie — rzekł — nim do guzów przyjdzie, Wy tu, miły panie, przodujecie, ucho pańskie macie, powinniście tego dokazać, aby do nas na to wesele jechał! Ja bym Wam za tę przysługę sutą szubę krytą pięknie i srebra kilkadziesiąt grzywien mógł ofiarować, nie licząc pomniejszych podarków. Bolko nasz szczodrym jest.

Sobiejuha głową kręcił.

— Szubę bym wziął, dzbanom srebrnym i grzywnom byłbym z duszy rad —

rzekł — ale tego dokazać nie potrafię, aby mój pan zrobił to, czego nie chce.

— Dlaczego? dlaczego? — pytał poseł. Czerwony już i mocno napity Marko bełkotał:

— Chcecie prawdy? Nam bo nie w smak patrzeć, jak drudzy miody

podbierają, a nam się susz zostaje. Komu śpiewają chwałę żołnierze? — Bolkowi!

Kto mężny? — On! Kto dobry, kto praw, kto wielki? — Zawsze on! Naszemu panu od początku wciąż się krzywda dzieje. Odsadzili go, jak kota od misy, od Krakowa, od starszeństwa, popchnęli w kął na Mazury. I Wy chcecie, żebyśmy my naszą biedę i wstyd na świat wywlekali, aby na weselu starszy brat szedł niosąc kraj płaszcz młodszemu?

— Zasię nie — rzekł Zbigniew — starszy by pewnie miejsce miał poczesne.

— Hej, hej! — plółł Marko. — Co o tym rozprawiać! Jam się, włócząc po świecie, dużo napatrzył braterskich miłości i nasłuchał o nich. Trudno się całować, gdy złość dusi.

— My się nie mamy o co złościć — odparł Skarbimierz.

— Nie bajajcie! — rozśmiał się Marko. — Wzięliście dużo, a chce się wam więcej jeszcze, bodaj i Mazurów, i Płocka, i Gniezna a Poznania. Bolko by rad na gwałt być Chrobrym! Znamy was, znamy!

Napiwszy się Marko, niby z wesołości śpiewać począł jakąś pieśń starą o dwu braciach Lechu i Kraku. Miało to swe znaczenie. Skarbimierz zrozumieć nie chciał.

Niewiele mówiąc sam, dobył przez ten wieczór poseł więcej z Marka niż od innych. Miał taką prostoduszność żołnierską, iż przebiegły Sobiejucha, za nierozgarniętego człowieka biorąc go, cale nie wystrzeżał.

— Wy miłujecie Bolka — mówił ochmistrz — a ja powiadam, że u mego

pana służyć najlepsza rzecz. Prawda, że rozsierdziwszy się pięścią sięga do gęby, nie szanując zębów starych, że i za ucho targnie, gdy mu co dokuczy, ale za to ja tu jestem panem nad drugimi i innym mordy rozbijam, jak chcę. Pracy takiej utrapionej jak u was nie mam. Wylęgam się do białego dnia, czeladzią się posługuję sam, bo na wyprawy ani na łowy nie chodzimy. Złote życie! — Ręce podniósł z kubkiem w górę. — U was jak w klasztorze klauzura i dzwonek, dzień podzielony, spoczynku nie ma nigdy, służba jak niewola; u nas człowiek brzucha dostanie i dobrze mu.

Pogładził się po piersiach.

Późno w noc przyjęcie u ochmistrza skończyło się śpiewaniem, do którego i małżonkę swą Gretę wezwał Marko, bo dla mienia i łaski pańskiej ożenił się z nią stary Sobiejucha. Nie była to już piękność dawna, ale niewiasta otyła, blada i ociężała, z wypłowiałymi oczyma. Na prośbę męża zaczęła śpiewać pieśni niemieckie, które nie wszyscy rozumieli, wesołe być musiały, bo ona sama i mąż śmieli się z nich mocno. Zasłyszawszy o weselu Bolka, odezwała się do Skarbimierza z ubolewaniem, że ksiązę Zbigniew żenić się nie myślał, a z lada jakimi niewiastami żył nieporządnie; mąż jej wprędce usta zamknął, nie dając się z tym zbyt rozgadywać, bo była też po kilku kubkach i nad miarę otwartą.

Korzystając z tego, iż wszyscy dobrze byli podchmieleni, gdy się

rozchodzili, Michno przeprowadził do izby Skarbimierza, szepnąwszy mu przy rozstaniu, że wieczorem nawet nowego gońca do Pragi wysłano.

Nie kładnąc się już na spoczynek, posłowie dnia tylko doczekawszy, jak na brzask, w drogę ruszyli, spiesząc z powrotem bardziej jeszcze niż do Płocka.

Raźniejszą była ta podróż, gdyż im się więcej ku Krakowu zbliżali, tym w liczniejszej gromadzie ją odbywali. Łączyła się z nimi mnogie dwory i poczty ziemian, które na wesele także dążyły. Wszyscy nieśli podarki, a występowali z końmi, ludźmi i przyborem takim, by swemu panu wstydu nie uczynili.

Skarbimierz to z jednymi, to z drugimi kawał drogi razem jadąc, wymijał ich i pospieszał, mając na sercu to, o czym się w Płocku dowiedział. Zazdrość Zbigniewa zrozumiałą była posłowi, gdy wśród panów, których spotykał, znalazł

wielu i z dzielnicy mazowieckiej pospieszających z hołdem do Bolka, którego za zwierzchnego pana głos powszechny uznawał. Ze wszystkich ziem, od Poznania, Gniezna, Szląska, zarówno jak z sandomierskiej i krakowskiej, jechali ziemianie.

Na zamek krakowski ledwie się już dobić było można, gdy posłowie wrócili, a do królewicza dostać niełatwo, gdyż ciągle otoczony, coraz nowo

przybywających sam przyjmował. Przygotowania do wspaniałego i uroczystego obrzędu olbrzymie były, gdyż kilkanaście dni trwać miały uczyty, a goście liczyli się na tysiące.

Pora do napaści na dzielnicę Bolkową w istocie była dobrze wybraną,

rycerstwo niemal wszystkie gromadziło się w Krakowie.

Skarbimierz, za ledwie z konia zsiadłszy, szedł do komnaty pańskiej, aby się z nim rozmówić na cztery oczy i z poselstwa zdać sprawę. Choć weselną chwilę zatruć miał wiadomością, jaką przynosił, Skarbimierz taić jej nie mógł. Począł więc po prostu swą powieść, co zastał w Płocku, jak był przyjęty, co widział i słyszał, księdza wzywając na świadectwo. Bolko się w początku oburzył, wierzyć nie chcąc, wreszcie nie mogąc wątpić o prawdzie, zasmucił się wielce, jak by brata utracił.

Zwołano kilku wojewodów na radę. Wszyscy zgodnie oświadczyli, że

podobne poszlaki i głosy mieli z dawna, a zdrada była pewną.

— Nieprzyjaciół się tak bardzo nie zlekniemy — odezwał się królewicz —

człowieka mi żal, którego kochać chciałem, a zniewidzić muszę, choć mi jest bratem.

Na zamku nic się na oko nie zmieniło, rada odbyła potajemnie.

Postanowiono na niej siły zgromadzić po lasach, nie wyprowadzając ich na jaw, tak aby nieprzyjaciel sam wpadł w zasadzkę, gdy chciał zastawiać sidła. Umawiano się do późnej nocy, kogo i gdzie wyprawić, gdzie postawić oddziały. Szlaki, którymi zwykle Czesi na Szląsk i Krakowskie ciągnęli, znane były, drogi, jakimi Pomorcy mogli wtargnąć, również wiedziano, mógł więc Bolko uprzedzić, zwłaszcza że bezpiecznie ciągnąć mieli, nie obawiając się przeszkody żadnej.

Na zamku śpiewano, rozlegała się gęźba, stoły obsadzone wesołymi

biesiadnikami nie opustoszały; znaku nikt nie dostrzegł, iż między starszyzną radzono, słano i umawiano się przez noc prawie całą.

Bolko to do gości szedł z twarzą wesołą, to do Skarbimierza, Żelisława, Wojsława i Magnusa powracał. Nie postrzeżeni wysuwali się dowódcy, wychodzili tysiącnicy i sotnicy, co było najdzielniejszego, znikało. Nikt tajemnicy słowem ani skinieniem nie zdradził.

Jak to bywa, gdy sam pan, co duszą wszystkiego jest, milczeć umie, a w sługi karność przelewa, otoczenie królewicza, na jego obyczaj i podobieństwo urobione, posłuszne było i tajemnicę zachować umiało. Milczeli wszyscy, gdy było potrzeba, szli, wracali, bili się, nie szemrząc, nie skarżąc się i nie okazując nic po sobie.

Bolko, choć w nim zawrzał gniew i oburzenie, bo był prędko wielce i do wybuchów skłonny, gdy pierwszy ogień spłonął, umiał się poskromić, usta zamknąć i oblicze przybrać wesołe. Nie poznał po nim nikt, co miał w sobie. Tak samo czyniła drużyna.

Tydzień cały trwały uczyty od rana do nocy, płynęli i odpływali ludzie, skarbiec się wypróżniał na podarki, a dwa silne wojsk oddziały od granic stały już na czatach.

Bolko czekał hasła i znaku, aby od młodej żony odbiec i do swojego

rycerstwa pospieszyć.

Gdyby był w dzień wesela przybył od granicy goniec, że nieprzyjaciel nadciąga, zerwałby się królewicz do miecza i zbroi, lecz gońca od granic nie było.

IX

Kilka lat upłynęło znowu. Rosnął zamek królewski, rósł i gród pod

Wawelem, z ziemi podnosiły się kościoły ku chwale Bożej, a rósł też i potężniał

Bolko Krzywousty, chwili nie spoczywając. Jedna ledwie się wojna skończyła, już na drugą w rogi trąbiono; rzekłbyś, że kto nasadzał wrogów i wicherzył umyślnie, aby mu nie dać spokoju.

Rad był król, że wojsku jego wojny zgnusnieć nie dawały, że na wyprawach żołnierzy sobie sposobił, których się nie wstydził wziąć do boku, lecz ilekroć brata wspomniał, chmurzyło mu się czoło. Wyciągał doń dłoń nieraz, a spotykał martwą rękę, która go odpychała.

Zbigniew siedział zawsze zaczajony w swej plockiej jamie. Posyłano do niego, aby ludzi dał: rozproszeni byli, ciągnąć nie mogli, na czas się stawić nie zdążyli. Słał Bolko, żądając tłumaczenia, dlaczego wszyscy o zdradę go obwiniają, odpowiadał Zbigniew, że o zdradzie żadnej nie myślał, potwarz nań rzucano, gdyż był bratu wiernym.

Tymczasem z każdym rokiem mnożyły się poszlaki i dowody zdrady. Bolko sam jeden całego królestwa, swojej i brata dzielnicy strzec musiał, od jednej do drugiej przebiegać granicy, broniąc wnijsčia. Gdy mu wreszcie wojny na rubieżach zabrakło, szedł na Morawy, aby wojował, ludziom ani sobie spoczywać i zgnusnieć nie dając. Znał to, że żołnierz, jak miecz w pochwie, rdzewieje.

Na Pomorzu nieustannie się burzyło, za ledwie ukarani, zrywali się poganie do odwetu. I teraz go się spodziewano, trzeba było uprzedzić Pomorców i w gnieździe ich przygnębić, ów morski brzeg, o którym marzył Bolesław, zawojować, oczyścić, wrota na świat ściśniętej ziemi otworzyć.

A z domu ruszyć, wroga zostawując za sobą, niebezpiecznym było.

Zbigniew czyhał na chwilę dogodną. Na próżno starszyzna domagała się pozbycia jawnego zdrajcy i wyrzucenia go z dzielnicy. Bolesław lękał się, aby go nie pomawiano o chciwość władzy. — Czekał.

— Gdy go pochwycę na uczynku i przeniwierstwo jawnym się stanie,

naówczas ukarzę.

Wyprawa na Pomorze przysposabiała się tajemniczo, Bolko na Szląsku lud zbierał i najmężniejszych swych wodzów miał u boku. Dość było spojrzeć na nich, ażeby poznać nieustraszonych rycerzy.

Żelisław Belina rękę miał uciętą w boju.

Wojśław czaszkę rozbitą, na której szram głęboki pozostał.

Skarbimierz jedno oko stracił w bitwie.

Bolkowych ran i blizn nikt zliczyć nie mógł. Bez ręki, bez oka, z głową przerąbaną wszyscy oni szli

znowu w bój ze swym królewiczem na przedzie.

Żołnierz prosty za wodzem, nie dbając jak i on o życie, rzucał się przebojem na nieprzyjacielskie tłumy.

Pułki zebrane stały już pod Głogowem, gdy na radzie Skarbimierz rzekł do księcia:

— Miłościwy Panie! Daremny nasz bój z pogany i przelewana krew. Mamy w domu nieprzyjaciela, co tantym poganom otuchy dodaje i podżega, sam wystąpić nie śmiejąc. Dopóki go żywić będziemy, pokoju nie będzie.

Bolko poruszył ramionami niechętnie.

— Słyszę ja ciągle, że go o to obwiniacie, a uwierzyć mi temu trudno.

Gnuśny jest, zazdrosny może, ale o zdradę posądzać go nie chcę.

— My go wszyscy zdrajcą znamy! — odezwali się inni.

— Wziąć go z Płocka i w grodzie którym pod strażą osadzić — odezwał się Wojśław — wówczas i Pomorcy buty pozbędą. Bolko na to głową potrząsał.

— Uczynimy inaczej — rzekł. — Skarbimierz bywał raz u niego, zna go, niech jedzie jeszcze, powie mu ode mnie, że go cały świat obwinia. Gorzej, sam on obwinia się, uparcie mi pomocy odmawiając. Niech więc raz prawda się okaże.

Chce on panować, niech panuje i niech granic broni, chce trzymać dzielnicę, niech z niej służy.

Skarbimierz głowę skłonił.

— Poślecie, pojedę — rzekł.

— Jedźcie rychło i powracajcie w czas — dodał książę. — Pilno mi z

Pomorzany skończyć i dotrzeć do morza, które w swej mocy pogaństwo trzyma.

Tegoż dnia dobrawszy ludzi Skarbimierz wyruszył do Płocka, sam jeden, bez towarzysza, w duszy gniewny, bo zdrada, której Bolko wierzyć się wzdrygał, jawną dlań była i dla wszystkich. W podróży tyle tylko spoczynku miał poseł, ile go konie i dwór potrzebowały; a stanąwszy w Płocku o pół dnia, wprost do biskupa, nie na dworzec królewski zajechał.

U Zbigniewa tejże godziny wiedziano, że przybył od Bolka wysłany, i nim się Skarbimierz przebrać podążył, przyszedł doń Marko. Ów sławny niegdyś wojak, teraz już z ciężkością konia mógł dosiąść, tak mu brzucha przybyło, ociężał

i z rycerza stał się przebiegłym dworakiem.

Nieczyste sumienie strwożyło się przybyciem nowego posłańca, chciano wiedzieć, co przynosił. Sobiejucha stawił się z uniżonością wielką. Widocznym było, że chciał naprzód być uwiadomiony, co od Bolesława wiózł dla brata.

Na zapytanie Skarbimierz odparł dumnie:

— Z czym przybyłem, pewnie Wam odgadnąć nie będzie trudno. My się za was bijemy, wy tu siedzicie w jamie, iść z nami nie chcecie, ludzi nam nie dajecie.

Chcemy raz mieć koniec i wiedzieć, czy wroga mamy, czy brata. Z tym przybyłem.

Marko udał zdziwionego niezmiernie:

— Czyż może być, ażeby już do tego przyszło! — zawołał. — Godziż się, abyście wy do nas się tak odzywali? Cóżemy zgrzeszyli? Co my winni? Lud mamy brzydki, który się rozbiega po lasach, ani go nagać do służby. Niezdarni, leniwi, daliście nam takich poddanych, że nimi orać chyba.

Skarbimierz był gniewny.

— Jak ich wam odbierzemy — rzekł — zrobimy z nich żołnierzy.

Sobiejucha śmiać się niby począł:

— Ha, ha! Żartujecie! Odbierać już chcecie! Brat bratu przecie oka nie wykolę.

Nagle, wyrzekłszy już to, spojrzął na Skarbimierza, który jednego oka nie miał, i strwożył się, iż mu się głupie słowo wyrwało.

Poseł nie zdał się zważać na nie. Wyszedł natychmiast, a Marko mu

towarzyszył. W dziedzińcu strzymał go, okazujący się przyjacielskim, ochmistrz Zbigniewa.

— Miłościwy Panie — rzekł cicho — nie przemawiajcie zbyt ostro do

naszego pana. Człek chorowity, zgryźliwy, weźmie do serca. Nie trzeba zgody psować, póki jest.

Nic na to nie odpowiedział przestrzeżony. We dworze Zbigniew już czekał

nań, ale bez większego orszaku i występu. Niespokojnym był i o przygotowaniach zapomniał. Powitał przybywającego nader łaskawie:

— Znowu mnie chorym zastajecie — odezwał się pokaszlując — dopust

Boży na mnie ta słabość!

— Życzymy zdrowia Waszej Miłości — począł Skarbimierz — życzymy z

serca, bo to uparte choróbsko trwa już zbyt długo, a Pomorcy nam pokoju nie dają.

Nim Zbigniew, zaciąwszy usta, przygotował się do odpowiedzi, Skarbimierz nie chcąc przy świadkach mówić więcej, poprosił go na ustęp, aby sam na sam mógł poselstwo przełożyć.

Weszli do bocznej komory, Zbigniew usiadł w kącie przyciemnionym, tak aby mu twarzy widać nie było.

— Mówcie, co przynosicie! — odezwał się. — Czy to tajemnica jaka?

— Nie tajemna to rzecz — począł Skarbimierz — ano niemiła. Posłany

przynoszę, co mi dano. Skarży się brat Waszej Miłości, a pan nasz, że szczerymi mu być nie chcecie. Wiemy dowodnie, że nań zmawialiście Czechów, że przeciw niemu nasyłacie Pomorców.

Nie spodziewając się wyrzutu tak jawnego, porwał się Zbigniew wołając:

— Śmiecie tak mówić do mnie?

— Śmiem mówić to, na co dowody mamy — ciągnął nieustraszony

Skarbimierz. — Nie rok, nie dwa to trwa, cierpliwi byliśmy. Nie daliście nam ani jednego człowieka na obronę granic. Posyła pan nasz, prosi, obiecujecie, a nigdyście nam nie dotrzymali. Zapytuje Bolesław i wiedzieć chce, czyście mu bratem i druhem, czy wrogiem?

Gdy to mówił, twarz Zbigniewa mieniła się gniewem, zapalczywością,

wściekłością niemal i chytrym spokojem, który chciał okazać. Walczył z sobą, twarz mu siniała, trząsł się cały, wreszcie głosem płaczącym, jakim dziady żebrzą pod kościołami, odezwał się hamując.

— Boże miłosierny! Co za dola moja! Jestem znieważony, uciśniony,

osądzony, odepchnięty, potępiony. Najmniejszego tu w tych ziemiach nie mam znaczenia ani siły, siedzę—na najgorszej dzielnicy. Chorzeję, marnieję, ginę i za moją miłość i wierność taka nagroda!

Skarbimierz mu przerwał.

— Miłościwy Książę! Słów my dosyć słyszeliśmy.

— Tak! — gniewnie krzyknął Zbigniew, zmieniając głos. — Tak! Uczynku mi żadnego nie zadacie! Wiem, że nazywacie mnie zdrajcą! A ja was zowie potwarcami! Zdrada!? Gdzie dowody? Pokażcie, gdzie, jaka? To czynię, co chcę, jestem u siebie panem.

— Brońcież się sami od nieprzyjaciela — odparł poseł. — Dotąd my sami bronić was musimy.

— A kto was prosi o to! — wołał Zbigniew. — Jam pomocy nie wzywał

nigdy.

— Mamy więc dopuścić, aby Pomorce, spustoszywszy Wasz kraj, poszli

nasze pustoszyć? — rzekł Skarbimierz.

— A toć nie mnie, ale sami siebie bronicie! — śmiejąc się śmiechem złym i groźnym, podchwycił książkę. — Co mi do tego? Wdzięczności wam nie winienem!

— Miłościwy Panie! — mówił Skarbimierz. — Królewicz Bolko panem jest pobożnym, cierpliwym, pokój miłującym.

— A ja też! Ja też! — wtrącił książkę.

— Cierpliwości i miłości w końcu się jednak przebrać może — dodał

Skarbimierz. — Nie chcecie bronić państwa ani dawać posiłków, stracić możecie dzielnicę.

Zbigniew pobladł, głos jego znowu stał się żebraczym i płacziwym.

— Azali ja co winien jestem! — począł ręce łamiąc — nie szanuję ja brata?

Życzę mu dobrze, rad bym posiłkować, alem ja sam chory i ciężki, a ludzi nie mam. Zazdrośni, podli, nikczemni pomawiają mnie o zdradę! Jam wierny, jam nieszczęśliwy!

Skarbimierz spojrział nań tak wyzywająco, że Zbigniew ton zmienił znowu i spyszniał. Gniew zwyciężył i wychodził na jaw.

— Czego chcecie ode mnie? — krzyknął. — Z czymście tu przyszli?

Jestemli ja synem króla, bratem Bolesława, równym mu, czy nie? Jeślim równy, odpowiadać mu nie potrzebuję. Czynię, co chcę, wyższego nad sobą, oprócz Boga i ojca papieża w Rzymie, nie znam.

Odwrócił się ku ścianie.

— Taką mi dajecie odprawę? — zapytał poseł.

— Bo nie wiem, czego śmiecie się domagać ode mnie! Nikomum hołdu nie winien i służby! — rzekł książkę.

Mówił to i znowu złagodniał nagle. Twarz ku oknu zwrócił, popatrzył w nie, potem się pochylił ku gościowi z uśmiechem na ustach i wyrazem łagodnym. Zdjął

z szyi łańcuch i chciał go włożyć na Skarbimierza, ten się cofnął z pokłonem.

— Teraz podarku od Waszej Miłości przyjąć mi się nie godzi — rzekł —

wdzięczen zań jestem.

— Cóż się stało? — począł, łańcuch na ławę rzucając Zbigniew. — Dlaczego przysłał do mnie

Bolko! Kto mnie oskarża? Co mi zadają! — głos coraz był

słabszy i łagodniejszy.

— Miłościwy Panie, nikt Wam, Wy sami szkodzicie sobie — odezwał się

Skarbimierz. — Stronicie od brata, zapominacie o nim. Domagamy się posiłków, na nas całe brzemie! Nie dajecie nam ich. Obiecujecie, a gdy rachujemy na nie, nie przychodzą.

— Jam nie winien! Jam nie winien! — przerwał ksiązę. — Zaprzysięgam

niewinność moją. Zdrady w sercu moim nie ma! Kocham brata, a jestem posądzany i czerniony. Jakże się zbliżyć, gdy wiem, co mnie tam czeka? Wymówki, podejrzenia, niewiara.

Westchnął ciężko i zasunął się znowu w kąt ciemny, łańcuch zdjęty powoli wkładając na szyję. Milczał.

— Co każecie mi powiedzieć panu naszemu? — spytał poseł.

— Powiedzcie mu, że ja się do żadnej nie znam winy — chłodno odparł

Zbigniew. — Boleję nad tym, iż daje wiarę lada jakiej potwarzy, że mnie posądza.

Kocham go, szanuję, wiernym mu jestem i będę.

Skarbimierz nie chcąc dłużej walki prowadzić na próżne słowa, chciał już pokłoniwszy się odchodzić, gdy ksiązę go wstrzymał.

— Wiem, czym się to dzieje — rzekł — ludziom jestem solą w oku. Siedzę cicho i spokojnie, chcieliby mnie i z tego kąta wymieść precz.

— Któż by tego chciał? I na co? — mruknął poseł.

— Nie posądzam brata! Inni są, co na mnie żgają — mówił płacząco

Zbigniew. — Bolko mężny, zacny, szlachetny, ale otoczony złymi i chciwymi.

Mówcie za mną! Brońcie mnie! Czysty w sumieniu jestem, Bóg świadek!

Ksiązę mówił, jękając się, prędko, niewyraźnie, to się wysuwając z kąta, to chowając weń. Powtarzał jedno niespokojny. Raz jeszcze posła chciał w łańcuch przybrać, ale Skarbimierz się cofnął i odszedł.

Wieczorem wezwano go do stołu, ugaszczając hojnie. Marko sam

odprowadził na dworzec biskupi, próbował badać i odparty został milczeniem.

Skarbimierz mówić nie lubił; powtarzał jedno, aby ludzi dali na wyprawę, nazaczyli miejsce, czas i

liczbę.

Zdawało się niezmiernie dziwić Sobiejuchę, że się takiej rzeczy domagano.

Pobiegł do pana po rozkazy i wrócił krokiem powolnym.

— Co przynosisz? — zapytał poseł.

— Nie to, com pragnął! — zawołał Marko. — Bóg widzi, chciało mi się koniecznie wyprosić na wyprawę z wami! Stęskniłem się za wojenką.

Zobaczylibyście, że i ze mnie żołnierz niczego! Aż mi się serce, wrywa do boju, ale pan nasz nie dopuszcza! Jużci on lepiej wie, co może! Ludzie nasi porozsyłani po grodach, nimbyśmy ich pozbierali, zwołali, uszykowali, a nimby się ta hałastra nauczyła, co potrzeba, dużo by czasu upłynęło. Co na to radzić? Co? Nie możemy nic dać! Nie mamy!

— Ludzi nam tylko dajcie — rzekł Skarbimierz — i konie, choć dzikie, my zrobimy z nich takie, jakich nam potrzeba.

— Pewnie — przerwał Marko, podnosząc ręce — ale skądże wziąć tych

ludzi, skąd koni? Lud na przednówku, wynędzniały, mizerny, porozłaził się, wymarł. Całe osady pustują. Konie też niezdrowe, zima była ciężka, chude, skóra i kości! Skąd co wziąć? Jak? Książę mało nie płacze.

Skarbimierz się odwrócił od niego, Marko plótł ciągle.

— Nikogo to tak nie boli, jak mnie, starego wojaka! Bywało się już po świecie, wie się, jak poczynać z pogany, jak z Niemcem, jak z Czechem. Ja ich wszystkich znam. Dusza się rwie daremnie. Niemcy mnie tak znały dawniej że na sam widok pióra z hełmu pierzchały. A Ruś! Miły Boże! Pieśni o mnie składali, siekałem ich kupy.

Poseł zawrócił się szydersko ku niemu.

— Chodźcież z nami — rzekł — przyjmujemy starego wojaka.

— Jakże mam biednego pana opuścić? — westchnął Sobiejucha. —

Przywiązał się tak do mnie, że gdy pół dnia nie widzi, zaraz gorzej chory. Nużby mu się z tęsknicy zmarło, na sumieniu bym miał.

Wzdychał i kaszłał stary. Za nadrą miał przyniesiony ów łańcuch złoty, którym raz jeszcze posła kusić próbował, lecz ten, rękę odepchnął, mówić nie dając.

Nazajutrz rano Skarbimierz Płock opuścił, gniewny z tego, co tu widział i słyszał, pewny, iż owa miłość braterska i wierność była zdrady pokrywką. Biskup nie taił, iż Zbigniew na naradach i

dogrózkach cały czas trawił.

Przybywszy do Głogowa, nie potrzebował mówić Skarbimierz, co przywiózł z sobą.

— Kłamstw się nasłuchałem bezecnych — rzekł. — Ani ludzi, ani koni, ani posiłków żadnych nie dadzą.

Opowiedział wszystko Bolesławowi, zamykając tym znowu, że zdradę raz znieść potrzeba i ze Zbigniewem koniec uczynić.

Zmilczał królewicz, woląc pomstę lub usprawiedliwienie zostawić czasowi.

Na myśli i sercu miał teraz zdobycie Kołobrzegu, tak jak niedawno Białogród pomorski ubiegł i opanował. Pomorcy czujni byli, stawili czaty, pilnowali się od tego, którym sam jeden dla nich był strasznym. Wojna z nimi była niejako wojną świętą. Tu się resztki pogaństwa chroniły, a póki ono tam się gnieździło, pokoju Polska nie miała. Upokorzeni, pobici, uskromieni, jutro się burzyli znowu i powstawali. Zawierali pokój w potrzebie, nazajutrz zrywali go, porę upatrzawszy dogodną. Teraźniejsza wyprawa cios im miała zadać śmiertelny. Bolesław chciał

na nich spaść niespodzianie, jak piorun z obłoków. Pieszych ludzi z tarczami nie brał wcale, ażeby nie zwalniać dla nich pochodu. Cała jazda, najlepsza, jaką miał, stała pod Głogowem: Szlązacy, Krakowianie, zaciężny lud wszelki, na koniach najsilniejszych, w najpełniejszej zbroi.

Gdy się pułki zebrały wszystkie, a młodą panią wyjechało je obejrzeć, rozradowało mu się serce i wielka otucha w nie wstąpiła. Widok był wspaniały, gdy lud ten wszystek wystąpił ochoczy, jednako zbrojny, okrzykami witając miłego wodza swego. Żelaza nie dźwigali nazbyt ciężkiego, ale mieli się czym okryć i z czym potykać. Miecze ostre, oszczepy twarde, małe tarcze kute, hełmy żelazne; u starszych i na kropierzach koniom nie zbywało, a na piersi blach wielkich mieli dosyć i mieczów zapasnych u siodeł, toporków i maczug żelaznych.

Pobożny pan wziął z sobą kapłanów, którzy co dzień dla wojsk mszę świętą w obozie odprawiali. Wieziono chorągiew poświęconą, powiewały i inne, pomniejsze przy pułkach, barw rozmaitych, z wizerunkami ptaków i zwierząt, w pasy i słupy. Mało co wozów lekkich wiozło trochę zapasu, namiotów i broni dla odmiany. Patrząc na to wojsko w ciągnięciu, czuć było, że ono zwycięskim powróci, tak z oczów wodzów i prostego człeka biła odwaga a wiara, że idzie mocą Bożą, nie swoją, za sprawę wiary, nie dla łupu. Żeliszaw bez ręki, Wojsław z czaszką rozpłataną, Skarbimierz bez oka otaczali bohaterskiego królewicza, który pod chorągwią poświęconą z krzyżem jechał, dysząc chucią wielką walczenia za wiarę. W pochodzie zastępy nie swawolne nuciły pieśni, ale niedawno na świat wyszła z kruchty gnieźnińskiego kościoła, starą pieśń wojowniczą o Bogarodzicy.

Nie rozlegały się jednak śpiewy głośnie, cicho postępowały szeregi przez lasy i pustynie, chcąc ubiec nieprzyjaciela. Szły wielkimi bory i ostępami, mijając sioła i grody, bez dróg, manowcami, które przewodnicy wskazywali. Im bardziej zbliżali się ku granicy, tym kraj pustynniejszy się wydawał.

Nikt się tu mieszkać nie ważył, bo nikt by się nie utrzymał cało dla nieustannych pogan napadów. Stały puszcze ciche, dzikie, zapomniane, jak je Bóg stworzył, ledwie tknięte ludzką nogą. Czasem przed wojskiem wyrywał się zwierz spłoszony, przerażony tętentem koni, brzękiem oręży, biegł i z oczów znikał.

Naówczas kilku ochotników puszczało się za nim z oszczepami, leciały strzały świszcząc i stłumione odzywały okrzyki. Po chwili wszystko wracało do porządku i wojsko się sunęło dalej.

Na polanie gdzieś w lesie, pod wysokim drzew starych dachem, stawano czasem koniom dać spoczynek. Starszyzna kładła się na trawie, tarczki malowane jezdnych i oszczepy ich w stożki poustawiane świeciły na słońcu, jak by z nich oczy jakieś pobłyskiwały.

Dla królewicza namiotów nie rozbijano, ani mu było potrzeba innej wygody, a strawy nad tę, którą wszyscy mieli. Kawalek mięsa pieczonego przy ognisku, woda ze strumienia starczyła.

Im dalej szli, tym w ściślejszych wojsko postępowało szeregach. Nikomu nie wolno było wybiec naprzód ani w tyle pozostać, ni w bok się rzucić samopas, ani w róg dawać hasła, ni nawet pieśni zanucić.

Trzeciego dnia, gdy tak szli, nad rzeczułką postrzegli ludzi, którzy ryby łowili. Byli to Pomorcy. Tych, żeby swoim znać nie dali, chwycić musiano i powiązać. Tu już szlaki, jakimi dzicz owa na Polskę chadzała, gdzieniegdzie widne były. Spotykano opuszczone szałas, obozowiska stare, ogniska wygasłe noclegów i szkielety koni, co tam popadały w drodze. Rachowano, że śpiesząc szóstego dnia z Głogowa do Kołobrzegu dociągnąć mieli. Lasy się przerzedzały, polany szersze widać było, spieszyć musiano, aby kto nie podpatrzył i nie uprzedził.

Piąty dzień dobiegał do wieczora, gdy raz ostatni w lesie położono się obozem. W powietrzu woń jakąś czuć było inną. Wiało już sąsiedztwem morza z szerokiego świata. Wiatr szedł od wybrzeżów na lądy, przeto i ostrożności mniej było potrzeba, bo się głos nie rozchodził daleko. Las rzadki u szerokiej łąki i stawu wybrany był z rozkazu Bolesława na obozowisko. Wnet po przyciągnięciu na samym wierzchołku piaszczystego wzgórza ołtarz ustawiać poczęto. Walkę za krzyż Pański modlitwa o pomoc Bożą poprzedzić miała. Dano ludziom spoczywać do północy, a gdy po gwiazdach poznano, że ranek się zbliżał, ruszyli wszyscy, ołtarz otaczając dokoła, na którym ojciec Hilarion bezkrwawą składał ofiarę.

Dzień to był sobotni Najświętszej Panny Marii. Wigilią pościli wszyscy, a przy mszy świętej Bolesław, starszyzna i z ludu, kto chciał i mógł, do stołu Pańskiego przystępowali. Wśród ciszy lasu klęczące szeregi zbrojne z odkrytymi głowy, które kapłan z hostią obchodził, zbrojąc na krzyżowy bój, obrazem były wspaniałym. Zaledwie dokończono obrzędu, gdy chorągiew poświęcona podniosła się w górę i cichym głosem ozwał się hymn:

Bogarodzico, dziewico...

Zaczęto go nucić stłumionymi głosy, pomnąc na bliskość nieprzyjaciela, ale w uniesieniu pieśń rosła, potężniała, pamięć na niebezpieczeństwo znikło. Pod tą chorągwią, z tym hymnem, pewnym się zdało zwycięstwo. I brzmiała pieśń silniej coraz, coraz pełniej i ogromniej. Śpiewał królewicz, drużyna,

starszyzna, wojsko, a kto pieśni nie znał, wtórował jej głosem, bo mu ona do serca mówiła, krzepiła je i rozgrzewała. Razem z pieśnią rósł dzień i światłość. Poczęta o mroku, rozdarła ciemności, chmury się rozpierzchły na niebiosach, lazur ukazał się czysty i jakby modlitwą wywołane słońce wyszło, siejąc ogniem na ziemię.

Wojsko na koniach siedziało, szybko zbierano na wozy sprzęt kościelny, pozostała garstka doskoczyła raźnie wierzchowców. Królewicz jechał przodem, gnał, pędził, bo niecierpliwością gorzał wielką. Skarbimierz, Żeliszaw, Wojsław hamować musieli, tak się wszystko naprzód rwało.

Z piaszczystego wzgórza widać już było poniżej gród warowny, wałami

otoczony, rzeczką Persantą oblany z tej strony, od której iść mieli. Szeroko rozsiadały się budowy jego drewniane i mury w pośrodku gdzieniegdzie się wznoszące; dalej wyglądały u przystani stojące statki z maszty wysokimi i powieszanymi żaglami, a dalej jeszcze świeciło morze płowe, jak drogi kamień mieniące się barwy tęczowymi, złotem dziane, lazurem przetykane, zielenią, szafirem, ametysty i srebrem sadzone. Lekki wietrzyk poruszał fale jego, pędząc ku brzegom, jak by rozłożoną szatę czarowną fałdował, białymi obszywając bramy; ginęły gdzieś na horyzoncie owe przestrzenie niezmiernie, jak by się tam z niebem połączyły uściskiem.

Wojsko stanęło chwilę. Garść go była na ten gród wielki, obronny,

ubezpieczony. Wszystko się tam jeszcze spać zdawało, milczało. W sercu kraju któż by się spodział, przeczuł nieprzyjaciela? Ten tylko, co się dostał do Białogrodu, mógł na Kołobrzeg się ważyć.

Na widok przyszłego pola walki przeżegnali się wodzowie. Ojciec Hilarion podniósł do góry krzyż, chorągwie podrosły wyżej, konie rżały niecierpliwie.

Bolko milczący jechał na przedzie. Persanta była od deszczów wezbrana.

Stał na niej nieco opodal most i przy nim bród widać było, ale tam lada chwilę mieszkańcy się mogli ukazać i popłoch uczynić. Dotąd pusto było w uśpionym grodzie.

Pomiędzy starszyzną starosta był, którego Zaborem zwano, człek męźny, ale chętnie dworujący ze wszystkiego. Stało jeszcze wojsko i nikt się nie ruszał, gdy przystąpił do królewicza, kłaniając się z uśmiechem:

— Miłościwy Królewiczu — odezwał się — chciałoby się już, Królu, rzec; czy my ten kamień nadgryziemy, Bóg tylko wie, ale że sobie na nim zęby wyszczerbim albo i połamię, toć pewna.



Spojrzeniem nakazał Bolesław milczenie, pierś mu się podnosiła prędko i ręce drżały, powlókł oczyma po twarzach posepnych. Widok grodu silnego strwożył nawet najśmielszych.

— Hej, ludku ty mój mężny — odezwał się. — Gdybym ja was nie znał, nie rachował na to męstwo, nie wiódłbym ja was na taki bój, w tak daleki świat!

Uciekać nie możemy, kraj nasz wrogi otaczają, trzeba iść i trzeba zwyciężyć! Z

Bogiem, naprzód!

— Boże, zmiłuj się nad nami! — zakrzyczano w szeregach i pułki runęły w rzekę.

Koniec tomu trzeciego

Książę Zbigniew

(by Leonard Chodźko)